www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 52 (990)
21-30.12.2018
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

NA ŚWIĘTA

JERZY STUHR:
Najlepsze rzeczy zrobiłem w PRL

REMIGIUSZ MRÓZ:
Potyczki z wydawcami

EWA WOYDYŁŁO:
Jak się nie pokłócić w święta

SIEPOMAGA
– największy portal dobroczynny

OSTATNI SKOK WIENIAWY

ŚWIĄTECZNA MAGIA KREDYTÓW

Robert Biedroń

POLITYK, KTÓRY MOŻE NAMIESZAĆ

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 52>
9 771509 311805

db340f6ca

sklep.mleczko.pl

GALERIA AUTORSKA ANDRZEJA MLECZKI

KRAKÓW
ul. św. Jana 14
tel: 12 421 71 04

WARSZAWA
ul. Marszałkowska 140
tel: 795 029 829

www.mleczko.pl

eprasa.pl 2db340f6ca

CYTATY

BP TADEUSZ PIERONEK
Nikt się nauczaniem Jana Pawła II naprawdę nie przejął. Ani episkopat, ani wierni.
„Zdanie"

MONIKA JARUZELSKA,
córka Generała
Słyszałam pierwszy oddech mojego syna i ostatni oddech mojego ojca.
„Viva!"

PAWEŁ SOŁTYS,
wokalista, pisarz
Duże słowa mnie odpychają. Często są już zużyte – fasadę mają sporą, ale w środku są puste.
„Tygodnik Powszechny"

MARCIN WICHA,
grafik, pisarz
Czy poczta jest miejscem do prowadzenia handlu detalicznego książką kucharską z uświęconymi przepisami siostry Anastazji?
„Wysokie Obcasy"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Wiosna nasza czy wasza?

No i mamy temat na świąteczne spotkania. Będzie o co się spierać, bo z obozu władzy płyną sygnały o gotowości PiS do przyśpieszonych o pół roku wyborów. Ale czy prezes Kaczyński zdecyduje się na ucieczkę do przodu? Powodów do takiej decyzji ma więcej niż argumentów, by dotrwać do jesieni. Katastrofy jeszcze nie ma, ale posklejana na wybory zjednoczona prawica tak głośno trzeszczy, że trudno tego nie usłyszeć. Liczenie na wdzięczność wyborców jest ułudą, której ofiarą padło już wiele partii. Polacy jako naród najwyraźniej nie są na dłużej przywiązani do kogokolwiek. I PiS też nie będzie wyjątkiem. Podobnie będzie z mitem, jaki krąży wśród polityków i mediów. Mitem o żelaznym elektoracie. Najwierniejszych z wiernych, którzy zawsze będą trwali przy swojej partii i jej liderze. Przykład SLD nikogo, widać, nie nauczył, że wyborcy mają swoje interesy i w pogoni za najlepszym dla siebie rozwiązaniem zmieniają popierane partie.

Największym paradoksem obecnej sytuacji jest mikry potencjał opozycji. Jeśli tak słaba programowo, a i kadrowo, opozycja wyrywa PiS aż tyle poparcia, to nie ma lepszego dowodu na słabnięcie obozu Kaczyńskiego. Okazuje się, że PiS coraz bliżej do tego, by przewrócić się o własne nogi. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że chyba w żadnej partii nie ma tylu perfidnych ambicjonerów, dla których utopienie partyjnego rywala jest celem samym w sobie.

Komentator jest jak saper. Ryzykuje. A życie niezwykle szybko i często boleśnie weryfikuje jego oceny. Zobaczymy więc, czy ten scenariusz się spełni. Ale zanim to nastąpi, kłaniam się Szanownym Czytelnikom świątecznie.

Naszym Czytelnikom i Przyjaciołom życzymy Świąt z fantazją, ku radości ciała i ducha. I spotkań opartych na wyrozumiałości i tolerancji. Mimo wszystko.

Zespół PRZEGLĄDU

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FAUL

Kogo schowają do szafy?

Jedną z różnic między PiS a PO jest chowanie trefnych polityków do szafy. Na czas wyborów oczywiście. PiS udaje wtedy, że Macierewicz to nie oni. Jakiś tam polityk z Marsa. A po wygranych wyborach Macierewicz z szafy wychodzi i odżywa.

W PO jest odwrotnie. Im bardziej polityk zasługuje na pobyt w szafie, tym więcej go w partii. Albo wokół niej. Przykładem nadaktywności w partii jest ekspisowiec Radosław Sikorski. A wokół partii – Roman Giertych. Ten sam, przeciwko któremu protestowali uczniowie, skandując: „Szkoła zdycha za Giertycha".

BĄKOWSKI

eprasa.pl 2db340f6ca

W NUMERZE

KRAJ

8 **Polityk, który może namieszć**
– rozmowa z Robertem Biedroniem

14 **Zielone paski nadziei**
Się pomaga na Siepomaga

18 **Moc pomagania**
– rozmowa z Agnieszką Nowik i Moniką Urban

20 **Wybór Elżbiety**
Serce do trudnych adopcji

34 **Świąteczna magia kredytów**
Wydajemy bez opamiętania

38 **Pstrągowisko**
Łowienie ponad podziałami

KULTURA

24 **Najlepsze rzeczy zrobiłem w PRL**
– rozmowa z Jerzym Stuhrem

42 **Remigiusz Mróz**
– grupa trzymająca książki
Potyczki z wydawcami

46 **Qulturalia**

66 **Przemek Matecki. Małe obiekty**

HISTORIA

30 **Ostatni skok Wieniawy**
Reprezentował dobre i złe cechy II RP

ZAGRANICA

48 **Lwiątka kalifatu**
Dzieci w służbie terrorystów

OBSERWACJE

52 **Polska zagłębiem pokojów ucieczki**
Wyzwanie w escape roomie

56 **Zdjęcia roku East News**

PSYCHOLOGIA

58 **Wolność wyboru**
– rozmowa z dr Ewą Woydyłło-Osiatyńską

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Wiosna nasza czy wasza?

23 **Bronisław Łagowski**
PiS, czyli idea narodu antykomunistycznego

29 **Roman Kurkiewicz**
Greta ratuje świat

37 **Tomasz Jastrun**
Boże Narodzenie 2018

41 **Edward Mikołajczyk**
Eksces w przedszkolu

51 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Fleur w rewiowym ubranku

18 KRAJ

MOC POMAGANIA
– rozmowa z Agnieszką Nowik i Moniką Urban

24 KULTURA

NAJLEPSZE RZECZY ZROBIŁEM W PRL
– rozmowa z Jerzym Stuhrem

52 OBSERWACJE

POLSKA ZAGŁĘBIEM POKOJÓW UCIECZKI
Wyzwanie w escape roomie

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. RENATA DĄBROWSKA/AGNECJA GAZETA

eprasa.pl 2db340f6ca

Następny numer PRZEGLĄDU ukaże się 31 grudnia

DOROTA KOLAK
Kiedy kobieta kocha butelkę

SKAMANDRYCI
w mleczarni

NOWY ROK,
nowa dieta?

SKĄD SIĘ BIORĄ
kultowe książki

DLA TURCZYNEK POLSKA
jest jak więzienie

Karpiobójstwo

Żywe ryby pakowane są do plastikowych toreb bez wody i tam rozpoczyna się najgorszy etap ich przedśmiertnej udręki – alarmuje prof. Andrzej Elżanowski (PRZEGLĄD nr 50). Żeby choć amatorzy karpi wyznawali antropocentryzm i unikali okrucieństwa wobec żyjących istot, mając świadomość jak Kant, że „jest ono sprzeczne z obowiązkiem człowieka wobec niego samego, bo tłumi w nim uczucie sympatii dla cierpienia i w związku z tym osłabia naturalną tendencję, która jest bardzo przydatna w moralności w stosunku do innych ludzi".

Maria Laach

KARPIOBÓJSTWO

Nie atakowałem Głowińskiego

W ostatnio wydanej książce Michał Głowiński utrzymuje (nie po raz pierwszy), że w 1977 r. w „Przeglądzie Humanistycznym" przypuściłem jakiś straszliwy atak na wydany wtedy „Słownik terminów literackich", którego on był współautorem. Miałem to zrobić – żeby rzecz zabrzmiała groźniej – jako „działacz partyjny" (dodajmy: do żadnych instancji nienależący ani działalnością polityczną się niezajmujący). Jak było naprawdę, zainteresowany czytelnik może się przekonać, sięgając po książkę „Portrety i spotkania" (wyd. 2), gdzie w „Diariuszu 1958-2018" jest przedrukowana moja ówczesna opinia pod dawnym tytułem „Słownik – jaki jest".

Andrzej Lam

ZŁOTE ŻNIWA WRÓŻEK

Złote żniwa wróżek

Nie ma co się dziwić, że ludzie chodzą do wróżek. Człowiek, jak każde zwierzę, potrzebuje poczucia bezpieczeństwa. Większość ludzi ma jego deficyt, żyje w lęku, paradoksalnie napędzanym przez życie w społeczeństwie. To jest błędne koło i żeby nie cierpieć, ludzie uciekają w iluzję, a tej dostarczają religia, psychoanaliza i wróżki.

Małgorzata Gabor

Jadą cepry, jadą

Skusiłem się na święta w Zakopanem w zeszłym roku. Smog, ceny z kosmosu, na Krupówkach ścisk. Więcej nie będę się pchał. Tym bardziej że zakopianka ciągle w budowie. A jeszcze jak przeczytałem o pluskwach... Ale artykuł ciekawy, z przymrużeniem oka.

Marek Halski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Papież Franciszek modli się przed szopką podczas cotygodniowej audiencji generalnej.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2db340f6ca

Zwycięzcami wręczanych w Sewilli **Europejskich Nagród Filmowych** zostali Polacy. **„Zimna wojna"** została uznana za film roku, **Paweł Pawlikowski** nagrodzony za reżyserię i scenariusz, **Joanna Kulig** otrzymała tytuł najlepszej aktorki europejskiej, a **Jarosław Kamiński** nagrodę za najlepszy montaż.

Prof. Jerzy Kochanowski z Instytutu Historycznego UW otrzymał **Nagrodę Historyczną im. Kazimierza Moczarskiego** za książkę „Rewolucja międzypaździernikowa. Polska 1956-1957".

Sąd Najwyższy uznał kasację Adama Bodnara, rzecznika praw obywatelskich, i orzekł, że sąd w Hajnówce nie miał prawa w trybie nakazowym ukarać grzywnami trzech osób za wejście w 2017 r. do Puszczy Białowieskiej, gdy trwała tam wycinka.

Jacek Utko, polski dizajner, zaprojektował nowy layout holenderskiego dziennika finansowego „Financieele Dagblad", który został uznany za europejską gazetę roku. Jest to już trzecia europejska nagroda tego projektanta.

Mirosław Żukowski, szef działu sportowego „Rzeczpospolitej", otrzymał **Nagrodę im. Bohdana Tomaszewskiego.** Za doskonały warsztat dziennikarski i elegancję w posługiwaniu się językiem polskim.

Stanisław Karczewski (PiS), marszałek Senatu, **zaproponował zwiększenie składu izby o dwóch senatorów** wybieranych za granicą przez osoby mające polskie obywatelstwo lub tzw. Kartę Polaka. Według ekspertów jest to pomysł absurdalny, z którego Senat się wycofuje.

Sejmowa Komisja Finansów Publicznych przyjęła poprawkę, która obniża finansowanie **Państwowej Inspekcji Pracy** o 20 mln zł. PIP w 2017 r. wyegzekwowała 136 mln zł wynagrodzeń i świadczeń na rzecz 87 tys. poszkodowanych pracowników.

Ursus SA to kolejna spółka, która przewiozła się na komitywie z PiS. Zarząd spółki kierowanej przez Tomasza Zadrogę złożył w sądzie wniosek o postępowanie układowe. Chodzi o 140 mln zł, które spółka jest winna wierzycielom.

Ks. kanonik Leszek Piotr Knut z parafii w Gowidlinie (woj. kujawsko-pomorskie) po raz kolejny **odmówił pochówku zmarłemu mieszkańcowi parafii.** Łamie prawo i co mu zrobicie?

PKS Rzeszów zlikwiduje bądź **zawiesi połączenia do kilkunastu podmiejskich miejscowości,** bo nie doczekał się od rządu Morawieckiego pomocy deklarowanej w kampanii.

Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Krakowie tak się zajął usuwaniem szkód powodziowych nad rzeką Białką w rejonie Obłazowej, że niszczy dominentu ten unikatowy zakątek.

PRZEBŁYSKI

Transfer Wenderlicha do PiS?

W tym roku nic Wenderlichowi tak dobrze nie wyszło jak liczba występów w agitkach TVP Info „Woronicza 17". Prowadzi je toporny aktywista PiS przebrany za dziennikarza, więc udający lewicowca Wenderlich pasuje tam jak ulał. Upór, z jakim łazi do Rachonia, jest rozmaicie komentowany. Najczęściej obstawiany jest transfer Wenderlicha do PiS. PO złowiła Nowacką, to dlaczego PiS nie miałoby przytulić Wenderlicha?

Mało prawdopodobne jest przecież, że Wenderlich, znany z męstwa, stanie w SLD na czele buntu przeciwko Czarzastemu. A u Biedronia, gdzie Wenderlich też puka, drzwi zaryglowane.

Dera na dzień wczorajszy

Mało apetyczny jest widok Andrzeja Dery zarabiającego na ośmiorniczki w kancelarii prezydenta Dudy. Widok tego urzędnika połykającego własne głupoty działa jak skuteczna dieta odchudzająca. Ileż to razy panowie D. ujadali na Sąd Najwyższy i prezes Gersdorf? A kiedy Unia tupnęła nogą, prezes Gersdorf okazała się dla nich niejadalna. Musieli zrezygnować z zapowiadanego kanibalizmu politycznego.

Dera jest też mało strawny językowo. Chłop się zbliża do emerytury, ale nie może pojąć, że tylko wtórni analfabeci mówią „na dzień dzisiejszy". W prezencie świątecznym radzimy Derze, i to za darmo, by mówił po polsku. Wystarczy jedno słowo: dziś. A zamiast „w dniu wczorajszym" wystarczy: wczoraj.

Chałturnicy o Jaruzelskim

Pisać każdy może. Nawet Jarosław Jakubowski. Ten nieszczęśnik uwierzył, że jest artystą, i wypuścił w świat swoje myśli. Obydwie. Nazwał je spektaklem „Generał". Parę lat temu wystawił to w Teatrze IMKA. Nie słyszeliście? Nic dziwnego. Tej żenady nawet wielbiciele „dobrej zmiany" nie chcieli promować. Ale od czego jest „kurszczyzna"? I TVP, którą prezes Kaczyński przekazał do eksploatacji Jackowi Kurskiemu? Tam każdą brednię na temat gen. Jaruzelskiego biorą. I płacą. I to jak płacą. O konkretach mogliby powiedzieć Magdalena Popławska i Marek Kalita, którzy w Programie 1 TVP zaadaptowali tego dziwoląga. I zaskoczyli nawet tych, którzy myśleli, że w TVPiS głupiej już być nie może. Oj, może być, może. I będzie. Bo wybory na karku. A ciemny lud trzeba ogłupić, by przedłużył dobre życie „dobrej zmianie".

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 2db340f6ca

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czym dla Pani/Pana jest słodkie lenistwo?

OLGA LIPIŃSKA,
reżyserka, scenarzystka i satyryczka

Nie wiem, czym jest, i nawet mnie to nie interesuje. Praca jest dla mnie przyjemnością i choć oczywiście czasami była dokuczliwa i nieznośna, bardzo mi jej teraz brakuje. Na szczęście całe życie miałam możliwość zajmować się tym, co mnie interesowało, czyli przede wszystkim pracą z kamerą. Mam propozycje teatralne, jednak tęsknię za telewizją. Większość ludzi chyba nie lubi swojej pracy i chodzi do niej tylko dlatego, że nie ma innego wyjścia. Dla mnie argument, że „muszę przecież z czegoś żyć", nie był taki ważny. Zaczynałam pracę w czasach Gomułki i zarabiałam grosze, ale naprawdę nie było to dla mnie istotne, bo pracowałam z przyjemnością. Życzę wszystkim, żeby robili to, co lubią, bo człowiek, który nie lubi swojej pracy, ma bardzo trudne życie. Kto realizuje swoją pasję, jest szczęśliwy.

DR HAB. MARCIN T. ZDRENKA,
etyk, UMK

Sprzeciwiam się dominującemu dziś kapitalistycznemu myśleniu o człowieku jako o istocie przede wszystkim produkcyjnie czy ekonomicznie wydajnej, redukcji *homo sapiens* do *homo œconomicus*. Ważna jest dla mnie lekcja starożytnych, u których bezczynność była czymś pierwotnym, aktywność zaś, praca czy wytwórczość jedynie negacją słodkiej bezczynności. Dzisiaj patrzymy na to odwrotnie, co ilustruje sama budowa słowa bezczynność (bez-czynność). Oczywiście, że to dawne dzieje i inna epoka, a ponadto całą niezbędną robotą zajmowali się usłużni niewolnicy, ale to jeszcze nie powód, by odwracać podejście do znojnej roboty. Dziś wszystko musi być funkcjonalne i użyteczne. Myśląc w ten sposób, zapomnieliśmy, że człowiek jest nie tylko „świadczącym pracę" elementem systemu ekonomicznego, ale także podmiotem myślenia, kontemplacji i kreacji. Słodkie lenistwo jest niezbędnym warunkiem uprawiania swobodnej refleksji: niewolnicy nie filozofują, a zbyt ciężko pracujący ludzie nie tworzą sztuki, bo muszą wciąż walczyć o byt. Warto też, byśmy troszkę odczarowali chrześcijańskie potępienie bezczynności (grzech lenistwa!) i inne późniejsze utylitarne sposoby myślenia o człowieku, który ma obowiązek być cały czas przydatny. Wydajna i użyteczna praca nie wyczerpuje opisu tego, czym jest – i powinien być – człowiek.

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ,
satyryk, poeta i piosenkarz

Słodkie lenistwo to po prostu nicnierobienie. Jeżeli ktoś mówi, że święta to czas nicnierobienia, to jest jak pijana kaczka we mgle. U nas w Boże Narodzenie zawsze jest pełno młodzieży, trzeba wszystko przyszykować, a zmywarka pracuje na okrągło. Dopiero jak wyjedzie ostatni gość, zaczyna się odpoczywać, ale jest już po świętach. Dla mnie najważniejsze są takie dni jak w połowie grudnia, kiedy nie mam wielu koncertów, a jeżeli mam, to blisko Warszawy i nie muszę jechać po 300-400 km, i to jest właśnie bajeczka. Mimo wszystko życzę wszystkim pogodnych i wesołych świąt!

czytelniczki PRZEGLĄDU

JOLANTA MARIA BINKOWSKA

Słodkie lenistwo? Wówczas, kiedy mogę w swoim kąciku zająć się tym, co lubię najbardziej… Książkami, dzierganiem i kawą.

MARIA ŁAKOMY

Nic nie boli, audiobook i spacer albo prasa do czytania i kawa w ciepełku.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 2db340f6ca

ROBERT BIEDROŃ

POLITYK, KTÓRY MOŻE NAMIESZAĆ

Ludzie potrzebują zmiany i ta zmiana nadejdzie. To kwestia paru miesięcy

Rozmawiają Jerzy Domański i Robert Walenciak

Zacznijmy świątecznie – na stole leży propozycja Polskiego Stronnictwa Ludowego, by Wigilia była dniem wolnym od pracy. I co na to Robert Biedroń?

– Przede wszystkim my, jako politycy, mamy coraz większy problem z rozdzieleniem tego, co państwowe, i tego, co kościelne. Widać to po tym projekcie. Politycy nie widzą, że chcą zrobić święto kościelne, a nie państwowe. To prezent dla Kościoła, nie dla państwa.

Spotkania opłatkowe są organizowane w różnych firmach, instytucjach, chodzą na nie ludzie, co do których nie ma wątpliwości, że są agnostykami.

– Dlatego, że państwo oddało Kościołowi sferę budowania wspólnoty, tożsamości i czy chcemy, czy nie chcemy, nawet ludzie, którzy są sceptyczni wobec Kościoła, celebrują takie święta wokół niego. Nie stworzyliśmy alternatywy, czegoś dla wszystkich. Ja wiem, jak wyglądają spotkania opłatkowe. Nie dlatego, że organizowałem je w ratuszu w Słupsku, bo nie organizowałem. Ale wiem, choćby z wcześniejszego doświadczenia z Sejmu, jak niekomfortowy jest opłatek z ludźmi, których się nie zna, a trzeba im składać dość intymne życzenia. I tak naprawdę jest to często rytuał, przy którym ludzie się męczą i chcą, żeby jak najszybciej to zakończyć.

Ruch społeczny Roberta Biedronia jest pluralistyczny, bo Krzysztof Gawkowski wielokrotnie podkreślał dobre relacje z Kościołem.

– Ludzie wierzący mają prawo celebrować swoje święta, ale państwo powinno stać na straży, żeby te dwa porządki się nie mieszały. Gdy otwierałem jako prezydent Słupska obwodnicę miasta, mogliśmy zrobić tradycyjne przecięcie wstęgi: biskup, kropienie itd. Tego nie było! Pilnowałem rozdziału państwa od Kościoła i zrobiłem bieg na 5 km, każdy mógł biec, kto pierwszy dobiegł do mety, ten przecinał wstęgę! To ludziom bardzo się podobało. Mówili: nareszcie ksiądz nie kropi kolejnego McDonalda, kolejnego szaletu publicznego, nareszcie jest, jak powinno być. Ludzie są zmęczeni przenikaniem się

eprasa.pl 2db340f6ca

państwa i Kościoła. Powinniśmy, szanując autonomię obu tych instytucji, po prostu raz na zawsze je rozdzielić.

Bardziej bali się proboszcza niż własnej żony

A jakie są na to szanse? Polacy dojrzewają do wyraźnego powiedzenia: kończymy z tym?

– Polacy już do tego dojrzeli. Tylko klasa polityczna nie dojrzała. Znam to z doświadczenia, bo byłem posłem. Widziałem, jak moi koledzy i koleżanki czasem bali się wracać do siebie, do swojego okręgu wyborczego, do swojego miasteczka, z obawy przed reakcją proboszcza. Oni bardziej się bali proboszcza niż własnej żony! Trzęśli portkami, kiedy trzeba było zagłosować za związkami partnerskimi, za przyjęciem konwencji przeciwko przemocy wobec kobiet, za wieloma takimi, cytując klasyka, oczywistymi oczywistościami. Najlepszy przykład – Ratujmy Kobiety. Ten projekt został odrzucony – uwaga! – głosami Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej. Lęk był tak silny, że nie zagłosowali na tak lub nie, tylko wyciągnęli karty do głosowania i udawali, że ich nie ma. Tak się nie da sprawować dzisiaj władzy. Szczególnie że mam kompletnie inne doświadczenie. Gdziekolwiek jadę, ludzie mówią mi, że jednym z najważniejszych wyzwań jest realne oddzielenie państwa od Kościoła. I mówią to nie tylko w Warszawie, we Wrocławiu czy w Słupsku, które są miastami dość zeświecczonymi, ale również w Krośnie, w Zamościu, w Rzeszowie. Polacy są w dużej mierze antyklerykalni i czują, że Kościół jest dziś zbyt pazerny na wpływy.

Skąd ten strach polityków? Zwłaszcza z Nowoczesnej i PO? Przecież to nie są partie, które idą pod sztandarami państwa wyznaniowego.

– Strach ten wynika przede wszystkim ze splątania polityki i Kościoła, nie tylko na scenie ogólnopolskiej, ale też lokalnie. Wielu z nich – uważam, że fałszywie – jest przekonanych, że próbując rozdzielać państwo i Kościół, czyli, jak oni to nazywają, „wojując z Kościołem", stracą wyborców. Jako prezydent Słupska wielokrotnie musiałem toczyć ciężkie boje z radnymi Platformy, bo oni uważali, że „trzeba dać kościółkowi pieniążki". Tak mówili – „kościółkowi pieniążki"! Jakby to miało być takim średniowiecznym trybutem. Uważam, że w dzisiejszych czasach, w 2018 r., ludzi ten rytuał uwiera.

Czy rosnąca niechęć do wszechwładzy Kościoła jest pokoleniowa? Im młodszy Polak, tym bardziej byłby za rozdziałem?

– I tak, i nie. Bo np. młodzi dzisiaj głosują bardzo konserwatywnie. Ale myślę, że w polskim społeczeństwie wychodzi pewne DNA, że z jednej strony mamy przywiązanie do tradycji religijnych, a z drugiej – przywiązanie do antyklerykalizmu. Nieprzypadkowo media, które są antyklerykalne, całkiem nieźle w Polsce się sprzedają, przetrwały bardzo ciężkie czasy. Jesteśmy więc dziś gotowi na zrobienie kroku do przodu, jeśli chodzi o rozdział państwa i Kościoła.

Czyli?

– Czyli na wycofanie finansowania lekcji religii w szkołach publicznych. Na likwidację Funduszu Kościelnego, renegocjację konkordatu. Na opodatkowanie Kościoła, tak żeby księża płacili w końcu sprawiedliwy podatek. Patologią jest, że przeciętny proboszcz przeciętnej parafii w Polsce płaci ok. 200 zł podatku ryczałtowego, a w tej samej miejscowości fryzjer czy sklepikarz płaci podatek dziewięć razy większy. Po prostu państwo musi to uregulować.

Mówi się, że ruch Biedronia jest partią filmu „Kler". I na tym chce płynąć, tak jak Ruch Palikota.

– Na pewno zostali ludzie, którzy są rozczarowani tym, że żadnej partii politycznej do tej pory nie udało się zrealizować postulatu rozdziału państwa i Kościoła. To jest coś, co boli Polki i Polaków, i oni mówią, po raz kolejny, politykom: uleczcie ten kraj z dominacji Kościoła, z jego mieszania się w każdą sferę naszego życia! A ponieważ udowodniłem w Słupsku, że potrafię oddzielić sprawy świeckie od spraw kościelnych, jestem w tym wiarygodny. Choć moja działalność nie sprowadza się tylko do rozdziału państwa i Kościoła. W mojej agendzie jest bardzo wiele innych rzeczy.

> Lekarz kończy medycynę, prawnik – prawo.
> A polityk może się uczyć tylko od społeczeństwa.

Czy rozwój tylko w wielkich miastach?

Czym więc jest ruch Biedronia? Kim pan jest, panie Biedroń?

– Jestem postępowcem. Jestem człowiekiem, który nie mówi: „przez ostatnie osiem lat Polki i Polaki", tylko: „przez następne osiem lat Polki i Polacy będą mieli…". Myślę o przyszłości, a nie o przeszłości. To jest moje kredo. Czytam Zygmunta Baumana, czytam Josepha Stiglitza, Janisa Warufakisa, Karola Modzelewskiego, tych wszystkich, którzy mnie inspirują do tego, żeby wspierać społeczeństwo, które nikogo nie wyklucza, nie zostawia z tyłu.

A konkretnie?

– Konkretnie? Kiedy mówię, że oddzielę państwo od Kościoła, każdy może powiedzieć: sprawdzam. Kiedy mówię, że wyrównuję szanse, każdy może powiedzieć: sprawdzam. Zobaczyć, jak to robiłem w Słupsku, stawiając na budownictwo komunalne, na lepszą edukację, lepszą służbę zdrowia, lepsze powietrze. Słupsk jest dzisiaj jedynym miastem w Polsce, które spełnia wszystkie normy, jeśli chodzi o powietrze. Nieprzypadkowo nasze motto brzmiało: zielone

Prezentacja elementów programowych ruchu politycznego Roberta Biedronia

- minimalne wynagrodzenie w wysokości 60% średniej krajowej
- odejście od węgla w energetyce do 2035 r.
- czyste powietrze i odnawialne źródła energii
- powiązanie płacy minimalnej ze średnim wynagrodzeniem
- inwestycje w opiekę zdrowotną i wsparcie pielęgniarek
- koniec z finansowaniem Kościoła przez państwo
- jawne, rzetelne konkursy do wszystkich spółek skarbu państwa
- rozliczenia polityków dziś łamiących prawo

eprasa.pl 2db340f6ca

miasto nowej generacji. Słupsk dzisiaj jest drugim najszczęśliwszym miastem w Polsce według badań! A tak nie było. Pamiętam, jak odziedziczyłem Słupsk – to było jedno z najbardziej zadłużonych miast w Polsce, tam podpalano samochody, tam była gangsterka. I pokazaliśmy, że się da. Także w sferze godnościowej, w tym, co jest fundamentem budowania społeczeństwa. Słupsk kiedyś był miastem wojewódzkim. Ludzie tam pamiętają, że były instytucje, urząd wojewódzki, przemysł, miasto się rozwijało. To wszystko straciliśmy. I ludzie zaczęli pytać: czy rozwój ma być tylko w wielkich miastach? Czy to koniec? I słusznie pytali.

Czyli kiedy ruch Biedronia osiągnie znaczące poparcie, do Słupska wróci województwo?

– Jeśli mówimy symbolicznie, to „województwo" musi wrócić do takich miejscowości. Chodzi o godność i o to, by państwo tymi miejscami się interesowało. Polska to nie tylko Warszawa i parę innych dużych miast. A ostatnie wybory pokazały, że jeżeli politycy nie zauważą Polski z perspektywy Słupska, Ustki, Świdnicy, to wszyscy na tym przegramy.

Jak to powinno wyglądać?

– Powinniśmy wyrównywać szanse. Wprowadzić konstytucyjny zapis o zrównoważonym rozwoju całego kraju. Deglomerować. Odrzucić warszawocentryzm i przenieść np. niektóre urzędy centralne do innych miejscowości.

Trybunał Konstytucyjny – do Przemyśla?

– Gdzie jest Trybunał Konstytucyjny w Niemczech? W Karlsruhe. Słyszałem o tym pomyśle PiS, żeby przenieść Trybunał Konstytucyjny do Przemyśla, prawdopodobnie za karę, żeby go wyśmiać i poniżyć. Ale dlaczego TK nie miałby być w Łodzi, Słupsku czy w innej miejscowości? Przecież to podnosi rangę i prestiż tych miast. Dlaczego najlepsze uczelnie na świecie tak często są poza wielkimi miastami? Oksford, Cambridge, Heidelberg, Uppsala… Mój partner ostatnio dostał stypendium na jednym z najlepszych uniwersytetów na świecie, University of Michigan. Czy wiecie, gdzie jest ten uniwersytet?

W Ann Arbor.

– Nikt w Polsce nie słyszał o Ann Arbor, a tam jest jeden z najlepszych uniwersytetów na świecie. To także kierunek dla Polski. I co jeszcze? Wstydem współczesnej Polski, po 30 latach transformacji, jest to, że 20% sołectw nie ma połączeń komunikacyjnych. Że nie jeździ tam ani pociąg, ani autobus. Jeżeli ktoś musi na rowerze każdego dnia dojechać 5 km, dzieci do szkoły, dorośli do pracy, to jest wstyd III RP.

A gdzie byli posłowie PO, kiedy zabierali nam szkołę?

Chleb powszedni, niestety…

– Byłem ostatnio na Suwalszczyźnie, spotkałem tam mieszkańców małej miejscowości i zacząłem im opowiadać o Trybunale Konstytucyjnym, o Sądzie Najwyższym… A oni mi przerwali: Panie, co pan gadasz? Pan zobaczy, tu na górce jest szkoła, ona jest zabita dechami. Wie pan, kto ją zabił dechami? Platforma Obywatelska. Stwierdzili, że się nie opłaca, że za mało uczniów. A my im mówiliśmy: Słuchajcie, tam nie tylko uczą się dzieci z naszej miejscowości, my tam wypożyczamy książki. Tam się odbywają rady sołeckie, to jest jedno z dwóch miejsc publicznych, w których możemy się spotkać. Drugim jest kościół. I tylko on nam dzisiaj został. I wy mówicie, że mamy bronić demokracji, broniąc Trybunału i Sądu Najwyższego? A gdzie byli posłowie PO, kiedy zabierali nam szkołę, która jest symbolem demokracji w naszej małej ojczyźnie? My nigdy nie spotkamy na ulicy sędziego Trybunału czy sędziego Sądu Najwyższego. Ale codziennie na ulicy spotykamy zwolnionych nauczycieli z tej szkoły. I co im mamy powiedzieć?

Jesteśmy gotowi na zrobienie kroku do przodu, jeśli chodzi o rozdział państwa i Kościoła.

Mówi pan też wiele o prawie do mieszkania. Miło się tego słucha, ale o mieszkaniach mówią wszyscy. PiS ma program Mieszkanie+. A pan?

– Wiedeń dzisiaj jest uważany za jedno z najszczęśliwszych miast na świecie. Nieprzypadkowo. Otóż kiedy pytamy wiedeńczyków, dlaczego im się dobrze żyje, to odpowiadają, że również dlatego, że mają tanie i powszechnie dostępne mieszkania komunalne, tzw. Czerwony Wiedeń. Ludzie muszą mieć pewien standard, jeśli chodzi o planowanie swojej przyszłości. Kiedy zostałem prezydentem Słupska i przez cztery lata miałem dyżury co czwartek od godz. 15 do 20, to 95% problemów, z jakimi przychodzili do mnie mieszkańcy, to były złe warunki mieszkaniowe. I wiedziałem już wtedy, że jeśli chcę pomóc mieszkańcom mojego miasta, żeby zostali, nie wyjechali, to muszę im zapewnić dach nad głową. Żeby mieli zapewnione pewne minimum egzystencji, żeby nie musieli mieszkać z rodzicami, z teściami albo żeby nie musieli wynajmować.

To powszechne oczekiwanie.

– Dlatego politycy dziś czują, że mieszkalnictwo jest ważne. Tylko co oni mówią? Wspierać deweloperów! U mnie wspierali ich niektórzy radni,

Na warszawskich Powązkach pożegnaliśmy

PROF. ZDZISŁAWA SADOWSKIEGO

Wybitnego ekonomistę, reformatora polskiej gospodarki. Nauczyciela akademickiego. Powstańca warszawskiego. Męża stanu. Człowieka wybitnego i dobrego. Przyjaciela naszej redakcji.

Żonie Danucie i Synowi

serdecznie współczujemy

Jerzy Domański i zespół redakcyjny

eprasa.pl 2db340f6ca

Burza mózgów w Warszawie, 29 listopada 2018 r.

lobbowali, żebym uzbrajał grunty za grube miliony i przekazywał je deweloperom. A ja uważam, że równie dobrze może to robić państwo. Może uzbrajać tereny poprzez rozsądne planowanie przestrzenne, pilnowanie, żeby miasta się nie rozlewały. W Słupsku nie budowałem nowych bloków, bo miasta nie było na to stać. Ale uzupełniałem plomby, remontowałem pustostany. I co się stało? Oddawałem każdego roku dziesięć razy więcej mieszkań niż wcześniej. Uprzedzam – wstrzymałem remonty dróg przez pierwsze dwa lata. Ale remontowałem mieszkania. I dzisiaj wiemy, że m.in. dlatego wstrzymałem odpływ mieszkańców ze Słupska.

Wiem, co to znaczy, kiedy rodzice tracą pracę

Jest miasto wojewódzkie, w pewnym momencie przestaje być miastem wojewódzkim i nagle ludzie zostają sami…

– Ja to znam z autopsji! Dlatego kiedy słyszę polityków, którzy mówią, że trzeba odbierać np. 500+ tym, którzy tracą pracę, nie zgadzam się z tym. Bo moi rodzice stracili pracę w latach 90., kiedy zlikwidowano szkołę w Krośnie. Nas była czwórka i myślę, że gdyby wtedy było 500+, gdyby rodzice je dostawali, to pewnie nie musieliby wyjeżdżać do Stanów Zjednoczonych do pracy. I w którymś momencie znaleźliby pracę, tak jak później się stało. Wiem też, jak 500+ pomogło mieszkańcom mojego miasta.

Podczas burz mózgów pytam ludzi: kto z was zarabia średnią krajową? Praktycznie nikt nie podnosi ręki. Wszyscy zarabiają mniej!

W Słupsku…

– Niedawno spotkałem na ulicy w Słupsku panią, która powiedziała mi, że 500+ bardzo jej pomaga. Ona ma dzieci. I te dzieci wreszcie, po raz pierwszy w życiu, mogą wyjechać na wycieczkę. Powiedziała, że już więcej nie musi wypisywać zwolnienia, usprawiedliwienia, że dziecko jest chore. Bo do tej pory musiała oszukiwać… Ona to powiedziała, a mnie się przypomniało! Ja tak miałem w domu. Nie byłem na studniówce nie dlatego, że się rozchorowałem, chociaż moja matka takie usprawiedliwienie napisała, tylko dlatego, że nie mieliśmy pieniędzy. I wstyd było do tego się przyznać. Wszyscy z całej klasy byli na studniówce oprócz mnie. Do dzisiaj to pamiętam. I nie chcę, żeby ktokolwiek przechodził coś takiego, jak my przechodziliśmy. Ja wiem, jak się żyje w jednopokojowym mieszkanku w szóstkę i śpi na materacu, bo tak mieszkałem. I wiem, co to znaczy, kiedy rodzice tracą pracę, wiem, co to znaczy degradacja społeczna, kiedy mieszka się w mieście, które jest pozbawione wsparcia kraju.

Jesteśmy między dwoma mitami – mitem zielonej wyspy i krainy szczęśliwości oraz mitem Polski w ruinie. Z jednej strony, parametry mamy niezłe, z drugiej – milion ludzi, którzy nie mają pracy, i jeszcze więcej takich, którzy nie mogą związać końca z końcem, mimo że pracują.

– Plus 3 mln, które musiały wyjechać z Polski.

Do której Polski bardziej pan adresuje swoje posłanie? Tej, której się udało, czy tej drugiej? U pana też pobrzmiewają wątki programu społecznego PiS.

– Jest mi bardzo daleko do PiS. Ale dzisiaj polityk musi łączyć. Uważam, że naszym wyzwaniem jako polityków jest mierzenie rozwoju państwa

eprasa.pl 2db340f6ca

Branie ślubu w Słupsku stało się modne. 25 sierpnia br. „tak" powiedziało tu 10 par.

nie średnią PKB, lecz tak jak pisał prof. Bauman – najsłabszym ogniwem. Bo gdy jeżdżę na spotkania podczas burz mózgów i pytam ludzi, kto z was zarabia średnią, to praktycznie nikt nie podnosi ręki. Wszyscy zarabiają mniej niż średnia krajowa! Lepiej więc rozwój kraju mierzyć najsłabszym ogniwem. Patrzeć, kto jest zostawiony z tyłu, i wyrównywać szanse. Nie wszyscy są w stanie równo biec. A ten opuszczony, sfrustrowany, później zagłosuje na Kaczyńskiego. I dopiero jako społeczeństwo za to zapłacimy! Oczywiście trzeba także tworzyć przestrzeń dla tych, którzy chcą rozwijać skrzydła, budować wielkie biznesy, dawać pracę. Dlatego państwo musi być dobrze skrojone, musi dobrze funkcjonować.

Już nie bronili tamtej Polski

Czyli jest pan za silniejszym państwem?

– Oczywiście! Państwo nie może skapitulować. Nieprawdą jest, że wolny rynek wszystko ureguluje. Skutki tego widać nie tylko w Polsce. Wielkie firmy przejęły kontrolę nad naszymi państwami. Budżet Walmartu, wielkiej sieci handlowej w USA, jest większy niż budżet Węgier. A nie mamy instrumentów, które pozwoliłyby w partnerski sposób podchodzić do wielkich korporacji, złapać je za rękę, gdy wyprowadzają pieniądze do rajów podatkowych. Oto słabość państwa, które zostało podkopane przez neoliberałów wołających: wolny rynek! To wolny rynek sprawił, że 40 najbogatszych osób ma tyle bogactwa, ile biedniejsza połowa ludzkości. Że najbogatszy 1% ludzi posiada 82% światowego majątku. Pozostałe 99% posiada tylko 18% majątku. To obłęd! A klasa średnia i klasa ludowa płacą za to cenę. Nie tylko tę, że na coraz mniej nas stać, ale także cenę szkód klimatycznych. To my jemy mięso, które jest zatrute, to my oddychamy powietrzem, które jest zatrute, a nie oni.

> Projekt Ratujmy Kobiety został odrzucony głosami PO i Nowoczesnej!

Gdy pada słowo cena, to chociażby ci z PO zaraz zapytają: a skąd na to brać? Budżet nie jest z gumy! Komu zatem chce pan zabrać?

– Na razie zabiera się tym, którzy ciężko pracują, ale mało zarabiają. A powinno być inaczej – wyzwaniem dla Unii jest zmuszenie tych wielkich korporacji, które korzystają z jednego z największych rynków na świecie, z portfeli Europejek i Europejczyków, by w końcu zaczęły płacić podatki. Bo dziś nie płacą, wyprowadzają pieniądze.

Mówi pan, że patrzy w przyszłość. Ale w Polsce nie da się uciec od przeszłości.

– Mój tata był w PZPR, a mama w Solidarności. Na pewno nie byłoby mnie przy tym stole, gdyby nie państwo tworzone po 1945 r. To państwo dało szansę, żeby moi rodzice mogli się kształcić i pracować, żebym ja skończył szkołę. To dzięki temu państwu, na które dzisiaj tak wielu narzeka, choć są jego beneficjentami, zrobiliśmy ogromny skok cywilizacyjny. Można to wyśmiewać, można tego nie dostrzegać, ale taka jest rzeczywistość. Masową edukację, walkę z analfabetyzmem, zwalczanie chorób, zwalczanie ubóstwa, awans społeczny, rozwój miast, rozwój Słupska, Krosna, zawdzięczamy temu, co się działo po roku 1945. I o tym trzeba mówić. Wielkim zaniedbaniem moich starszych przyjaciół na lewicy było to, że nie potrafili tego obronić po roku 1989 w dostateczny sposób. Tak bardzo uwierzyli w neoliberalizm, wolny rynek, podatek liniowy i trzecią drogę Tony'ego Blaira, że już nie bronili tamtej Polski. Nie bronili historii lewicy, nie bronili dąbrowszczaków, nie opowiadali o Kościuszce, o tych, którzy walczyli za naszą i waszą wolność. Dzisiaj płacimy za to ogromną cenę.

Bo historię pisze nam prawica z IPN.

– Pamiętam, że jako poseł każdego roku w Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka składałem wniosek o likwi-

eprasa.pl 2db340f6ca

dację budżetu Instytutu Pamięci Narodowej. A on z każdym rokiem rósł! Każdego roku za rządów PO. I każdego roku posłowie PO śmiali mi się w twarz, gdy mówiłem, że IPN buduje potęgę Rydzyka i Kaczyńskiego. A oni z tego się śmiali. IPN nie może być instrumentem do fałszowania historii. Tylko niestety nasi koledzy i koleżanki – tu trzeba się uderzyć w piersi – starsi w wierze lewicowej, nie dopilnowali, żebyśmy pamiętali o bohaterach i o tych, którzy dla lewicy są ważni. Żebyśmy stworzyli instrumenty, za pomocą których moglibyśmy historię przypominać. Czyli także media – które byłyby silne, które mogłyby prezentować w rzetelny sposób perspektywę postępową, perspektywę wrażliwości społecznej. Jak patrzę na to, co stworzyli liberałowie, co stworzyli prawicowi populiści, jakie machiny medialne, to ogarnia mnie zazdrość.

Nie byłoby mnie przy tym stole, gdyby nie państwo tworzone po 1945 r.

Dla nich byłem dobry, kiedy byłem miłym gejem

To teraz te machiny będą pana rozjeżdżać. Gdzieś już wyczytaliśmy, że Robert Biedroń skarżył się, że jest strasznie kopany.

– Byłem dla nich dobry, kiedy byłem miłym gejem, pijącym wodę z kranu w Słupsku, jeżdżącym na rowerze, dbającym o zwierzęta… Bo można było przyjechać z kamerą, pokazać, jak Magda Gessler gotuje bigos. To było miłe, to nikomu nie szkodziło, to sprawiało, że wołali: zobaczcie, jaki fajny ten Słupsk, jaki fajny prezydent, inny niż wszyscy. Dostawałem nagrody, każdego roku byłem wyróżniany w konkursie „Newsweeka" na najlepszego prezydenta, Tomasz Lis wręczał mi dyplom, mam te wszystkie dyplomy. I nagle, kiedy powiedziałem, że wchodzę do wielkiej polityki, okazało się, że jestem najgorszym prezydentem! Nic mi się nie udało! Katastrofa! To jest myślenie z tej bajki. Te tłumy, które przychodzą na spotkania ze mną, na burzę mózgów, pokazują, że to tamci żyją w bańce, nie zdają sobie sprawy, że tworzona przez nich tyle lat rzeczywistość odchodzi w niepamięć. Ludzie potrzebują zmiany i ta zmiana nadejdzie. To kwestia paru miesięcy.

Robert Biedroń – widzimy pana, ale nie wiemy, kto z panem idzie. Gdzie jest ta szersza grupa?

– W dzisiejszych czasach polityka kumuluje się wokół liderów. Można na to narzekać, można próbować inaczej – moi młodsi siostry i bracia w wierze, partia Razem, spróbowali inaczej i zapłacili ogromną cenę – a można próbować to zrozumieć i wykorzystać. Ja staram się być w tym wszystkim skuteczny. Buduję swoją drużynę pieczołowicie i bardzo dokładnie. Za to odpowiada Krzysztof Gawkowski jako ten, który buduje struktury. Jednocześnie wykorzystuję do tej budowy swoją osobę. Dlatego dziś to może tak wyglądać, że jest jeden Biedroń. Ale w przypadku każdego ruchu tak to wygląda.

Platforma zaczynała to w trójkę, postawiła na ludzi z różnych środowisk. Oni przyciągnęli różne środowiska. Czasami zupełnie przeciwstawne.

– Wolę, żeby obok mnie stanęli ludzie, których wartości znam – i są to wartości mi bliskie. Ja nie jestem jak zupa pomidorowa, nie muszę wszystkim smakować, ale chcę, żeby poglądy postępowe były obecne w polskiej polityce. Wierzę w nie. I wiem, że państwo będzie lepiej funkcjonowało, a ludzie lepiej żyli, jeżeli one zaistnieją.

Myślę o przyszłości, a nie o przeszłości.

Jeżeli macie tak wyraźnie zdefiniowane poglądy, to po co te spotkania? Te burze mózgów?

– Po to, żeby wyjść także z naszej bańki. Posłuchać, co ludzie mają do powiedzenia. Jeżeli mówię o rozdzieleniu państwa i Kościoła, o walce ze smogiem, o wyrównaniu szans, to ciekaw jestem, co ludzie na to odpowiadają. Nie skończyłem uniwersytetu dla polityków. Nie ma czegoś takiego. Lekarz kończy medycynę, prawnik – prawo. A polityk może się uczyć tylko od społeczeństwa. Jak nie wystawię w Słupsku swojej czerwonej sofy, jak nie zorganizuję burzy mózgów, to nigdy nie zrozumiem ludzi w całej Polsce. A jak ich nie zrozumiem – to nie wygram.

Jerzy Domański i Robert Walenciak

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, HUBERT BIERNDGARSKI/REPORTER

ABC jak kupić Przegląd

Szanowny Czytelniku! Jeśli masz problem z kupieniem PRZEGLĄDU lub dostawą prenumeraty, skontaktuj się z nami:

tel. 22 635 84 10 wew. 120
kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

A **Przegląd** można kupić

- w salonikach prasowych **Kolportera, Garmond Press, Pol Perfectu, GLM i Empiku**
- wybranych sklepach sieci **Auchan, Carrefour, E.Leclerc, Intermarche, Kaufland, Tesco, Żabka**
- na stacjach paliw **BP, Circle K i Lukoil**

Pełna lista sklepów na naszej stronie **www.tygodnikprzeglad.pl**

B **Przegląd** można czytać jako e-wydanie

- **Cena tylko 3,50 zł**

sklep.tygodnikprzeglad.pl

C **Przegląd** można zaprenumerować

Najlepiej w redakcji.
Zamówienie należy złożyć:

- poprzez **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
- **wpłacając odpowiednią kwotę na konto Fundacji Oratio Recta**

72 1090 2851 0000 0001 2023 0921

Szczegóły prenumeraty na s. 19

tel. 22 635 84 10 wew. 120
kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2db340f6ca

ZIELONE PASKI NADZIEI

Do dziś nie wiemy, jak to się stało. Zebraliśmy 330 tys. zł w pięć godzin. Myśleliśmy, że coś w tym liczniku się popsuło. Tak się pomaga na Siepomaga

Anna Brzeska

PASEK I – Marianka, 4 miesiące, wrodzona wada serca

8 sierpnia w Poznaniu, po naszych długich staraniach o dziecko, a potem zagrożonej ciąży, urodziła się Marianna. Następnego dnia po porodzie pani doktor zauważyła, że coś jest nie tak. Okazało się, że Marianka nie ma połowy serduszka, brakuje jego lewej komory. Taka wada nazywa się HLHS – opowiada mama Marianki Ania Andrzejczak. – 10 sierpnia trafiliśmy do kolejnego szpitala w Poznaniu, bardziej specjalistycznego.

Po 10 dniach Mariannę przetransportowano samolotem do Warszawy. 22 sierpnia zakwalifikowano ją do zabiegu cewnikowania serca, który miał wykazać, czy może zostać poddana korekcji wady serca. – Niestety, po cewnikowaniu stan Marianny dramatycznie się pogorszył. Powiedziano nam, że mamy pożegnać się z dzieckiem, ponieważ doszło do niedotlenienia – opowiada Ania. – Mieliśmy 30 sekund, zanim została przewieziona na operację ratującą życie.

Marianna przeżyła, ale lekarze powiedzieli, że nie kwalifikuje się do operacji, ponieważ ma zbyt małą aortę. Kolejne 22 dni spędziła na OIOM. Ania: – Zaproponowano podawanie leku, który podtrzyma serce Marianki, ale bardzo ją osłabi. To było czekanie, czy ta aorta urośnie. Gdy zapytaliśmy, jakie są szanse Marianny, powiedzieli nam wprost, że mieli dwójkę takich dzieci; jedno zmarło, drugie jest w ciężkim stanie. Widzieliśmy, że z dnia na dzień jest coraz gorzej. Ona już praktycznie nie płakała, była sina, nie ruszała się, nie mogła już sama pić – mówi Ania. – Wtedy trafiliśmy na naszego anioła, panią Olę Lignar-Czyż z fundacji Cor Infantis, która nas popchnęła do działania. Dała nam kontakt do prof. Edwarda Malca, chirurga operującego w Niemczech, w klinice w Münsterze. Opisaliśmy mu całą sytuację. Już następnego dnia dostaliśmy zaproszenie na konsultację do Krakowa. Profesor zgodził się przeprowadzić operację.

Niestety, w kolejnych dniach Marianna czuła się coraz gorzej. – Po prostu gasła w oczach – opowiada Ania. – Napisałam do pana profesora i po 15 minutach dostałam odpowiedź, że mamy natychmiast organizować transport do Niemiec.

Ola Lignar-Czyż z Cor Infantis i Marta Sikorska z Siepomaga zbiórkę uruchomiły w kilka godzin. Potrzebne było aż 330 tys. zł. Zielony pasek Marianny ruszył 10 września. – Do dziś nie wiemy, co się stało. Nikt nie potrafił nam tego wytłumaczyć. To był cud. Pieniądze zaczęły lecieć jak szalone. Myśleliśmy, że coś się tam zepsuło. Uzbieraliśmy całą sumę w pięć godzin.

Zbiórka dla Marianny
siepomaga.pl/marianna
Marianna Andrzejczak:
siepomaga.pl/marianna
SMS pod numer 72365
treść: S13465
Jego koszt to 2,46 zł brutto (w tym VAT)

Ania była wtedy w szpitalu, przy Mariannie: – Wieczorem, gdy już wszystko załatwiliśmy, zebraliśmy wszystkie zgody na przelot, usiadłam i zobaczyłam na stronie zbiórki, że nasz zielony pasek ma już 50%. Wtedy pierwszy raz od miesiąca płakałam ze szczęścia, nie wierząc, że tyle osób chce pomóc mojej córce. Wiem, że gdyby to wszystko nie stało się tak szybko, Marianny nie byłoby dziś z nami, prof. Malec powiedział, że to był ostatni moment.

W niemieckim szpitalu Marianna została natychmiast poddana pierwszemu etapowi leczenia wady serca – operacji Norwooda. Jej mama zetknęła się zaś z rzeczywistością, w którą nie mogła uwierzyć: – Każdy chciał pomóc. Mamy innych dzieci z Polski przyniosły mi kolację. Cały czas mogłam być z Marianną. Dostałam łóżko z pościelą, miałam zapewnione wyżywienie. Mariusz był tuż obok, miał miejsce w przyszpitalnym hotelu. W Polsce natomiast mogliśmy Mariannę odwiedzać na OIOM tylko od godz. 12 do 22, więc siedzieliśmy na zmianę w poczekalni, żeby każde z nas mogło spędzić z dzieckiem jak najwięcej czasu.

Między gratulacjami i słowami otuchy, które otrzymują rodzice chorych dzieci, można jednak znaleźć i szpile. Czego dotyczą? Oczywiście pieniędzy. Bo – jak twierdzą autorzy przykrych postów – zebrana forsa płynie na Zachód.

Ania: – Opowiem historię, którą usłyszałam od jednej z mam w Münsterze. Stan jej synka po porodzie był bardzo niestabilny. W nocy przyszła go odwiedzić i zastała prof. Malca siedzącego przy chłopcu. Który lekarz w Polsce przyjeżdża – poza dyżurami – do swoich pacjentów w nocy, by zobaczyć, jak się czują? Który pracuje od godz. 6 rano do 19?

eprasa.pl 2db340f6ca

Bo prof. Malca i doc. Katarzynę Januszewską w takich godzinach tam się spotykało. Lekarz w Polsce, który operował Mariannę, rozmawiał z nami może pięć minut, później już go nie widzieliśmy. Co zaś do pieniędzy – jesteśmy ubezpieczeni w Polsce, więc jeśli jedziemy tam, musimy zapłacić za operację, za którą nie muszą płacić Niemcy. Szpital, w którym była operowana Marianna, to szpital uniwersytecki, nie żadna prywatna klinika. Dowiedziałam się, że profesor wynegocjował niższe stawki za operacje polskich dzieci, niż płaci niemiecki odpowiednik NFZ za operacje dzieci tam ubezpieczonych.

Odpowiedzi na pytanie, dlaczego prof. Malec nie operuje w Polsce, on sam udzielał już wielokrotnie. Przyczyny jego odejścia ze szpitala w Prokocimiu opisała w 2005 r. krakowska „Gazeta Wyborcza". Władze szpitala i współpracownicy zarzucali mu „grubiańskie zachowanie" i grozili konsekwencjami. Z komentarza profesora, udzielonego wtedy „Gazecie": „Kiedy widzę, że któryś z lekarzy mógł zrobić dla dziecka więcej, niż zrobił, nie przebieram w słowach. Tam, gdzie zaczyna się walka o życie dzieci, kończy się u mnie pobłażliwość dla kolegów po fachu (...). Niech pani popatrzy, ledwie minęła godz. 15, a w szpitalu zostali tylko ci lekarze, którzy mają dyżury. Reszta się ulotniła, zarabiają pieniądze gdzieś na mieście".

– To, co ludzie mówią o prof. Malcu, jest karygodne – stwierdza mama Marianki. – W Polsce mówili nam tylko, że mamy się nie przywiązywać do dziecka. Tymczasem po dwóch tygodniach od operacji w Niemczech wróciliśmy do domu.

Marianna rozwija się dobrze, uśmiecha się, zaczyna gaworzyć. Ale przyszłość wciąż jest niepewna. – Budzimy się w nocy i sprawdzamy, czy oddycha – przyznaje Ania. – Wada serca jest jak tykająca bomba, z którą musimy nauczyć się żyć. Leczenie ma trzy etapy. Nikt nie przywróci Mariannie lewej komory serca. Lekarze robią to tak, by ono „nauczyło się" funkcjonować tylko z prawą komorą.

Przed Marianną etap drugi – operacja, która zostanie przeprowadzona, gdy dziewczynka będzie miała sześć miesięcy. Ania: – Niedawno dostaliśmy potwierdzenie, że operacja odbędzie się 8 lutego. Znów więc zbieramy środki. Są licytacje, na które pozyskujemy darczyńców. Niedawno zorganizowaliśmy w Kostrzynie Wielkopolskim kiermasz. Wszyscy w naszej małej, wiejskiej społeczności nam pomagają. Sprzedawaliśmy ciasto, stroiki świąteczne, była loteria fantowa, przyjechali wokaliści. Był też bieg charytatywny dla Marianny w Swarzędzu i kolejne kiermasze, tym razem w Gnieźnie i Skórzewie. W różnych punktach Poznania stoją puszki.

PASEK DRUGI – Kaja, 6 lat, druga wznowa neuroblastomy

Ania i Mariusz musieli zebrać pieniądze właściwie natychmiast – życie ich córki wisiało na włosku. I udało się. Wyświetlający się na portalu pasek, pokazujący, jaki procent kwoty został już zebrany, w pięć godzin zmienił się w całości z białego na zielony. Ale zielony pasek innej dziewczynki, Kai, walczącej z neuroblastomą, wciąż nie dotarł nawet do połowy, mimo że na jej leczenie wpłaciło już ponad 40 tys. osób. Kwota do zebrania jest jednak nieporównanie większa – to aż 4 mln zł.

Katarzyna Czerwińska, mama: – Kajeczka ma drugą wznowę neuroblastomy. Tym razem guz wyszedł pod kolankiem. Otacza całą tętnicę podkolanową, więc jest problem z operacją. Od dwóch miesięcy jesteśmy znów w Niemczech, w Greifswaldzie, i rozpoczęliśmy leczenie.

Kaja choruje już cztery lata. W kraju przeszła wszystkie możliwe terapie. Niestety, polscy lekarze nie mają do dyspozycji leków, które są dostępne np. w Niemczech. Kosztorys zbiórki opiewa na półtora roku leczenia – są to różne złożone terapie, m.in. chemioterapia, która będzie trwała około pół roku, w grę wchodzi też przeszczep.

Kaja miała już jeden. Teraz, ponieważ choroba wróciła, lekarze biorą pod uwagę drugi. Rozważają też kolejną w przypadku Kai terapię przeciwciałami w połączeniu z dodatkowym lekiem – nivolumabem.

Katarzyna: – Przed poprzednim leczeniem przeciwciałami również zbieraliśmy pieniądze przez Siepomaga. Niestety, tak nieszczęśliwie się złożyło, że chwilę wcześniej Polska wstrzymała protokół tego leczenia i nie było wiadomo, na jak długo. A ponieważ Kaja miała po przejściu jeszcze wcześniejszej terapii zmiany w kościach, baliśmy się, że choroba szybko wróci. Po konsultacjach z lekarzami przyjechaliśmy więc tutaj. Tamta kwota to było jednak 150 tys. euro. Niemało, ale przecież osiem razy mniej niż teraz.

Internetowy opis zbiórki Kai wyciska łzy: „Nie ma już wymarzonych warkoczy, Kaja znów ma zupełnie łysą główkę. Nie ma już miejsca w szkolnej ławce obok koleżanki, jest szpitalna sala na oddziale onkologii, w której leży nasza Kajeczka. Nie ma już wygłupów, jest grymas bólu i dojście centralne, przez które popłyną kolejne litry chemioterapii… Wszystko, o czym Kaja marzyła – tego już nie ma. Runęło jak domek z kart wraz z jednym słowem, esencją cierpienia i raka, słowem, którego baliśmy się jak niczego innego na świecie. Wznowa".

Katarzyna: – Po poprzednich dziewięciu miesiącach leczenia przeciw-

Zbiórka dla Kai

siepomaga.pl/walka-kai

Kaja Czerwińska:
siepomaga.pl/walka-kai

SMS pod numer 72365
treść: S13959

Jego koszt to 2,46 zł brutto (w tym VAT)

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 2db340f6ca

ciałami wszystko było dobrze. Udało się zapisać Kaję do zerówki, poszła do szkoły, ale po ośmiu miesiącach choroba wróciła. Kaja zdążyła pobyć wśród rówieśników tylko dwa tygodnie. A potem zaczęła narzekać, że boli ją nóżka pod kolanem. Największym problemem jest to, że to nowotwór na układzie nerwowym. Może pojawić się wszędzie, gdzie człowiek ma zwoje nerwowe. Wcześniejsza wznowa była w kościach, więc nowotwór bardzo obciążył organizm Kai. W tej chwili pojawił się w tkankach miękkich.

W Polsce na Kaję czekają siostra i tata. – Starsza córka, mimo że ma już 10 lat, nie jest w stanie tego wszystkiego pojąć. Ja nie pracuję zawodowo – od czterech lat Kaja wymaga stałej opieki – mówi Katarzyna. – Żyjemy z dnia na dzień. Jednego dnia chemioterapii jest dobrze, drugiego dnia coś zaczyna się dziać – powikłania, spadek wyników, przetaczanie krwi. Zdarzają się też infekcje. I skutki uboczne – mdłości, wymioty, ból gardła, afty. To jest bardzo trudne leczenie również z tego względu, że Kaja ma już sześć lat i wiele rozumie. Jest bardzo silna, ale przecież jest także zwykłą dziewczynką, która chce się bawić lalkami, rysować. Do tego dochodzi tęsknota za domem – to niestety duża odległość. Jesteśmy tu od dwóch miesięcy, a udało nam się pojechać do domu jedynie dwa razy – i tylko na kilka dni.

Leczenie Kai już się zaczęło, mimo że zebrano dopiero ok. 1 mln zł. – Raz na tydzień jestem wzywana do księgowości i przedstawiam im zbiórkę. Mają nawet do niej link – wyjaśnia Katarzyna. Wie, że szpital potrzebuje tych środków i nie ma możliwości, by leczenie było długo kontynuowane bez kolejnych wpłat.

Mama Kai podkreśla wagę tego, że niemieccy lekarze wciąż mają czym leczyć dziewczynkę. Nadzieję widzi też w tym, że badania nad neuroblastomą się rozwijają, pojawiają się kolejne metody walki z chorobą. Poza tym stan córki się poprawił. – Postępy na pewno widać. Wcześniej te zmiany nowotworowe dosłownie było można wziąć w rękę – opowiada. – Teraz są mniej wyczuwalne pod skórą, a przecież leczenie trwa dopiero dwa miesiące.

Kasia i Kaja marzą więc teraz, by wrócić do domu na święta.

Anna Brzeska

MOC POMAGANIA

Chcemy, żeby ludzie mieli świadomość, że gdy przychodzą do Siepomaga, to tu zostanie zrobione wszystko, żeby im się udało

Rozmawia Anna Brzeska

Uczestniczę w zbiórkach Siepomaga od kilku lat i wciąż zachwyca mnie jego fenomen. Byłam świadkiem, jak w krótkim czasie zbieraliście ogromne sumy. Skąd pomysł na taki portal?

Monika Urban: – Siepomaga został założony w 2009 r. przez mojego obecnego męża, Patryka Urbana. Kończył wtedy kierunek e-biznes na Uniwersytecie Ekonomicznym. Mimo że pracował w centrali jednego z banków, wiedział już, że ma duszę wolnego ptaka i chce robić coś samodzielnie. Ponieważ był dobry w makietowaniu i projektowaniu serwisów, a jednocześnie widział ogromną wartość w niesieniu pomocy drugiemu człowiekowi, chciał wymyślić coś, w czym mógłby łączyć obie te rzeczy. Patryk do dziś śmieje się z historyjki z początków działalności, kiedy to jeden z dziennikarzy miał przeprowadzić z nim wywiad i próbował wycisnąć z niego motywy założenia portalu. Dopytywał: A czy pan jest chory? A może ktoś w rodzinie? Nie? Co w takim razie w pana życiu się wydarzyło, że zdecydował się pan zająć taką działalnością? Gdy usłyszał, że właściwie nic, stwierdził, że wywiadu nie będzie (śmiech). Takie zwykłe zaangażowanie człowieka w pomaganie wydało mu się mało interesujące.

O, to ja mam odwrotnie. Co było dalej?

Agnieszka Nowik: – Gdy przyszłam do start-upu Patryka, panowała w nim wtedy taka męska wiara w to, że firmy, które mają pieniądze, bardzo będą chciały nimi się dzielić. Byliśmy przekonani, że przynosimy do Polski coś, co świetnie działa w Stanach, Wielkiej Brytanii czy Niemczech – tzw. koncepcję CSR (od ang. *corporate social responsibility* – społeczna odpowiedzialność biznesu, czyli strategia budowania przedsiębiorstwa uwzględniająca interes społeczny czy ochronę środowiska – przyp. red.) – łatwą, dostępną w każdej chwili, niewymagającą ogromnego zaangażowania środków, a jednocześnie dającą niesamowite efekty. Ale okazało się, że z jakiegoś powodu u nas to nie działa.

M.U.: – Pamiętajmy jednak, że wszystko to działo się 10 lat temu i nawet jeśli istniały zagraniczne serwisy, które ułatwiały pomaganie, to nie w takiej formie, jaką mają teraz. Facebook dopiero się pojawił i mało kto miał tam konto, nie było Linkedlna, Instagrama, influencerów. Trzeba też mieć świadomość, że to był czas kryzysu. Firmy zwa lniały całe działy.

A.N.: – Z drugiej strony w tamtym czasie nasz projekt obudził w ludziach potrzebę niesienia dobra, sukcesu, żeby coś w końcu się udało. Pomaganie okazało się dobrym na to sposobem. Brakowało nam jednak zupełnie nowego toru – fundacje miały swoje ulotki i strony internetowe, które właściwie były odzwierciedleniem tych ulotek. Nikt nie wierzył, że można coś zmienić.

Czy Siepomaga to od początku były indywidualne zbiórki w formie – powiedzmy – aukcji?

M.U.: – Jeśli chodzi o serce serwisu, wyglądało ono podobnie jak dziś – zawsze były to zbiórki wyznaczonej kwoty w założonym z góry czasie.

A.N.: – Przełom nastąpił, gdy zwróciliśmy się do zwykłych ludzi, a nie do firm. To było niecałe cztery lata po powstaniu portalu. Wtedy przyszła do nas Monika – z biznesu, a więc z zupełnie innej rzeczywistości. Ja już wcześniej wsiąkłam w to pomaganie. Wydawało mi się, że jesteśmy w tym wszystkim jakby drugoplanowi, że jedynie dzięki czyjejś łasce możemy cokolwiek dostać.

M.U.: – W tamtym trudnym dla Siepomaga czasie to ja zostałam postawiona na czele. I na korzyść

eprasa.pl 2db340f6ca

AGNIESZKA NOWIK
– członkini zarządu, która współtworzyła portal niemal od początku

MONIKA URBAN
– prezeska Siepomaga, największego portalu zbiórek charytatywnych w Polsce

portalu zadziałała kobieca natura. Bo my, kobiety, mamy potrzebę zrozumienia wszystkiego, dowiedzenia się wszystkiego i zaangażowania się nawet w małe szczegóły. Patryk zajął się innymi wyzwaniami zawodowymi, a my zostałyśmy z Agnieszką we dwie.

Co takiego wtedy się wydarzyło?

A.N.: – Monika postawiła nas na pierwszej linii. Przyniosła założenie, że fundacja musi z biznesem konkurować – nie przez akcje proszenia o coś, ale przez marketing.

Mam wrażenie, że w charytatywności bardzo brakuje porządnej pochwały, podziękowania.

M.U.: – Tak, ponieważ od tego, jak pokierujemy naszymi działaniami – np. przez konto na Facebooku – zależy, czy osoba przeglądająca stronę kupi 10. sukienkę, czy pomoże osobie potrzebującej. Przecież to z biznesem dzielimy kanały promocyjne.

To był więc przełom?

A.N.: – Pojawienie się Moniki zadecydowało o naszym być albo nie być. Nagle okazało się, że czegoś takiego jak Siepomaga bardzo brakowało. Poza tym Monika również miała dziecko i umiała te emocje pokazać inaczej – nie jako ładny obrazek z melodyjką w tle – ale tak, by inni ujrzeli, że ich także to dotyczy, by inne mamy chciały te dzieci uratować, otoczyć opieką. Zobaczyć, jaki dramat przeżywają ci ludzie. Okazało się, że możemy robić cuda i potrzeba było do tego kobiecego pierwiastka.

M.U.: – Postawiłyśmy też przede wszystkim na naukę. Rozmawiałyśmy wciąż z „pomagaczami". Chciałyśmy być mądre – uczyć się, by móc pomagać jeszcze lepiej. Analizowałyśmy wszystkie mejle, zapytania. Zastanawiałyśmy się, czego brakuje tym ludziom – czy może funkcjonalności portalu, a może porządnej pochwały, podziękowania? Mam wrażenie, że właśnie tego bardzo brakuje w charytatywności. Ludzie, którzy dokonują dużych rzeczy, mimo że mówią dziękuję – i tak na końcu wykrzykują, że właśnie oni coś zrobili. U nas zawsze kładliśmy nacisk na to, że jesteśmy drużyną. I dzięki temu ci ludzie czują się ważni. Poza tym Siepomaga od zawsze było pierwsze. Nie istniało nic, na czym moglibyśmy się wzorować. Trudno nam było nawet znaleźć księgową, która by się połapała w naszej działalności, podobnie było z biurem prawniczym.

To brzmi jak opis rozwoju profesjonalnego biznesu, nie akcji proszenia o pomoc.

M.U.: – Jeśli chodzi o proszenie, zawsze kładłyśmy duży nacisk na relacje z podopiecznymi – żeby nie czuli się jak petenci. Przede wszystkim nie chciałyśmy tworzyć miejsca, gdzie ktoś idzie i myśli: „Może sobie troszkę dozbieram, może troszkę się uda". Ja chcę, żeby ludzie mieli świadomość, że gdy przychodzą do Siepomaga, to tu zostanie zrobione wszystko, żeby im się udało.

Jak wspomniałam wcześniej, my, kobiety, chcemy wiedzieć wszystko. Mnie bardzo interesowało, kim są osoby potrzebujące. Stworzyłyśmy więc z Agą procedurę rozmawiania z nimi. Redaktor, czyli osoba zajmująca się daną zbiórką, jest dosyć długo szkolony, a wcześniej skrupulatnie przez nas wybierany. Na bazie wielu przypadków uczy się, jak sobie poradzić w rozmowie z matką, która nie wie, czy jej dziecko w ogóle przeżyje. Chodzi przecież nie o to, by przez godzinę siedział i słuchał czyjegoś płaczu, tylko by umiał tę osobę sprowadzić z powrotem na tor opowiadania jej historii.

Kiedyś opisy zbiórek były po prostu redagowane na zasadzie poprawnej wypowiedzi. Ja nie wiem, czy potrafię pisać poprawnie – pewnie od razu wylaliby mnie z polonistyki – natomiast na pewno umiałam pisać inaczej. Zaczęłam więc tworzyć bardzo emocjonalne opisy zbiórek. Dlaczego takie? Spotykałyśmy się nieraz z zarzutem, że nasze opisy są łzawe i dramatyczne. Chylę więc czoła przed tym, kto wesolutko i w podskokach opisze historię umierającego dziecka. Zdarza się też jednak, że to rodzice próbują zakrzywić ten obraz. Wypierają to, jak jest, próbują się utwierdzić w przekonaniu, że jest dobrze. Nie potrafią się otworzyć,

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 2db340f6ca

mówić o chorobie. Tylko że w ten sposób nie uzbieramy ani złotówki. To nie jest dobry moment na podkreślenie, że „jesteśmy tacy jak wy". Trzeba więc rozmawiać z potrzebującymi bardzo delikatnie i odpowiedzialnie, by nikogo nie urazić. Myślę, że nigdy tego nie zrobiliśmy.

Dlaczego ludzie tak bardzo chcą pomagać właśnie przez Siepomaga?

M.U.: – Darczyńcy wiedzą, że nasze zbiórki są prawdziwe i zweryfikowane. Opiekun każdej zbiórki Siepomaga ma dostęp do kosztorysów i cenników szpitala czy sprzętu. Mamy także pewność, że dana osoba może podjąć leczenie, nie jest tak, że znalazła je sobie w internecie i sądzi, że jak uzbiera 10 mln zł, zostanie na nie przyjęta. Sprawdzamy też, czy dany potrzebujący zbiera pieniądze na leczenie, a nie na spłatę rat za telewizor. To opiekun ustala więc kwotę zbiórki, termin jej zakończenia. I to zawsze on – nie rodzice dzieci – przygotowuje opis zbiórki.

Czym jeszcze się zajmuje?

M.U.: – Odpowiada na wszelkie pytania związane ze zbiórką, jest w stałym kontakcie z rodzicami, ustala szczegóły promocji. Obecnie mamy ok. 300 aktywnych zbiórek – w redakcji pracuje sześć osób.

A.N.: – Na początku byłyśmy tylko we dwie i same tworzyłyśmy wszystkie opisy zbiórek. Żyłyśmy nimi. Taki był bum na Siepomaga.

Sprawdzamy, czy dany potrzebujący zbiera pieniądze na leczenie, a nie na spłatę rat za telewizor.

Musiałyśmy więc tę redakcję rozbudować. Wcześniej ludzie nie wierzyli, że zebranie takich kwot jest możliwe. Ci, którzy słyszeli o leczeniu rzadkich chorób gdzieś w Stanach, nagle zyskiwali nadzieję, że im również się uda. Potrzebowali pomocnej dłoni.

Pierwsza naprawdę ogromna zbiórka?

A.N.: – W 2015 r. dla Zuzi Machety, cierpiącej na pęcherzowe oddzielanie się naskórka (ang. EB). Na leczenie w Minnesocie w sumie potrzebne było 6 mln zł. I udało się! Dla porównania – wcześniej zbieraliśmy np. na operacje serca – po 160 tys. Potem dzieci zaczęły wyjeżdżać na immunoterapię – ostatni etap leczenia neuroblastomy. Jednorazowo to były kwoty ok. 200 tys. zł. W międzyczasie dowiadywaliśmy się o nowych sposobach leczenia rzadkich chorób. Jednak kwoty były tak ogromne, że rodzice nie chcieli nawet budzić w sobie nadziei. Ale to już się działo. Zaczęli do nas się zgłaszać rodzice dzieci z takimi wadami serca, które leczy jeden lekarz na świecie – prof. Frank L. Hanley. Jednak koszty tych operacji są olbrzymie – i nie mamy na nie wpływu. Te rodziny, te dzieci są potem świadectwem, że można. I że nie trzeba mieć żadnych niesamowitych znajomości.

Opiekun każdej zbiórki Siepomaga ma dostęp do kosztorysów i cenników szpitala czy sprzętu.

Z drugiej strony trudno tak wyjść i poprosić o pieniądze, a jednocześnie nie czuć się odartym z prywatności czy godności. Ci rodzice czasem nie wiedzą, czy wypada im kupić drugiemu dziecku kurtkę lub iść na kawę z koleżanką. Czy w ogóle wypada cokolwiek – może powinni mieszkać pod mostem i wszystko wyprzedać? Oni więc potrzebują też kogoś, kto im powie: „Wy dążycie do normalności, a te miliony, które trzeba zebrać, nie są przecież na życie w luksusie, ale na leczenie, na którego koszt nie macie wpływu".

Pewnej otwartości wymaga również to, co się dzieje później – żeby rodziny, jadąc na leczenie, nie odcinały się od pomagających. A tych często jest bardzo wielu. W przypadku Zuzi to było 80 tys. osób – jak miasto wielkości Konina!

M.U.: – Proszę obejrzeć nasz spot „Największa moc pomagania". Pokazuje naszą wspólnotę i emocje, które towarzyszą zbiórkom. Ale więcej mówić nie będę, bo to trzeba zobaczyć.

A jednak jest i hejt. To przeszkadza?

M.U.: – Nie. Dla nas to tylko element tego wszystkiego. Wiemy już, że wynika głównie z niewiedzy. Jest coś takiego w ludziach, że zanim zechcą się dopytać, muszą z siebie coś wypluć. Była np. grupa, która komentowała leczenie siatkówczaków. Ludzie pytali, dlaczego są zbierane pieniądze na ratowanie oczu, skoro wystarczy je usunąć i dzieci będą żyły.

Są jakieś inne trudności w prowadzeniu portalu?

M.U.: – Nie wiem, mnie jest dobrze! Ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby istniało bardziej restrykcyjne ustawodawstwo – żeby prawo choć trochę wymusiło etyczne zachowania. Internet jest studnią bez dna. Wystarczy wrzucić doń kilka słów, by chwycić ludzi za serce. A potem się okazuje, że w sieci ktoś przez miesiąc zbiera pół miliona złotych na leczenie nieistniejącego dziecka – i w akcję zaangażowani są nawet celebryci. Dlaczego nie ma ustawodawstwa, które nie pozwalałoby na takie sytuacje, które przekazałoby prowadzenie zbiórek w ręce organizacji pozarządowych?

Co jeszcze trzeba zrobić?

M.U.: – W ramach celów statutowych finansujemy rozwój badań i leczenia w Polsce. Naszym marzeniem jest nie tylko organizować zbiórki internetowe, ale też zacząć coś zmieniać w naszym kraju. Czasem spotykamy się z zarzutami, że wyprowadzamy całość środków za granicę – dzięki czemu rozwijają się tamtejsze ośrodki medyczne, a nie nasze. Dlatego remontujemy sale porodowe w szpitalu przy ulicy Polnej w Poznaniu, kupiłyśmy również najnowocześniejszą z możliwych karetkę na oddział neonatologiczny. A także defibrylatory i sprzęt na oddział urologiczny. Gdybym miała wybór, czy mogę zbierać na operację w Polsce, czy za granicą – przy założeniu, że dziecko tu miałoby identyczną opiekę, jak ma tam – oczywiście wolałabym, by było operowane w Polsce. Problem w tym, że nie mamy tego wyboru, więc wybieramy leczenie, które daje dziecku lepsze perspektywy. Często jest to też wybór „albo tam, albo nigdzie". Poza tym nie jest sztuką usunąć dziecku oko. Ale to dziecko będzie żyło z jednym okiem być może przez kolejne 75 lat. A co jeśli nowotwór zaatakuje drugie? Fundujemy człowiekowi życie w ciemności. Robimy więc tyle, ile możemy, chcąc robić jeszcze więcej tu, w Polsce.

Anna Brzeska

eprasa.pl 2db340f6ca

W ciągu roku 8 numerów gratis, czyli 2 miesiące za darmo!

PRENUMERATA 2019

ZAMÓW OD DOWOLNEGO NUMERU

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

PRENUMERATA	EKONOMICZNA:	PRIORYTETOWA:
ROCZNA	289 zł	329 zł
PÓŁROCZNA	149 zł	169 zł
KWARTALNA	79 zł	89 zł

tel.: 22 635 84 10 wew. 120 kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

DOWÓD / POKWITOWANIE DLA WPŁACAJĄCEGO

nr rachunku odbiorcy: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

nr rachunku odbiorcy c.d.:

odbiorca: Fundacja Oratio Recta
ul. Inżynierska 3 lok. 7
03-410 Warszawa

kwota:

zleceniodawca:

tytułem: Prenumerata

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy: Fundacja Oratio Recta

nazwa odbiorcy cd.: ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa

nr rachunku odbiorcy: 7 2 1 0 9 0 2 8 5 1 0 0 0 0 0 0 0 1 2 0 2 3 9 8 2 1

W P

waluta

kwota

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy cd.

tytułem: Prenumerata redakcyjna (ekonomiczna lub priorytetowa)

tytułem cd.

eprasa.pl 2db340f6ca

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

WYBÓR ELŻBIETY

Adoptowała dzieci z ciężką chorobą serca, porażeniem mózgowym, autyzmem, HIV. Sama niepełnosprawna dała im nowe życie

Czy czegoś żałuje? – Tak, gdybym mogła cofnąć czas, gdybym ponownie mogła być młoda, adoptowałabym więcej dzieci – mówi słabowidząca Elżbieta Płócienniczak, która do swojego domu przyjęła siedmioro ciężko chorych dzieci.

To, że bardzo słabo widzi, uczuliło ją na cudzą niepełnosprawność. Ostatnio w sklepie rybnym od razu zauważyła mężczyznę, który zachowywał się dziwnie – przykładał każdą rybę do swojej twarzy. Najpierw do jednego policzka, potem do drugiego. Zaproponowała pomoc. Okazało się, że pan słabo widzi. W dodatku jedynie bokami. – A ja widzę tylko na wprost. Razem powinniśmy wybrać dobrą rybę – zaśmiała się. I pomogła w zakupach.

Choć od urodzenia ma silną wadę wzroku, przez długi czas nawet najbliżsi tego nie zauważyli. – Potykałam się stale i o wszystko, a rodzice myśleli, że to tylko dziecięca niezdarność, z której z czasem wyrosnę – wspomina 68-letnia Elżbieta Płócienniczak. – Pamiętam, że przez te upadki często przychodziłam do domu w zabrudzonych rajtuzach. I mama bardzo się gniewała.

+8 DIOPTRII

Dopiero w świdwińskiej (Zachodniopomorskie) szkole podstawowej zorientowali się, że siedmioletnia Ela pilnie potrzebuje pomocy okulistycznej. Diagnoza lekarska brzmiała niepokojąco: +8 dioptrii i brak widzenia bocznego. Choroba genetyczna, nieoperowalna. Dostała pierwsze silne okulary, przestała się potykać i uczyła się, jak sobie radzić z niemiłymi rówieśnikami. Koleżance wołającej na nią: ślepa odpyskowała ostro. Koleżanka się poskarżyła. I Ela miała ją przeprosić. Nie chciała, głucha na perswazje wychowawczyni, a nawet dyrektorki szkoły. – Zrobiła się afera i rodzice musieli mnie przenieść do sąsiedniej podstawówki. Ale się nie gniewali – wspomina. Była wtedy w II klasie szkoły podstawowej.

W wymarzonym liceum pielęgniarskim dopiero po IV klasie, na praktykach, stało się jasne, że jej wada wzroku jest zbyt silna, żeby mogła pracować jako pielęgniarka w szpitalu. – Jednak to mnie nie załamało. Skończyłam szkołę, a potem kurs dla instruktorów higieny i podjęłam pracę w sanepidzie. A wkrótce równolegle wiele innych, dorywczych zajęć: prowadziłam kursy, szkolenia, odczyty, pomagałam też mamie w sklepie. Zawsze wszędzie było mnie pełno. To był koniec lat 70., czas, gdy naprawdę dobrze zarabiałam. Odłożyłam na mieszkanie i dużo podróżowałam. Stać mnie było nawet na wycieczkę na Syberię!

O dzieciach Elżbieta mówi: – Pół roku po ślubie z Januszem, moim rówieśnikiem, z zawodu mechanikiem, zrobiliśmy specjalistyczne badania. I już wiedzieliśmy, że wspólnych nigdy nie będziemy mieli. Pochodzę z wielodzietnej rodziny, rodzice nas mieli pięcioro i nie wyobrażałam sobie życia bez dzieci. Dlatego zdecydowaliśmy się na adopcję.

RAFAŁ

Najpierw, w 1980 r., pojechali do szpitala w Koszalinie po miesięcznego Rafała. Żaden dom dziecka nie chciał go przyjąć, bo był urodzony w zamartwicy, miał siniczą wadę serca – ubytek przegrody międzykomorowej, zniekształconą klatkę piersiową i silną anemię. – Ale z pomocą lekarzy daliśmy radę i nawet udało się uniknąć operacji – z dumą podkreśla pani Elżbieta.

IZA

Trzy lata później, w 1983 r., z koszalińskiego domu dziecka przywieźli czteromiesięczną Izę. – Powiedzieli nam, że jest malutka – ledwo 3,5 kg – ale zdrowa, ma tylko przepuklinę pępkową. Szybko się okazało, że Izka nie potrafi ssać, nie rusza lewą nóżką ani rączką i stale krzyczy. Znajomy lekarz po jej zbadaniu zapytał: – Co pani zrobiła? Kogo pani wzięła? Wie pani, że ona nigdy nie będzie normalna?

A kolejni specjaliści zdiagnozowali: mózgowe porażenie dziecięce, zwichnięcie stawów biodrowych, kręcz szyjny. – Na szczęście nie zostawili nas samych. Szybko mnie nauczyli, jak wykonywać ćwiczenia z dzieckiem. Do tego załatwiłam bezpłatnego masażystę i profesjonalną rehabilitację w gabinecie oraz basen – wylicza Elżbieta Płócienniczak. Dzięki temu Iza codziennie przechodziła intensywny, sześciogodzinny cykl usprawniający. Jednak szybko możliwości rehabilitacyjne Świdwina okazały się niewystarczające. Dlatego Płócienniczakowie przeprowadzili się do Słupska.

Elżbieta: – Długo godziłam wszystko z pracą zawodową. Ale było coraz ciężej. Zwłaszcza gdy mąż

eprasa.pl 2db340f6ca

Iza i Ilona witają nowego brata – Damiana. Toruń, lipiec 2002 r.

poważnie się rozchorował. Pomysł, żeby wziąć kolejne dziecko i skupić się wyłącznie na wychowaniu, podsunęła dziesięcioletnia Iza, która bardzo chciała mieć siostrę. A ja przeszłam na rentę I grupy. Bo wada wzroku stale się pogłębiała i nosiłam już okulary ze szkłami +15 dioptrii.

ILONA

Był rok 1993. Po niespełna sześcioletnią Ilonę do krakowskiego domu dziecka pojechali we czwórkę. To, co tam zobaczyli, przeraziło i dorosłych, i dzieci. – Maluchy zaniedbane, zasiusiane, z pełnymi pampersami niemal do kostek – opowiada Elżbieta. – Gazety zamiast papieru toaletowego w ubikacji. Dzieci wyły w nocy, tak że nie można było spać – wspomina Iza koszmarną noc, jaką tam przeżyli. I Ilona. Nie reagowała na nic, tylko monotonnie buczała. Od urodzenia przebywała w domu dziecka, nie potrafiła ani sama zjeść, ani załatwić się. Nie mówiła. Nie lubiła dotyku. – Nawet chodziła jakoś tak dziwnie, szurała szeroko rozstawionymi nóżkami, z rękami wysuniętymi do przodu. Jak lunatyk. Bała się wychodzić na zewnątrz. Przerażały ją samochody. Płakała bez łez i na wszystko reagowała krzykiem, takim dziwnym, nienaturalnym. Gdy nie krzyczała, najchętniej monotonnie kiwała się do przodu i do tyłu – z przykrością wspomina Elżbieta.

Iza uczy Ilonę malowania pisanek. Słupsk, 1996 r.

– Pierwsze pół roku w domu z Ilona to był prawdziwy koszmar – mówi Iza, która dzieliła z nową siostrą pokój. – Bo ona krzyczała też w nocy i waliła głową w ścianę. Spać się nie dało.

Elżbieta: – W domu dziecka powiedzieli nam, że ona jest właściwie zdrowa. A silne leki psychotropowe bierze tylko na padaczkę. Kiedy się zorientowaliśmy, że bierze solidną dawkę, nawet jak dla dorosłego, odstawiliśmy je i dopiero wtedy dziecko powoli odżyło. Zaczęła jeść bez pomocy, po trzech miesiącach potrafiła już samodzielnie załatwiać się w ubikacji. Z czasem zaczęła mówić, opanowała prawie sto słów. Okazało się, że nie ma żadnej padaczki. I pewnie nigdy jej nie miała. Za to ma najprawdopodobniej autyzm i upośledzenie w stopniu znacznym spowodowane zaniedbaniem.

DAMIAN

Czwarty był Damian przywieziony w 2002 r. z Zielonej Góry. 11,5 miesiąca, nosiciel wirusa HIV. Elżbieta: – Początkowo baliśmy się reakcji otoczenia i nic nie mówiliśmy o nosicielstwie, ale nie udało się utrzymać tego w tajemnicy, bo znajomi naciskali. – Ale na co choruje Damian? – dociekali. – Bo przecież na pewno nie wzięliście zdrowego dziecka. A wtedy Ilona wypaliła: – Damian ma HIV!

Najbliżsi byli zaskoczeni, ale zareagowali pozytywnie. Za to obcy byli i nadal bywają bezlitośni. Najgorsze są instytucje. Damianowi nie udało się zagrzać miejsca w żadnym z toruńskich przedszkoli (od 17 lat Płócienniczakowie mieszkają w Toruniu). Gdy tylko wychodziło na jaw, że chłopczyk jest nosicielem, pokazywano mu drzwi. To samo było w prywatnej szkole językowej.

eprasa.pl 2db340f6ca

Niewiele lepiej jest w szkołach publicznych. – Dzieciaki go wyzywają, zaszczuwają. A dorośli… Na przykład nie chcieli, żeby Damian kąpał się w basenie z ich dziećmi. Często mam wrażenie, że i rodzice, i pedagodzy za wszelką cenę chcą tylko jednego: pozbyć się takiego dziecka. Dlatego Damian nie lubi szkoły. Ma znów indywidualny tok nauczania. Ale to i tak nie chroni go przed agresją rówieśników. Już dwa razy dom nam obrzucili jajkami. Piszą wyzwiska na płocie – wylicza ze smutkiem Elżbieta.

– W szpitalach podobnie – ocenia. – Najczęściej mówią, że nie mają warunków, żeby leczyć nosiciela wirusa HIV. Rozumiem, kiedy tak mówi mały szpital w Pile. Ale to samo usłyszeliśmy w szpitalu klinicznym im. Jurasza w Bydgoszczy.

NA CHWILĘ

W 2007 r., rok po tym, jak z pomocą Rafała kupili w Toruniu dom do remontu i polepszyły się ich warunki mieszkaniowe, utworzyli rodzinę zastępczą dla pięciomiesięcznego Bartka i prawie dwuipółletniej Marysi – małych nosicieli HIV. Na chwilę, bo nikt tych dzieci nie chciał. Kiedy się zorientowali, że w domu dziecka jest jeszcze ich siostra, niespełna czteroletnia Zosia, pojechali i po nią. Chwila trwała trzy lata. Dziś dzieci mają swoich nowych, adopcyjnych rodziców i rozjechały się po Polsce. Ale nadal utrzymują kontakty. W przyszłym roku cała trójka chce przyjechać na tydzień do Płócienniczaków. Pomieszkać razem. Bez nowych rodziców.

– Dla urzędników jestem nienormalna. Rodzina, zwłaszcza moja mama, też długo nie potrafiła zrozumieć, dlaczego adoptowałam tylko chore dzieci. A odpowiedź jest prosta. Bo sama jestem niepełnosprawna. Wierzę, że każdy ma prawo do życia. Czy nie mam racji? Czy nie było warto? – uśmiecha się Elżbieta i chętnie chwali sukcesami swoich dzieci.

Rafał – niebieskie dziecko – ma dziś sprawne serce, skończył finanse i bankowość, przeniósł się do Wielkiej Brytanii. Nie pracuje w zawodzie, ale świetnie sobie radzi. Ożenił się. Ma ślicznego, zdrowego synka.

Iza – ta, która nigdy nie miała być normalna – zadziwia całą rodzinę od lat. Skończyła podstawową szkołę muzyczną w klasie fortepianu. A potem filologię polską i germańską. Żeby podszlifować angielski, rok studiowała anglistykę. Kupiła i ładnie urządziła mieszkanie w Bydgoszczy. Pracuje w dużej, międzynarodowej firmie informatycznej. Właśnie wróciła z raftingu po Zambezi. – Nie myślę o sobie jako o chorej – zapewnia, choć baczny obserwator zauważy drobniejsze i mniej sprawne lewą rękę i lewą nogę.

Elżbieta i Janusz Płócienniczakowie z Rafałem i Izą po chrzcie córeczki. Świdwin, 1984 r.

Ilona wyrosła na śliczną, wysoką, szczupłą dziewczynę z gęstymi, pięknymi blond włosami. Ale wyciągnąć jej z upośledzenia już się nie dało. Zmarła – niespodziewanie – cztery lata temu na obrzęk mózgu. Do dziś za nią tęsknią, wspominają. Najbardziej Iza. – Bo to była taka moja upragniona, ukochana siostrzyczka – zapewnia. – Ciągle nie mogę uwierzyć, że już jej nie ma.

W domu został tylko Damian – uczeń toruńskiej szkoły średniej. Oczko w głowie pani Elżbiety. To o niego dzisiaj najbardziej się martwi. Finansowo Płócienniczakom jest teraz łatwiej. Starsze dzieci się usamodzielniły i pomagają. Elżbieta już nie musi – jak kiedyś – przeszywać każdego swojego płaszcza najpierw dla Izy, a potem Ilony. Ale przywołuje tamte czasy z uśmiechem. – Mam od dawna takie specjalne, wielkie okulary, jakie noszą piloci. Zakładam je i widzę każdy szczegół, mogę szyć godzinami. A na drutach robię na pamięć – zapewnia i chętnie wspomina dziesiątki czapeczek, szalików, rękawiczek, skarpet oraz swetrów, które wydziergała dla dzieci przez całe swoje życie. – Dziergałam wszystko, co się dało. Mnóstwo pieniędzy dzięki temu zaoszczędziliśmy – cieszy się Elżbieta.

– Pamiętam, że w podstawówce chodziłam w swetrach po bracie. Ale co z tego? – pyta Iza. – To nie było najważniejsze.

MÓZG RODZINY

Elżbieta Płócienniczak jest bardzo pogodną, energiczną kobietą. Z tych, co zawsze widzą szklankę do połowy pełną. – Mama to jest mózg rodziny. To ona, zwłaszcza po tym, jak tato zachorował, podejmowała i podejmuje rodzinne decyzje. Dąży do ich realizacji. I znajduje wyjście z każdej sytuacji – chwali Iza, chwilowo mocno kulejąca, bo z raftingu wróciła ze złamaną nogą. Wszystko wskazuje, że ma równie niezłomny charakter jak mama. Też w przyszłości chce zaadoptować dzieci.

Kiedy ktoś mówi, że to bohaterstwo, że poświęciła się dla dzieci, Elżbieta gwałtownie protestuje: – Bohaterowie to są na wojnie. I nie ma mowy o żadnym poświęceniu. Naprawdę dostałam od moich dzieci więcej, niż im dałam.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Od autorki: Imiona trojga dzieci, które zamieszkały u Płócienniczaków w 2007 r., zostały zmienione.

FOT. MAŁGORZATA SZCZEPAŃSKA-PISZCZ, Z ARCHIWUM DOMOWEGO ELŻBIETY PŁÓCIENNICZAK (3)

eprasa.pl 2db340f6ca

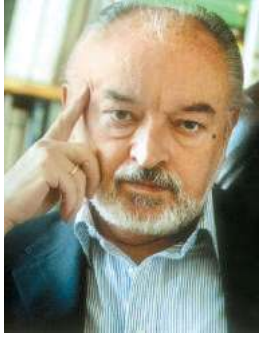

Bez uprzedzeń

Bronisław Łagowski

PiS, czyli idea narodu antykomunistycznego

W krajach mało kulturalnych wrogie przejęcie władzy skutkuje zazwyczaj zmianą nazw ulic. Komuniści po wojnie mieli szalone przekonanie, że przekreślają dotychczasowe dzieje i tworzą nową epokę. Takich kolosalnych przeobrażeń najłatwiej dokonać przez zmianę nazw. Mieli gotowy wzór radziecki, a także nakaz z tamtej strony. Ponieważ ludzie byli pewni, że oni przemianowują Katowice na Stalinogród z nakazu moskiewskiego, nie brali ich za obłąkańców, lecz tylko za służalców. Dziś władza solidarnościowa przeprowadza zmianę nazw ulic w o wiele szerszym zakresie i nie może się usprawiedliwić nakazem przychodzącym z zagranicy. Wygląda więc to przemianowywanie i zacieranie historii miast na czyn Kaliguli. Lecz Kaligula nie jest jeden, jest ich wielu, a to zmienia kwalifikację choroby. Nie będę tu stawiał kropki nad i, bo i ma już kropkę.

Według Jarosława Kaczyńskiego Polska powinna mieć tożsamość antykomunistyczną i w tym celu trzeba pozmieniać wszystkie nazwy, które się kojarzą z komunizmem. Okres tak się kojarzący trwał według dzisiejszej władzy lat 45 i trzeba tak operować nazwami, żeby ten okres nie należał do tożsamości Polski. Ale co to jest tożsamość w ogóle, a takiego złożonego bytu jak naród w szczególności? Chociaż niektórym może się to wydać dziwne, Remigiusz Kwasiborski, który ma lat 90 i pisze testament, jest tożsamy z Remigiuszem Kwasiborskim, który urodził się 90 lat temu jako wrzeszczące niemowlę i przez całe swoje życie nieustannie zmieniał się pod względem fizycznym. Dowód tożsamości wydany przez państwo zaświadcza, że te dwie tak niepodobne do siebie postacie mają jedną tożsamość. Czy można z tej tożsamości wyłączyć pięć lat studiów na uniwersytecie albo cztery lata pobytu w zakładzie karnym? Tylko chory na umyśle może próbować takich operacji.

Do polskiej tożsamości należy wszystko, co się z Polską działo w ciągu jej tysiącletniej historii. Kto się uparł, że do tej tożsamości należy tylko to, co nie miało nic wspólnego z komunizmem, skraca nasze dzieje o 45 lat. (Dyskusję nad tym, co się dziś nazywa „komunizmem", pomijam w tym miejscu). Według niektórych poważnie myślących ludzi, uczonych i wnikliwych, te 45 lat wzięte razem było okresem największego postępu przemysłowego, socjalnego i oświatowego w całych dziejach Polski.

•

Trzeba rozróżnić tożsamość w sensie prawnym (na seminarium akademickim wolałbym mówić o sensie ontologicznym) i w sensie empirycznym. Proces zmian tożsamości empirycznej zachodzi nieustannie, ale niekiedy w tempie tak powolnym, że jest to niewidoczne. Bywają sytuacje historyczne sprzyjające przemianom szkodliwym i trzeba wysiłku, a czasem poświęcenia elit kierowniczych („elit" – naśladuję sposób wyrażania się, którego nie cierpię), aby te przemiany powstrzymać. Są też inne sytuacje, kiedy nie istnieje żaden przymus zmiany i społeczeństwo trwa w gnuśnej ociężałości albo nawet w nastroju zadowolenia z siebie, gdy tymczasem zmiana jest niezbędna jako warunek zapobieżenia degradacji.

Mamy przed oczami kilka niezwykłych przykładów przeobrażania się narodów pod wpływem bądź to klęsk przebytych, bądź grożących. Zdumiewający jest przypadek XIX-wiecznej Japonii, która w sposób niezwykły potrafiła odpowiedzieć na wyzwanie cywilizacyjne Zachodu.

Ale bliżej mamy inny przykład, z którego niezwykłości może mniej zdajemy sobie sprawę, ponieważ przyzwyczajaliśmy się do niego stopniowo, dzień po dniu. Niemcy w wyniku doznanej bezprzykładnej klęski, a także pod ciężarem winy bardzo głęboko zrewidowali stosunek do całej swojej przeszłości i przeprowadzili gruntowną krytykę swoich tradycyjnych ideałów i symboli. Nie ulegając dezorientacji, co łatwo mogło się stać przy tak zmasowanej krytyce przychodzącej z zewnątrz, zmienili tożsamość empiryczną, potwierdzając jednocześnie swoją wielkość.

Polska przeżyła jedną z najbardziej niszczących wojen w swojej historii, lecz to doświadczenie nigdy nie zostało poważnie, uczciwie przemyślane, a jeśli było, to tylko epizodycznie i przez jednostki, a nie społeczeństwo. Po upadku tzw. komunizmu przywódcom społeczeństwa wydawało się, że ich zwycięstwo będzie większe, jeżeli odtworzy się już prawie zapomnianą i całkiem przestarzałą polską mitologię narodową. Wojna i klęska dochodzą do młodszych pokoleń za pośrednictwem powierzchownej, heroistycznej i cierpiętniczej opowieści pozbawionej etycznego realizmu. To, co było etyką w warunkach walki o wolność narodową, już etyką nie jest. Waleczność, poświęcenie, oddanie się sprawie zmieniły się w trywialne, a nawet wulgarne walki i rywalizacje partyjne występujące błazeńsko w kostiumach powstańczych i „antykomunistycznych". W czasach, gdy etyka narodowa na pierwszym miejscu stawia wymaganie produkcji dóbr o wysokiej jakości, wytrzymującej konkurencję międzynarodową, pretendenci do przywództwa skupiają uwagę na zacieraniu śladów przeszłości i chcą zmienić tożsamość narodową na „tożsamość antykomunistyczną".

Waleczność, poświęcenie zmieniły się w trywialne, a nawet wulgarne walki i rywalizacje partyjne.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2db340f6ca

Najlepsze rzeczy zrobiłem w PRL

Zawsze podchodzę z dystansem, z przymrużeniem oka. Tak się ukształtowałem. „Pat i Pataszon", proszę pana

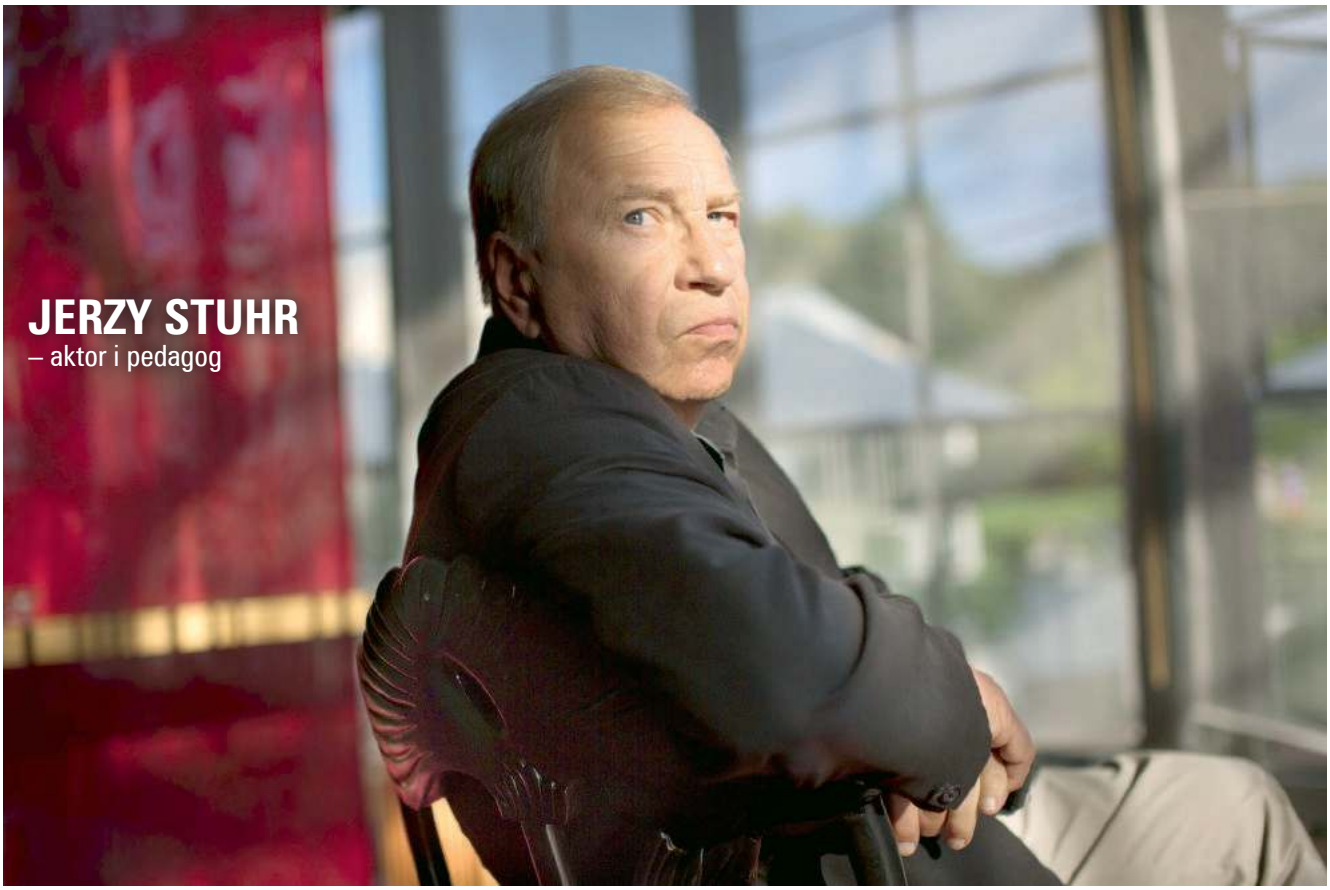

JERZY STUHR
– aktor i pedagog

Rozmawia Artur Zaborski

Święta spędza pan z bliskimi czy na scenie?

– Tylko raz grałem w Wigilię, we Włoszech. Pracowałem wtedy w teatrze w Trieście i gdy zobaczyłem repertuar, zapytałem: „Gramy w Wigilię, 24?". Mnie za komuny opowiadali koledzy, że musieli w latach 50., za stalinizmu, w Wigilię grać – na widowni samo wojsko siedziało, więc kompletnie się nie spodziewałem, że we Włoszech ktokolwiek na taki spektakl przyjdzie. Ale Włosi na to: „A dlaczego nie? Przecież tłumy ludzi będą. Potem pójdą na spacer i na kolację". I zagraliśmy.

Był komplet?

– Tak. Życzenia żeśmy sobie w teatrze składali, każdy wylosował kolegę, któremu coś kupił. Przedziwne prezenciki sobie wtedy wymyślaliśmy. Zamartwiałem się o kolację, o rybę, ale na szczęście bliscy wtedy do mnie przyjechali. Wigilię spędziliśmy w restauracji, chyba jedyny raz, bo zawsze rodzina gotowała. Kiedyś my z małżonką, a teraz to się zmieniło – gotują dzieci, a my jesteśmy gośćmi. W tym roku u córki będzie kolacja. Potem zabieramy wnuczki do nas na wieś, pod Rabkę, gdzie będziemy je uczyć jeździć na nartach. Niech się uczą jak najwięcej od dziadków.

Pan dużo się nauczył od swoich?

– Babcia, proszę pana, która w młodości była śpiewaczką operową, wszystkiego mnie nauczyła: i pływać, i jeździć na rowerze. Wszystko babcia. Była dla mnie wielką osobowością. Do kina pierwszy raz też ona mnie zabrała, na „Pata i Pataszona", kiedy miałem pięć lat. To była taka zwulgaryzowana wersja Flipa i Flapa, w której chodziło już tylko o to, żeby ktoś dostał tortem w buzię albo kopa w tyłek. Ja się wtedy bardzo cieszyłem. Mówiłem potem, że gdyby mnie babcia na „Hamleta" Laurence'a Oliviera zaprowadziła, to może byłbym zupełnie innym aktorem. Ale ona na „Pata i Pataszona"…

Dzieci sam pan zabierał do kina czy też zostawiał to babci?

– Nie pamiętam dokładnie, jak to było. Przypominam sobie za to, jak mój syn Maciej zadebiutował w „Dekalogu" Krzysztofa Kieślowskiego jako chłopczyk. Byłem potwornie zdenerwowany graniem z własnym dzieckiem. Z obcymi wchodzić w fikcję to coś innego, ale wygłupiać się

eprasa.pl 2db340f6ca

z synem i opowiadać nieswoim tekstem było trudno. Zdenerwowany byłem strasznie, myliłem się. Kieślowski śmiał się ze mnie okrutnie, kiedy ja – który nigdy nie zapominałem tekstu – zapominałem. A Maciej wchodził w te sytuacje jak dziecko – jego bardziej interesowały śrubki na kamerze niż odtwarzanie jakichś tam słów.

Obserwował pan, jak rodzi się u niego miłość do kina?

– Nie tyle do kina, ile do teatru. Przeżywałem wtedy mój pierwszy bum zawodowy. Strasznie dużo pracowałem, prawie w ogóle w domu mnie nie było. Jedyne spotkania moje i syna były, kiedy przyjeżdżałem z Łodzi do Krakowa na spektakl. Żona go przyprowadzała do teatru i to była nasza jedyna szansa na spotkanie. Siedział na widowni i patrzył, jak graliśmy, a w przerwie wymienialiśmy parę zdań, pytałem, co w szkole. Po spektaklu od razu jechałem do Łodzi, żeby być na miejscu o godz. 3 rano. Maciej wychowywał się w teatrze. Film przyszedł później – chyba od Kieślowskiego się zainteresował moimi rolami kinowymi. Potem obserwowałem, jak sam zaczął coś próbować. To zawsze dylemat dla rodziców dzieci, które wybierają artystyczne zawody – czy one się do tego nadają. Jak się nie nadają, ale połknęły tego bakcyla, to tragedia. Jednak widziałem, że on się nadaje, dlatego nie interweniowałem. No i jemu się udało, bo się do tego nadawał – jako pedagog już stwierdzałem, obserwując go, że ma do tego predyspozycje.

Aktorzy często nie chcą, żeby dzieci szły w ich ślady, z powodu ceny, jaką się płaci w tym zawodzie. To utrata prywatności, ciągłe bycie ocenianym. Nie chciał pan ochronić go przed tym?

– Trochę chciałem, bo on jest wrażliwszą osobą niż ja. Do tego zawodu trzeba mieć nerwy. Wytrzymywać stresy, kiedy ktoś ocenia, kiedy nie można do końca być sobą. Mówiłem mu: „To jest codziennie tak, jakbyś zdawał maturę". To jedyne uczucie stresu, które znał, będąc młodym człowiekiem, więc było to najdobitniejsze porównanie. „Co wieczór idziesz na osąd ludzi – i to taki natychmiastowy, bezwzględny, bo przecież na aktorstwie każdy się zna", bez przerwy mu klarowałem. Zawsze miałem obawy, że będąc osobowością delikatniejszą niż ja, może mieć z tym problemy. On ich nie ujawnia, ale gdzieś go pewnie męczą. Chociaż teraz, gdy już przebrnął te wszystkie granice – popularności, spełnienia – jest mu troszkę łatwiej.

W kinie łatwo wymyślić temat. Wszyscy wiemy, co nas dręczy, boli, gniewa. Problemem jest forma.

Maciej poznał też smak hejtu i odrzucenia. A pan?

– Tylko „Trybuna Ludu" o mnie źle pisała za komuny. To było jedyne, co przeżywałem, bo było faktycznie groźne.

Czym pan podpadł?

– „Wodzirejem". Kiedy w „Trybunie Ludu", naczelnym organie wiodącym, ukazało się moje zdjęcie z wielkim podpisem „Nie trzeba nam wodzirejów w tym kraju", martwiłem się, czy jeszcze w czymkolwiek zagram. Wielki stres.

Publikacja miała konsekwencje?

– Nie, jakieś kąsania drobne, ale naprawdę drobne w porównaniu z moimi kolegami z KOR. Ja do tego tzw. hejtu byłem wtedy przygotowany, bo takim jestem typem – ślizgam się po tym wszystkim, spływa to po mnie. Ale Maciej ma inaczej – jego to boli.

Irytuje mnie powierzchowne i propagandowe ocenianie przeszłości.

Po „Pokłosiu" na Macieja wylała się fala pomyj. Skala tego problemu jest nieporównywalnie większa niż w PRL.

– Jest, to zjawisko umocniło się, ale z drugiej strony straciło znaczenie, bo nie ma konsekwencji. Za komuny odwrotnie – człowiek się bał, czy będzie mógł jeszcze pracować. A teraz to wie pan – gadanie, gadanie, hejt, hejt. To tylko boli w sferze ludzkiej, że pracuje się dla tych ludzi, coś im się daje, a oni człowieka tak nienawidzą. Potem się okazuje, że to za forsę goście jacyś płodzą. Ale, jak mówię, bardziej to dotyka ludzi wrażliwszych, którzy pamiętają. Często mówię synowi: „Za długo pamiętasz". Po mnie to spływa natychmiast.

Nie jest pan pamiętliwy? Odpuszcza pan, wybacza?

– Bardzo mi się spodobało, jak powiedział Giulio Andreotti, premier Włoch: „Ja nie jestem człowiekiem mściwym, ale mam pamięć z żelaza". Ja też mściwy nie jestem, ale jak mnie ktoś okłamie, jak mi źle życzy – to się nie mszczę, ale nie zapominam. Jak raz się zrażę do kogoś…

Nie daje pan drugiej szansy?

– U nas to rodzinne, że się od takiej osoby oddalamy. Kiedy mnie pytają: „Przypieprzy mu pan?", ja mówię: „Nie, nie", ale się odsuwam.

Nie lepiej przypieprzyć?

– Ja zawsze podchodzę z dystansem, z przymrużeniem oka. Tak się ukształtowałem. „Pat i Pataszon", proszę pana. A tak na poważnie, to pierwszym reżyserem, który pozwolił mi inaczej spojrzeć na rzeczywistość naszego kraju i jego dzieje, był Andrzej Munk. Jego gorycz, ironia i śmiech zapadły we mnie niespodziewanie głęboko. I zostały ze mną w podejściu do świata i do ludzi. Dopiero potem trafiłem na kino amerykańskie.

Co w nim pana porwało?

– Kiedy je odkryłem, byłem już studentem szkoły aktorskiej i usilnie poszukiwałem jakiegoś stylu grania. Pierwsze filmy z Ameryki, które oglądałem na Konfrontacjach i tym podobnych imprezach, szokowały mnie właśnie stylem gry Jamesa Deana, Marlona Brando czy Jacka Nicholsona. Oni pokazywali uczucia poprzez zachowanie, a nie opowiadanie o nich, do czego byłem przyzwyczajony w teatrze. To była dla mnie, młodego wtedy aktora, ogromna i ważna lekcja. Największą inspiracją zawodową był „Lot nad kukułczym gniazdem" z Jackiem Nicholsonem. Podobne emocje czułem już tylko, odkrywając magię kina Federica Felliniego, dzięki któremu cofałem się w historię włoskiego kina, aż do neorealizmu. Fellini pokazał mi świat, którego nie można sfilmować.

eprasa.pl 2db340f6ca

Jaki to świat?

– Świat snu, Fellini był jedynym twórcą, który potrafił wyreżyserować sen. To było coś takiego, czego ja nigdy bym nie był zdolny zrobić – dlatego tak strasznie mi to imponowało. To był szok, ten Fellini. Potem przyszło jeszcze coś innego. Jak już wrosłem w teatr, który stał się dla mnie nową magią bycia codziennego, przeistaczania się metafory – zobaczyłem film „Kabaret" Boba Fosse'a z Lizą Minnelli. I zobaczyłem – znowu – coś, co mnie olśniło, że można straszny okres rodzącego się nazizmu pokazać przez teatr, przez kabaret. Nigdy bym nie wymyślił takiej zbitki, takiego kontrapunktu. Potem sam robiłem „Kabaret", wielokrotnie, w świetnym tłumaczeniu Wojtka Młynarskiego, ze studentami w PWST jako ćwiczenia, a przedstawienie w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Byłem zafascynowany tym, że można przez musical, przez teatr pokazać tak ważne wydarzenia. Takie były moje filmy.

Fellini też rozliczał swoich z ekstremizmu.

– Fellini potrafił opowiedzieć w sposób ciepły, prosty o strasznym zjawisku, jakim jest narastający w miasteczku, w Rimini, faszyzm w filmie „Amarcord". On to potrafił opowiedzieć nawet z sympatią do tych ludzi. To był dla mnie kolejny szok. W moich filmach, choć bywam okrutny w obnażaniu ludzkich cech, też staram się z sympatią podchodzić do bohaterów, nie usprawiedliwiam ich, ale rozumiem.

Łatwo przychodzi panu rozumienie innych?

– Do niektórych spraw, choćby do takiego „Osiem i pół", trzeba dorosnąć. Młody człowiek nie wie, o czym to jest film. Jakbym to studentowi dzisiaj pokazał, toby nie zrozumiał. Dopiero trzeba zobaczyć, co to jest niemoc twórcza. Jak sam zacząłem mieć męki twórcze, że nie wiedziałem jak, a tam już rozstawiali scenografię i światła, no to sobie myślałem: teraz to ja rozumiem tego bohatera „Osiem i pół", a ja przecież jeszcze nawet nie wiem, co chcę powiedzieć. To dopiero musi być męka straszna.

Doświadcza pan niemocy twórczej?

– Za każdym razem doświadczam. W kinie temat wymyślić jest łatwo. Wszyscy wiemy, co nas dręczy, co nas boli, co nas gniewa. Problemem jest co innego – forma. Tyle już było, a zwłaszcza w filmie, wszystko opowiedzieli, więc jak wymyślić oryginalną formę? Nad tym głównie się głowię, jak coś powiedzieć. I nagle wpada mi pomysł, który wydaje się atrakcyjny, ale którego nie umie się rozwiązać na pierwszy rzut oka. Staję wtedy przed białą kartką papieru. Dopiero to zaczyna być fascynujące, że nic nie wiem, a cała moja wiedza, doświadczenie, nabyte umiejętności – wszystko jest nieważne. I tu zaczyna się straszliwe myślenie, straszliwe, jak to rozwiązać. Żeby dać przykład – w moim ostatnim filmie „Obywatel" chciałem opowiedzieć całe swoje życie. Proste, prawda? Ciekawe to życie było, zabawne, wiedziałem, jakie epizody mają być, co, gdzie, kiedy, jak. Pomyślałem sobie: „Jak to pokazać? Najpierw przedszkole, potem szkoła, potem studia. Może jeszcze daty dać? Słabo". I nagle, proszę pana, pewnej nocy wpada mi pomysł, żeby to opowiedzieć wspak, do tyłu. Trzy lata trwało, zanim wymyśliłem tę krzyżówkę. Byłem nie jak ten, który rozwiązuje krzyżówkę, ale jak ten, co ją układa.

Z synem w „Dekalogu" Kieślowskiego.

Pionowo tyle, poziomo tyle, takie literki muszą się skrzyżować z tymi, nie za dużo opowiedzieć, żeby widzowi nie zdradzić pewnych rzeczy. Trzy lata męki – to jest „Osiem i pół".

„Obywatel" przypominał mi dokonania Munka.

– Byłem wyraźnie pod jego wpływem. W pierwotnej wersji mój bohater nazywał się Piszczek, ale zmieniłem, bo to już byłoby za bardzo odwołujące. To wtedy się zorientowałem, jak ten Munk kiedyś, w młodości, we mnie zapadł.

W „Obywatelu" patrzy pan na czas PRL inaczej niż koledzy po fachu. Pan jednoznacznie nie potępia tego okresu.

– Ja go przeżyłem, on mi to dał, że siedzę tu przed panem, rozmawiamy – wszystko. Osiągnąłem wiele, więc jak mogę potępiać? To właśnie mnie denerwuje dzisiaj w Polsce – nagle się znaleźli sędziowie poprzedniego okresu, w którym zdobyli wykształcenie, rodziny, majątki, pozycję, ale chóralnie mówią, że chcieliby, żeby PRL nie było. A ja się w niej wychowałem i jestem, kim jestem. Irytuje mnie takie strasznie powierzchowne i propagandowe ocenianie przeszłości. Najlepsze rzeczy zrobiłem w PRL, największe role zagrałem w tzw. PRL, którą ja nazywałem Polską. To była i jest dla mnie Polska. Jakie sukcesy osiągaliśmy z teatrem za tamtych lat! Jakie osiągałem sam sukcesy na scenach włoskich, całego świata. Oczywiście płaciłem pewną cenę, pewnych rzeczy nie mogłem wyrazić tak, jakbym chciał jako obywatel. Musiałem pójść na pewne kompromisy, oczywista, ale ważniejsze były dla mnie właśnie te osiągnięcia.

Jak to się stało, że trafił pan na włoskie sceny?

– Przypadek. W mojej żonie zakochałem się w latach 60., ona była studentką szkoły muzycznej. W jakiś sposób przez kolegów muzyków

Nagle znaleźli się sędziowie poprzedniego okresu, w którym zdobyli wykształcenie, majątki, pozycję, ale chóralnie mówią, że chcieliby, żeby PRL nie było.

eprasa.pl 2db340f6ca

dostała się do rzymskiej akademii Santa Cecilia na kurs wiolinistyczny. W latach 60. wyjechała do Włoch – wie pan, jak ja jej zazdrościłem? Ja tu, a ona mi przywozi dżinsy markowe. To był szok. Jeszcze jak zaczęła mówić po włosku, to już zżerała mnie zazdrość. Ponieważ byłem dobrym studentem krakowskiej szkoły teatralnej, wystarałem się przez ministerstwo o stypendium na festiwal w Wenecji, gdzie potem sam, po wielu latach, szedłem po czerwonym dywanie. Wie pan, jakie *déjà vu* miałem? Ja tam stałem jako student, machałem Ursuli Andress i Seanowi Connery'emu, którzy prezentowali „Doktora No" z Bondem. Tak się zaczęło. Potem było tak, że przyszedł taki moment zawodowy u mnie, kiedy zastanawiałem się, czy jest możliwe przekroczenie granicy języka przez aktora. Jedyną możliwością, żeby sobie na nie odpowiedzieć, było zgłosić się do agencji Pagart (na placu Piłsudskiego były biura) i przez nią wyjechać za granicę, oficjalnie, oczywiście opłacając prowizję.

Aktorem zostałem przez wielką osobowość, która nauczyła mnie też pływać i jeździć na rowerze. To moja babcia.

W jakiej wysokości?

– No, 20% gaży szło na ten Pagart. Zgłosiłem się tam i powiedziałem, że jeżeli byłaby jakaś propozycja zagraniczna, to ja bym skorzystał. To był 1979 r., już byłem znanym aktorem dzięki „Wodzirejowi" i „Amatorowi". Gdyby propozycja przyszła z Finlandii, tobym był dzisiaj znanym fińskim aktorem, ale przyszła z Włoch.

Czyli to nie był pański wybór?

– Akurat tak się złożyło. Szukali polskiego aktora, żeby zagrał w sztuce „Oni" w ramach promocji Witkacego na rynku włoskim. Zgłosiłem się, dostałem rolę i tak się zaczęło. Potem już szło powolutku – jedna oferta teatralna, druga oferta teatralna… Gdy się dowiedzieli, że jestem pedagogiem szkół teatralnych, to przez całe Włochy, od Palermo po Mediolan, się przetoczyłem jako nauczyciel. Myślałem wtedy, że ta dość uciążliwa przygoda już się kończy.

Uciążliwa?

– Tam jest inny system teatralny, jedzie się na tournée na całe miesiące. Z Polski strasznie trudno było utrzymać ten reżim dojeżdżania, wyjeżdżania. Pomyślałem, że już dość, ale „Historie miłosne", mój drugi film, dostały się do Wenecji do konkursu głównego. Zaczęła się nowa przygoda, bo Włosi nagle się dowiedzieli, że robię filmy. Dostałem włoskiego dystrybutora, inny świat się otworzył przede mną i to trwa do dziś. Oczywiście bardzo wybiórczo muszę traktować swoje włoskie propozycje filmowe, bo mimo że władam językiem dość biegle, słychać jednak, że nie jestem Włochem. Muszę wybierać role, które usprawiedliwią mój leciusieńko obcy akcent. Tak sobie pływam po nich. Na przykład parę lat temu dostałem propozycję zagrania w historii rodziny Olivettich z wielkimi tradycjami, z XIX w., która dorobiła się na maszynach do pisania. Zaproponowano mi, żebym zagrał nestora rodu. Ja mówię: „Nie, nie mogę Włocha zagrać". „Ale, panie Jerzy, on długo w Ameryce mieszkał". Nie przyjąłem tej roli, bo wiedziałem, że widz miałby dyskomfort, słuchając mnie.

Mimo że Włosi mają tyle akcentów, tyle dialektów?

– Mają, ale obcokrajowca wyczują natychmiast. Dialekty dialektami – a to Neapol, a to Palermo – ale

Maciej i Jerzy Stuhrowie z żonami.

eprasa.pl 2db340f6ca

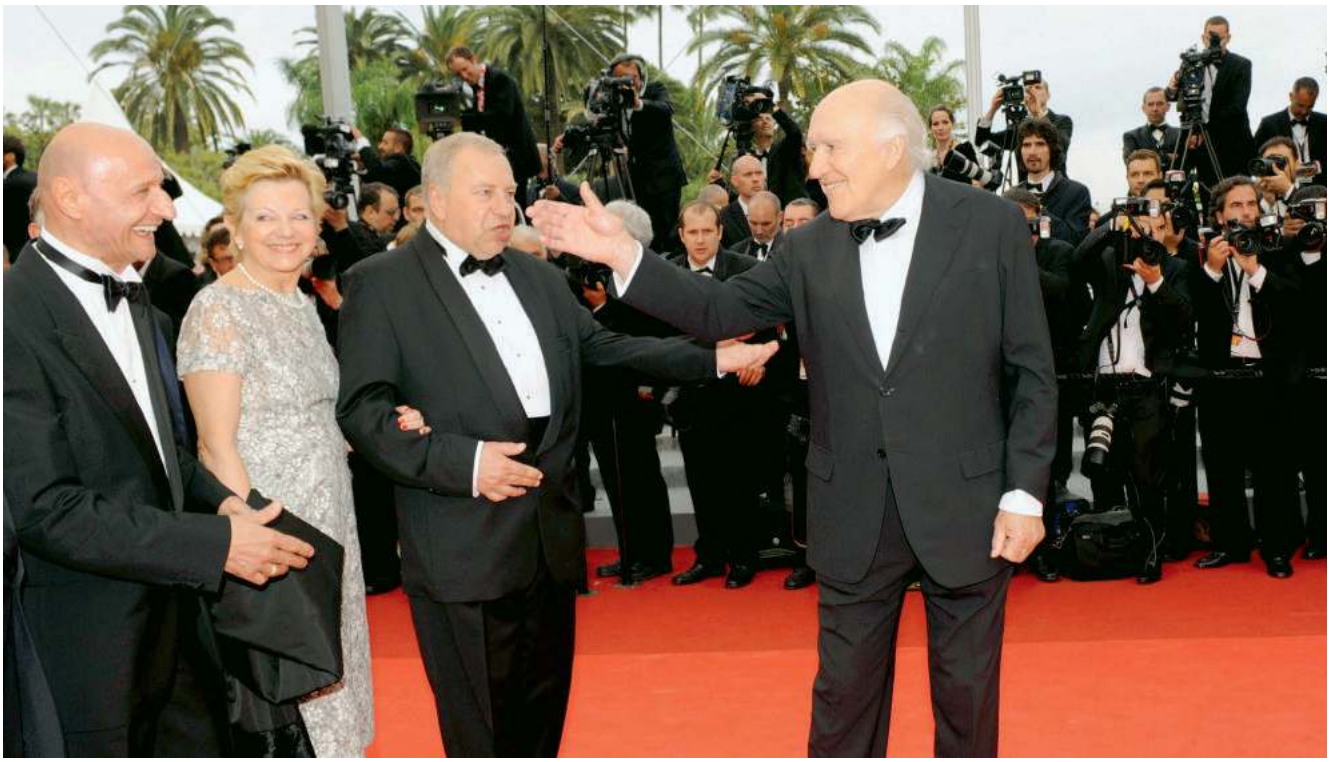

Premiera filmu „Habemus papam" na 64. festwalu filmowym w Cannes.

obcego rozpoznają. Ciągle słyszę: „Pan to mówi jak papież Wojtyła". No, mówię jak papież Wojtyła.

Nie chciał pan tam osiąść?

– W Polsce działy się tragiczne rzeczy, ze stanem wojennym na czele, a ja w 1983 r. dostałem paszport. Stary Teatr miał kontrakt z Argentyną, z festiwalem w Buenos Aires. Gen. Jaruzelski uznał, że proszę, nic się nie stało, artyści mogą podróżować. Zespół Mazowsze i Stary Teatr dostały paszporty w styczniu. Jak już go miałem, to mimo że był stan wojenny, mogłem przez Pagart jeździć na swoje indywidualne kontrakty. Był taki moment, że żona szła do teatru po dary od kolegów niemieckich: mleczko dla dzieci, jakieś upokarzające rzeczy, a ja wracałem z Włoch obładowany różnymi dobrami, cały samochód wypchany rarytasami, których w Polsce nie było. Miałem świetne kontrakty, ale nigdy nie zdecydowałem się osiąść. To nawet nie wchodziło w rachubę.

Zamiast palącego słońca i chianti wolał pan szary stan wojenny?

– Pamiętam 1980 r. Właśnie skończyłem jakiś kontrakt we Włoszech i parę dni odpoczywaliśmy u przyjaciół pod Rzymem. Basen, słońce, wszystko rozpalone, wylegujemy się nad tym basenem. Przysypiając, widzę, że ktoś czyta gazetę „La Repubblica". Na pierwszej stronie o Gdańsku. Wyostrzyłem się natychmiast, mówię: „Czy mogę prosić pana o tę gazetę na chwilę?". A tam, że w Polsce wybuchły strajki. Proszę pana, w trzy godziny byliśmy już spakowani, o ósmej byliśmy na granicy, wracając do Polski. Gierka ostatni raz na ekranie, jak jeszcze przemawiał, to widziałem w Tarvisio, bo tam migawka z polskich dzienników była. Tak szybko żeśmy wracali, bo wiedzieliśmy, że u nas coś się dzieje strasznego. Jeszcze pamiętam, jak benzynę brałem na granicy, a ten, który nalewał, już wiedział, co w Polsce się dzieje, i mówił: „Gdzie ty jedziesz? Po co ty tam jedziesz?". A ja wracałem, bo chciałem być tu. Jakoś nigdy mi przez myśl nie przeszło, żeby gdzieś zostać, choć żona muzyk w każdej orkiestrze mogłaby grać… Ale nie.

Patriotyzm?

– Ja tego nie nazywam tak górnolotnie. Może przez to, że we Włoszech długo przebywałem i zawsze wiedziałem, że nie chcę zostać na stałe. Mogę przyjeżdżać, proszę bardzo, ale moje życie jest gdzie indziej, w innej mentalności.

Czyli jednak są różnice między nami?

– Oczywiście! Mimo że tak nam blisko do siebie i religia ta sama, różnice są ogromne – w mentalności, w wychowaniu, w dorastaniu, w edukacji nawet.

W edukacji?

– Kiedyś ze zdumieniem przeczytałem tematy prac maturalnych włoskich uczniów. Jeden z nich brzmiał: „Arystoteles ornitologiem". Pan sobie wyobraża taki temat na maturze? Arystoteles i ptaki? No czego oni się uczą? To był dla mnie szok. U nas Mickiewicz, Fredro, Słowacki, a tam Arystoteles ornitologiem. To są te różnice.

Artur Zaborski

Jakoś nigdy mi przez myśl nie przeszło, żeby gdzieś zostać.

W moich filmach bywam okrutny w obnażaniu ludzkich cech, ale staram się z sympatią podchodzić do bohaterów.

FOT. FILIP MILLER/FOTONOVA, EAST NEWS/INPLUS, TRICOLORS/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2db340f6ca

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

GRETA RATUJE ŚWIAT

Jakkolwiek smutno, paradoksalnie, idiotycznie i naiwnie by to brzmiało – doprawdy trudno się dziwić, że szczyt klimatyczny w Katowicach nie stał się w Polsce wydarzeniem dominującym w przekazach, ogniskującym debaty, wywołującym deklaracje włączenia się w światowe otrzeźwienie i namysł nad dramatycznymi konsekwencjami globalnego ocieplenia dla przyszłości planety. Polska nie jest w ogonie reagowania na tę katastrofę, ona dryfuje już daleko za tym ogonem i na dodatek radośnie pluszcze i chichocze, jakby była samotną wyspą i oceanem naraz. Ale nie jest ani jedną, ani drugim. Andrzej „Cały Czas Się Uczę" Duda z niezmąconą niefrasobliwością wygłaszał przed wielotysięcznym gremium najbardziej świadomych polityków świata swoje węglowe farmazony, z twitterową samoświadomością przybijał piątkę z Terminatorem Schwarzeneggerem, który jako były gubernator Kalifornii wprowadzał radykalne środki zaradcze przeciw polityce węglowo-ropowej, nie tylko napędzając swojego hammera prądem lub wodorem.

Polski pawilon ozdobiony był węglem, pierogi dla uczestników serwowano z mięsem (problem przemysłowej produkcji mięsa jest dziś kwestią być albo nie być dla planety z powodu pochłanianej energii, zużycia wody, emisji gazów cieplarnianych – metan wytwarzany jest dodatkowo przez hodowane zwierzęta). Gdyby to nie działo się naprawdę, byłoby nie do wymyślenia. W trakcie szczytu, na którym zebrani starali się znaleźć środki zaradcze hamujące zmiany, co będzie m.in. polegać na poszukiwaniach i wdrożeniach nowych sposobów pozyskiwania energii (w miejsce pochodzącej z paliw kopalnych), polski minister deklaruje, że działające obecnie w naszym kraju wiatraki zostaną zezłomowane. Gdyby głupota była karalna, polskie zakłady penitencjarne zapełniliby członkowie rządu z prezydentem na czele. Poczucie bezkarności i skrajna nieodpowiedzialność umysłowa rządzących po prostu porażają. Współczesna demokracja nie ma jednak mechanizmów, które zabezpieczałyby nas przed ludźmi bawiącymi się zapałkami przy dystrybutorze z paliwem. Oni po prostu lubią zapałki, a przecież są dorośli.

I dlatego w zderzeniu z takimi osobliwymi postaciami wydarzeniem było pojawienie się 15-letniej Szwedki Grety Thunberg, która od sierpnia w każdy piątek opuszcza zajęcia w szkole i wędruje pod szwedzki parlament z przesłaniem w sprawie ochrony klimatu. Jej wystąpienie w Katowicach już dziś można nazwać historycznym, obawiając się tylko, żeby jej wizyta i przemowa nie miały takiego charakteru w przyszłości, w kasandrycznym wymiarze. Greta mówiła m.in.: „Nie szukajmy nadziei, szukajmy działania. Wtedy i tylko wtedy nadzieja przyjdzie. Proszę ludzi z całego świata, żeby zrozumieli, że politycy nas zawiedli. Nie możemy dłużej grać według tych samych reguł. Reguły muszą zostać zmienione. Jeśli kilkoro dzieci może trafić na okładki gazet całego świata tylko dlatego, że nie poszły do szkoły, to wyobraźcie sobie, co moglibyśmy razem osiągnąć. Nasza planeta jest poświęcana, żeby bogaci ludzie w krajach takich jak mój mogli żyć w luksusie".

Greta nie ma wątpliwości, że politycy, którzy od 25 lat debatują podczas kolejnych konferencji, totalnie zawiedli. Kiedy co piątek siada pod parlamentem, rozwija transparenty: „Szkolny strajk dla klimatu" i „Robię to, ponieważ wy, dorośli, spieprzyliście moją przyszłość". Zaczyna zdobywać rozgłos i poparcie zarówno wśród uczących się dzieciaków, jak i dorosłych. Nie lata samolotem, nie je mięsa, segreguje odpady, ale równocześnie jest świadoma, że takie działania już nie wystarczą – konieczne są zmiany systemowe i strukturalne w skali globu. Niestety, odpowiedzialni za nie są politycy w większości wybierani w demokratycznych wyborach. Greta nie ma złudzeń: „Wyborów nie wygrywa się, mówiąc o klimacie".

Katowickie wystąpienie Grety Thunberg przejdzie do historii walki z katastrofą klimatyczną, tak samo jak zaprzepaszczona w widowiskowo karykaturalny sposób polska prezydencja. Trudno wymagać, żeby na oddziale pedofilów dało się usłyszeć sensowny głos przeciw krzywdzeniu dzieci. Węglowa kapliczka również znalazła swoje miejsce w polskim pawilonie na COP24.

Z oficjalnej strony szczytu dowiemy się, że był to kolejny sukces Polski. „Dziś mogę głośno powiedzieć: w pakiecie katowickim w zrównoważony, uczciwy sposób uwzględnione zostały interesy wszystkich stron – mówił prezydent COP24 Michał Kurtyka. – Ale co ważniejsze, jego wpływ na świat będzie pozytywny. Dzięki niemu uczynimy wielki krok w kierunku realizacji ambicji zapisanych w porozumieniu paryskim. Ambicji, które sprawią, że nasze dzieci spojrzą kiedyś wstecz na nasze dziedzictwo i uznają, że ich rodzice podjęli właściwe decyzje w ważnym, dziejowym momencie". Komentarz Greenpeace'u odbiega od tej tonacji: „Trudno mówić o sukcesie, ale udało się uniknąć spektakularnej porażki – niestety, nie dzięki polskiej prezydencji. Delegacje wynegocjowały zasady realizacji porozumienia paryskiego (tzw. *rulebook*), lecz zrezygnowały ze znaczącego zwiększenia wysiłków w walce z kryzysem klimatycznym. (...) W ostatniej chwili sytuację uratował sekretarz generalny ONZ António Guterres, który pod koniec szczytu po raz trzeci pojawił się w Katowicach i nieoficjalnie przejął stery oraz inicjatywę w negocjacjach. Negocjacje klimatyczne posunęły się przez te dwa tygodnie w Katowicach do przodu, ale był to ruch ociężały, mało ambitny i na dodatek opóźniany przez polityków takich państw jak Polska. Trudno zrozumieć, jak można pozostać tak głuchym zarówno na głos nauki, jak i społeczeństwa. Podczas gdy młodzi ludzie strajkują w szkołach, coraz więcej obywateli i obywatelek wychodzi na ulice, a organizacje społeczne bezustannie przypominają o potrzebie odejścia od paliw kopalnych, nasi politycy siedzą w swoim grajdołku i uparcie trzymają się swoich archaicznych węglowych wizji, które dawno powinny zostać pogrzebane", powiedział Bohdan Pękacki, dyrektor Greenpeace Polska.

Greta Thunberg jest gwiazdką na niebie. Dobrze za nią podążać.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2db340f6ca

OSTATNI SKOK WIENIAWY

Gen. Wieniawa-Długoszowski uosabiał to, co w II RP było najlepsze, i to, co najgorsze

Krzysztof Wasilewski

Dom przy Riverside Drive 3 w Nowym Jorku, gdzie od pewnego czasu Bolesław Wieniawa-Długoszowski mieszkał z żoną i córką, wyróżniał się renesansową architekturą i jasną elewacją. Wzrok przechodniów zatrzymywał się zwłaszcza na tarasie, ciągnącym się przez całą szerokość czwartego piętra. Często można było na nim zauważyć postawną sylwetkę Wieniawy, który lubił stamtąd oglądać panoramę miasta.

Rankiem 1 lipca 1942 r. także był na tarasie. Potem – jak zeznali świadkowie – wszedł na barierkę, uklęknął, przeżegnał się i wyskoczył. „Przypadkowa śmierć", głosił akt zgonu. Także polski ambasador w USA Jan Ciechanowski, chcąc uniknąć sensacji, poinformował prasę, że śmierć spowodował „wypadek wywołany zawrotami głowy, na które cierpiał generał". Jakby potwierdzając tę wersję wydarzeń, właścicielka domu upierała się: „Był w znakomitym humorze, miał zamiar wziąć kąpiel, szedł na taras zaczerpnąć świeżego powietrza...".

Wątpliwości rozwiewał list pozostawiony w kieszeni piżamy Wieniawy: „Myśli plączą mi się po głowie i łamią jak zapałki lub słoma. Nie mogę spamiętać najprostszych nazw miejscowości, nazwisk ludzi oraz prostych wypadków z mego życia. Nie czuję się w tych warunkach na siłach reprezentować Rządu, gdyż miast pożytku mógłbym zaszkodzić sprawie...".

Czy jednak wyłącznie problemy zdrowotne zaważyły na podjęciu decyzji o samobójstwie? Jak to się stało, że ten, który „zdawał się być życiem samym, samem urokiem dnia codziennego", jak pisał o Wieniawie Jan Lechoń, rozstał się z życiem w tak dramatyczny sposób? Pytania dotyczące samobójstwa Wieniawy można mnożyć.

Wszedł na barierkę, uklęknął, przeżegnał się i skoczył.

ULUBIENIEC CEZARA

„Ulubieniec Cezara" – tak biografię Wieniawy-Długoszowskiego zatytułował Jacek M. Majchrowski. Tytuł nadzwyczaj trafny, zważywszy na stosunki między Wieniawą a Józefem Piłsudskim. Marszałek darzył swojego adiutanta wyraźną i niesłabnącą sympatią. Podczas gdy inni byli to awansowani, to degradowani, pozycja Wieniawy pozostawała niezachwiana, wsparta autorytetem Piłsudskiego. Kiedy w 1923 r. otrzymał nominację na przedstawiciela Szefa Sztabu Generalnego w MSZ, odrzucił ją, nie chcąc urazić odsuniętego od władzy marszałka. Po Warszawie krążyła opowieść – chętnie powtarzana zarówno przez przyjaciół, jak i wrogów – o kobiecie, która widząc Wieniawę spacerującego z Piłsudskim, miała spytać: „Kim jest ten stary pan, z którym idzie Wieniawa?".

W tej opowieści musiało coś być, skoro nawet Julian Tuwim w wierszu „Wieniawa" pisał:

A wczoraj (nie wierzycie?
Pod chajrem! Bez przechwałek!)
Przychodzi do mnie skrycie
Po prostu – sam Marszałek.
I prosi o dyskrecję,
Bo ma intymną sprawę,
A wierzy w mą protekcję:
„Pan przecież zna Wieniawę!".

„Kolory i fantazja, nałogi i fanfaronada, kontakty ze środowiskami artystycznymi Wieniawy utrwalały

eprasa.pl 2db340f6ca

jego archetyp", pisze Majchrowski. Chociaż więc wjazd na koniu do Adrii to tylko legenda, Bolesław Wieniawa-Długoszowski był jedną z najbarwniejszych postaci II RP, celebrytą sanacyjnej Polski. Znał wszystkich – polityków, wojskowych, artystów – i w każdej z tych grup czuł się znakomicie.

Tylko Wieniawa mógł napisać o pewnej kawiarni: „Tam zaprzyjaźniłem się z kosmicznie mistycznym Tadeuszem Micińskim, wielkim, lecz niezrozumiałym poetą. (…) Tam poznałem Stanisława Przybyszewskiego i Stanisława Wyspiańskiego (…), tam z Karolem Irzykowskim i Stanisławem Womelą wykłócaliśmy się o naturalizm w sztuce i o empiriokrytycyzm niemiecki Macha i Avenariusa".

Nic dziwnego, że wielu wątpiło, czy tak wysoka pozycja Wieniawy była zasłużona. Zdaniem gen. Tadeusza Rozwadowskiego był „oficerem bezsprzecznie bardzo inteligentnym, lecz przez całą swą służbę zajmował się wyłącznie polityką, a nie wojskiem. (…) W kawalerii polskiej zupełnie nieznany jako oficer liniowy". Generalicja spoza kręgu legionowego uważała Wieniawę raczej za celebrytę i bawidamka niż za materiał na dowódcę.

Nadużywał alkoholu, co nie pozostało niezauważone i przez przyjaciół, i przez przeciwników. „Wieniawa po prostu nie umiał nikomu odmówić wypicia z nim kieliszka, a że wszędzie spotykał kompanów… a że kompani wszyscy byli trunkowi…", pisał płk Marian Romeyko, attaché wojskowy ambasady RP w Rzymie.

Przede wszystkim jednak krytycy zarzucali Wieniawie jego ślepe oddanie Piłsudskiemu, które przedkładał nad polityczne i wojskowe interesy państwa. W maju 1926 r. należał do ścisłego grona przygotowującego zamach. Wcześniej odwiedzał wojskowych i namawiał ich do buntu przeciwko rządowi. Mając do wyboru dochowanie wierności przysiędze wojskowej i lojalność wobec Piłsudskiego, wybrał to drugie.

Doszedłszy do władzy, Piłsudski odwdzięczył się Wieniawie, powierzając mu różne nieformalne misje zagraniczne. O ich powodzeniu lub porażce dowiadywał się jedynie marszałek, z pominięciem ministra spraw zagranicznych. Wieniawa był nawet typowany na szefa MSZ, ale wówczas po raz pierwszy odmówił Piłsudskiemu.

Ten spełniał również marzenia wojskowe Wieniawy. Mianował go dowódcą 1. Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, spadkobiercy tradycji 1. Pułku Ułanów Legionów Polskich. Funkcję tę Wieniawa łączył ze stanowiskiem I oficera sztabu w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych. Wkrótce przyszły kolejne awanse. W listopadzie 1930 r. objął dowództwo 1. Brygady Kawalerii. W styczniu 1932 r. został awansowany na generała brygady. Pięć lat później nadzorował Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. Tuż przed rozstaniem z wojskiem w 1938 r. otrzymał awans na generała dywizji.

Po śmierci Piłsudskiego Wieniawa skoncentrował się na karierze dyplomatycznej. W czerwcu 1936 r. został ambasadorem w Rzymie. Podczas powitalnego spotkania z personelem placówki zapowiadał: „Moi państwo. Ludzie szanowani są dla swych zalet i cnót, a lubiani tylko dzięki wadom. Ja podobno w Warszawie byłem lubiany. Obawiam się jednak, że wy będziecie mnie tutaj szanowali".

Wkrótce ambasador Wieniawa dał się poznać jako profesjonalny, skuteczny dyplomata. Przestał nawet nadużywać alkoholu, co jeszcze niedawno jego przyjaciele uważali za niemożliwe (attaché wojskowy w Rzymie otrzymał tajne zadanie pilnowania nowego szefa i chowania przed nim napojów wyskokowych).

Wieniawa robił, co mógł, aby odciągnąć Włochy od sojuszu z nazistowskimi Niemcami. Chociaż było to zadanie skazane na porażkę, udało mu się zdobyć we włoskim establishmencie znaczącą pozycję. Na potwierdzenie tego w sierpniu 1939 r. otrzymał misję pośrednika w rozmowach między politykami włoskimi a brytyjskimi na temat ewentualnego sojuszu wojskowego. Działał także na rzecz porozumienia włosko-węgiersko-polskiego, która to koncepcja pojawiła się wraz z zajęciem przez Polskę Zaolzia. Nie interesowały go kwestie moralne, uważał, że Rzeczpospolita odzyskała należne jej tereny. Był jednym z tych, którzy bezrefleksyjnie wierzyli w „mocarstwowość Polski".

KLĘSKA PAŃSTWA, KLĘSKA OSOBISTA

Wybuch wojny przekreślił te plany. Zresztą warto odnotować, że właśnie ambasada w Rzymie jako pierwsza poinformowała Warszawę o wydaniu przez Hitlera rozkazu ataku na Polskę. W pierwszych dniach września Wieniawa liczył jeszcze na zwycięstwo. „Ambasador Polski jest smutny, ale nie przybity", notował 6 września 1939 r. hrabia Galeazzo Ciano, włoski minister spraw zagranicznych.

Sytuacja Polski i Wieniawy skomplikowała się 17 września, po agresji Związku Radzieckiego. Na wieść o ucieczce polskich władz, zwłaszcza marsz. Rydza-Śmigłego, Wieniawa załamał się, nawet płakał. „Oznaczało to bowiem w praktyce zarówno klęskę kraju, klęskę ideologii Piłsudskiego, jak i klęskę osobistą Wieniawy", podsumowuje Majchrowski. Przez wiele lat miał bezpośredni wpływ na kształt armii, a tu okazało się, że ten czas został zmarnowany. Zadziwiające, że Wieniawa, jeden z inteligentniejszych oficerów, tak łatwo uwierzył w propagandę „Polski mocarstwowej". Tym boleśniej odczuł wrześniową klęskę.

Kolejne informacje z kraju tylko pogłębiły jego depresję. Działał, ale złe samopoczucie i problemy zdrowotne dawały mu się we znaki. Mimo wszystko udało mu się załatwić przejazd przez Włochy polskich żołnierzy internowanych w Rumunii, którzy – oficjalnie jako turyści – pró-

Nie umiał nikomu odmówić wypicia z nim kieliszka, a że wszędzie spotykał kompanów…

Generalicja spoza kręgu legionowego uważała Wieniawę raczej za celebrytę i bawidamka niż materiał na dowódcę.

eprasa.pl 2db340f6ca

bowali przedostać się do Francji. Z sukcesem sfinalizował również kontrakt na dostarczenie włoskich wodnopłatowców, zamówionych przez polską armię jeszcze przed wojną. Fakt, że władze w Rzymie przymykały na to wszystko oko, potwierdza umiejętności dyplomatyczne Wieniawy.

NIEDOSZŁY PREZYDENT

25 września 1939 r. Wieniawa przybył do Paryża, gdzie spotkał się z ambasadorem Juliuszem Łukasiewiczem. Otrzymał od niego zalakowaną kopertę. Znajdowały się w niej osobisty list od prezydenta Ignacego Mościckiego oraz dekret – antydatowany na 17 września 1939 r. – powołujący Wieniawę na jego następcę na czas wojny. Do rumuńskiego miasta Bicaz, gdzie internowano Mościckiego, został wysłany telegram o treści: „Rodzina Koneckich w porządku". Było to ustalone wcześniej hasło potwierdzające powołanie nowej głowy państwa.

Nie dane było jednak Wieniawie piastować najwyższego urzędu w państwie. Dzień przed jego przyjazdem do Paryża trafili tam bowiem gen. Władysław Sikorski i prof. Stanisław Stroński. Obaj należeli do głównych przeciwników sanacji, a co najważniejsze, cieszyli się uznaniem władz francuskich.

„Sikorski po otrzymaniu od Łukasiewicza wiadomości o desygnowaniu Wieniawy sprawia wrażenie zaskoczonego – relacjonował Romeyko. – Stwierdza, że nominacja ta jest katastrofą, albowiem ambasador Wieniawa jest alkoholikiem i nawet teraz, przybywając do Paryża, opuścił pociąg w stanie nietrzeźwym". Sikorski kłamał, lecz robił to nader skutecznie.

Kampania oszczerstw przyniosła sukces. 26 września ambasador Łukasiewicz otrzymał notę od francuskiego wiceministra spraw zagranicznych, w której wybór Wieniawy uznano za „nieszczęśliwy". Tego samego dnia premier Édouard Daladier stwierdził, że „następcą prezydenta RP ma zostać jakiś generał o nieznanym nazwisku, nałogowy alkoholik, który przyjechał do Paryża w stanie nietrzeźwym", w związku z czym rząd francuski musi się temu przeciwstawić.

Dalsze losy nominacji prezydenckiej są znane. W wyniku nacisków władz francuskich na następcę Ignacego Mościckiego został wyznaczony Władysław Raczkiewicz, osoba luźno związana z sanacją. Premierem, do którego należała faktyczna władza, był gen. Władysław Sikorski.

Mając do wyboru wierność przysiędze wojskowej i lojalność wobec Piłsudskiego, wybrał to drugie.

Polski ambasador w Bukareszcie Roger Raczyński komentował: „Nie chodziło mi o personalia, ale przede wszystkim o fakt, że z klęski naszej w polu unieśliśmy tylko i nade wszystko nasze imponderabilia, naszą państwowość, sojusze, konstytucje. A tymczasem nasz własny sojusznik potraktował jeden z naszych skarbów jak błahy, nic nieznaczący liczman...".

Wieniawa wrócił do Rzymu, gdzie nadal próbował pomagać polskim uchodźcom. Jednak 10 czerwca 1940 r. Włochy wypowiedziały wojnę Anglii i Francji, w związku z czym ambasadę RP wraz z całym personelem ewakuowano. Były już ambasador próbował się dostać do francuskiego Angers, gdzie rezydowały polskie władze na uchodźstwie. Zanim tam dotarł, otrzymał od Sikorskiego depeszę, w której ten zwalniał go – wraz z całym zespołem – ze służby. Pojechał więc do Lizbony, skąd planował dalszą podróż do Stanów Zjednoczonych.

„Wieniawa sądził – pisze Majchrowski – że USA będą miejscem, gdzie ministrowi spraw zagranicznych będzie łatwiej nim dysponować. Jak bardzo się mylił, miało się niedługo okazać". Polityk z takim doświadczeniem... Przed byłym już ambasadorem piętrzyły się trudności. Od prozaicznych, związanych z codzienną egzystencją – jako posiadacz wizy tranzytowej nie mógł legalnie podjąć pracy – po problemy natury politycznej. bo rząd Sikorskiego odgrywał się na nim „w sposób mściwy i grubiański".

NIELEGALNY IMIGRANT

Wieniawa – „ulubieniec Cezara", celebryta II RP, generał, ambasador, nominowany na prezydenta Polski – stał się nielegalnym imigrantem. Udało mu się zdobyć pracę na czarno w polonijnym „Dzienniku Polskim", gdzie został korektorem i redaktorem. W tajemnicy przed

Rok 1916, komendant Legionów Józef Piłsudski pozuje z por. Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim.

eprasa.pl 2db340f6ca

Wieniawa (trzeci od lewej) był stałym bywalcem warszawskich kawiarni nie tylko w 1931 r. Przy stoliku siedzą z nim (od lewej): Ferdynand Goetel, Kazimierz Wierzyński, Witold Mieczysławski.

żoną i córką dorabiał także artystycznym introligatorstwem. Jego skromny dochód uzupełniały niewielkie honoraria za okolicznościowe przemówienia i odczyty dla polskiej emigracji.

Przywykły do blichtru i sławy Wieniawa nie radził sobie w trudnych warunkach. W sierpniu 1941 r. w liście do Henryka Rajchmana, piłsudczyka w niedoli, pisał: „Nie pozwolono mi w tych ciężkich czasach być żołnierzem. Uważałem się zawsze i uważam do końca za żołnierza… na terenie tutejszym pracy znaleźć dla siebie nie mogę i nie potrafię. Bliski jestem obłąkania".

Mimo wszystko starał się o powrót – jeśli nie do polityki, to do wojska. W listach do Raczkiewicza i Sikorskiego pisał o potrzebie zgody narodowej, o stworzeniu silnej reprezentacji politycznej, zdolnej rozmawiać z mocarstwami: „Dążyć należy do zgody i szukać jej wszędzie i wszelkimi siłami, rezygnując z wszelkich partyjnych, koteryjnych czy osobistych spraw i animozji, które zresztą wobec dzisiejszej polskiej rzeczywistości są jedynie upiorami przeszłości". Siebie widział w roli mediatora. Jego apele nie spotkały się jednak z większym odzewem. Nie tylko z woli Francuzów. Wieniawa nie do końca rozumiał, że był twarzą sanacji, sanacja zaś po klęsce wrześniowej musiała odejść, bo miała wiele na sumieniu. Co więcej, w odczuciu społecznym odpowiadała za nią.

Wbrew oczekiwaniom aktywność Wieniawy doprowadziła do jego izolacji. „Z czasem miał przeciw sobie w coraz większym stopniu wszystkich – zauważał Majchrowski – sikorszczycy nie uznali go nigdy za swojego, piłsudczycy uważali, że od nich odszedł".

PLACÓWKA W HAWANIE

Przebywający w USA Wieniawa otrzymał propozycję objęcia stanowiska posła RP na Kubie. Jak pisze Majchrowski, było to „złośliwie drugorzędne, nieliczące się i niewymagające żadnej pracy stanowisko". Ku powszechnemu zaskoczeniu Wieniawa zgodził się, spragniony działania, zapewne także dowodów uznania. Za swoją decyzję zapłacił wysoką cenę – piłsudczycy zaczęli go uważać za zdrajcę marszałka.

Czy to oskarżenia ze strony niedawnych przyjaciół pchnęły go do samobójstwa? Z pewnością pogłębiły depresję, z którą zmagał się po klęsce wrześniowej. Już 29 sierpnia 1941 r. w liście do niezidentyfikowanego kolegi z Legionów pisał: „Muszę umrzeć. Na skutek wszystkich przejść, tragedii Polski, a zarazem tragicznej sytuacji osobistej, osłabienia pamięci, zupełnego psychicznego wyczerpania".

Wieniawa zdawał sobie też sprawę z tego, że placówka na Kubie to okrutny żart Sikorskiego. Dla osoby z jego doświadczeniem i umiejętnościami, a przede wszystkim ambicjami, poselstwo w Hawanie niewiele się różniło od pracy na czarno w Nowym Jorku. A on przecież chciał wrócić do wojska. W końcu wciąż był „pierwszym kawalerzystą II RP". „Bolek bardzo ciężko znosił wszystkie wiadomości z Polski, był osamotniony, nie chciał życia w »nowym pięknym świecie«, chciał zginąć na polu chwały", powtarzała jego żona.

W maju 1926 r. należał do ścisłego grona przygotowującego zamach.

Na wieść o ucieczce polskich władz, zwłaszcza Rydza-Śmigłego, Wieniawa się załamał.

Samobójczy skok z tarasu zakończył losy jednej z barwniejszych, jeśli nie najbarwniejszej, postaci II RP. Żołnierz, celebryta, polityk, a na końcu samotny tułacz na wygnaniu – życie Wieniawy niemal symbolicznie splotło się z losem Polski. I sanacji. Skupiły się w nim ich zalety i wady.

Krzysztof Wasilewski

Bibliografia:
A. Maciejewicz, M. Wodejko, *Bolesław Ignacy Florentyn Wieniawa-Długoszowski*, Warszawa 2011
B. Wieniawa-Długoszowski, *Wymarsz i inne wspomnienia*, Warszawa 1992
J.M. Majchrowski, *Pierwszy ułan Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993
J.M. Majchrowski, *Ulubieniec Cezara*. Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Warszawa 1990

FOT. WIKIPEDIA (2), NAC

eprasa.pl 2db340f6ca

ŚWIĄTECZNA MAGIA KREDYTÓW

Polacy wydają na święta coraz więcej pieniędzy. Niektórzy za „wyjątkowe chwile" płacą do wiosny

Świąteczna gorączka zakupowa w sklepach nasila się na początku grudnia.

Katarzyna Wierzbicka

Wzięłam 2 tys. zł, spłacałam prawie 3 tys. – skarży się 45-letnia Renata, która w zeszłym roku przed Bożym Narodzeniem wzięła kredyt gotówkowy. – W umowie wydawało się, że wszystko jest OK. Planowałam spłacić wcześniej, żeby uniknąć naliczania odsetek. A potem się okazało, że wcześniejsza spłata kosztowałaby mnie znacznie więcej niż te odsetki.

– Nie zarabiamy z mężem szczególnie dużo, a w zeszłym roku organizacja rodzinnej Wigilii spadła na mnie. To co miałam zrobić? – pyta retorycznie Katarzyna. W grudniu zadłużyła się na kilkaset złotych, które – z procentem – spłacała do kwietnia. – Łatwo powiedzieć, że to głupie, ale impreza na osiem osób i 12 potraw kosztuje.

Zaczyna się zawsze podobnie. Na przykład: „Święta to bardzo ważny okres w roku dla każdej rodziny; przeżywane wspólnie mogą dać mnóstwo radości i wzmocnić relacje między domownikami". Albo: „Święta Bożego Narodzenia to wyjątkowy czas, gdy spotykamy się z bliskimi, dzielimy się najmilszymi wspomnieniami oraz zasiadamy przy wspólnym wigilijnym stole. Tylko raz w roku mamy sposobność na świętowanie owych radosnych chwil" (stylistyka oryginalna – przyp. red.).

Po wstępie mającym wzbudzić ciepłe emocje pada zwykle pełne zrozumienia zdanie o wydatkach. „Wydatki, jakie są związane z organizacją świąt, na pewno nadszarpną domowy budżet, jednak warto pamiętać, że organizując święta, które będą niezapomniane, sprawiamy przyjemność nie tylko sobie, ale przede wszystkim najbliższym", przekonuje pierwsza z zacytowanych firm pożyczkowych.

„Ceny towarów w sklepach pozostawiają wiele do życzenia. Natomiast nasze oszczędności nie zawsze bywają wystarczające dla zaspokojenia wszystkich potrzeb", pisze na swojej stronie inna firma pożyczkowa.

Wreszcie meritum: „Z pomocą może przyjść nasza firma, która proponuje dwa rodzaje pożyczek gotówkowych".

Przeglądając oferty świątecznych kredytów i pożyczek, można odnieść wrażenie, że banki i firmy pożyczkowe to instytucje charytatywne, mające na celu umożliwienie spędzenia „cennych chwil z najbliższymi" tym, którzy nie dają rady dopiąć świątecznego budżetu. A jest ich sporo, bo – według Providenta – aż 30% społeczeństwa. Nic dziwnego – coraz rzadziej „magia świąt" i „wyjątkowe chwile przy wigilijnym stole" mogą się obejść bez „wypasionych" lub „luksusowych" prezentów dla członków rodziny, iluminacji na balkonie lub w ogrodzie i kosztownych produktów spożywczych, z których część się zmarnuje. Święta stają się konkursem na najbardziej „świąteczną" atmosferę i najbardziej „wyjątkowe" prezenty. Pewne jest jednak, że

eprasa.pl 2db340f6ca

największym wygranym w tej konkurencji są producenci i, coraz częściej, firmy udzielające kredytów.

GORĄCZKA GRUDNIOWYCH ZAKUPÓW

„Czy ktoś może mi podpowiedzieć, co kupić chrześnicy na gwiazdkę? Musi to być coś naprawdę oryginalnego, bo większość zabawek ona już ma. Błagam, pomóżcie!!", pisze zdesperowana użytkowniczka forum Onet.pl. I dostaje odpowiedź: „Proponuję coś z Hannah Montana, zabawkę z serii Monster High, ewentualnie Lego Friends (u mojej dziewięciolatki zawsze się sprawdza)". Na przełomie listopada i grudnia wyszukiwarka Google coraz częściej podpowiada hasła: „jaki prezent dla chłopaka" albo „co kupić teściowej".

Świąteczna gorączka zakupowa w sklepach, mediach i na miejskich billboardach zaczyna się już pod koniec października, choć jeszcze dość delikatnie. Prawdziwe bombardowanie „świątecznymi okazjami" i „wyjątkowymi prezentami" nadchodzi w połowie listopada: z większości gazet wysypują się wówczas broszurki oferujące „prezentowe inspiracje", a w tle reklamowych spotów radiowych i telewizyjnych słychać kolędy. W okresie szczytowym, tj. mniej więcej od połowy grudnia, każde wyjście z domu wiąże się z ostrzałem świątecznymi bodźcami, szczególnie w centrach handlowych i supermarketach.

Zdaniem prof. Agnieszki Kacprzak, socjolożki biznesu z Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, liczba świątecznych sygnałów i długość wystawiania na nie odbiorców to jeden z dobrze przemyślanych chwytów marketingowych. – Im dłużej ludzie są wystawieni na świąteczne bodźce, tym więcej kupują, przypominając sobie chociażby o większej liczbie osób do obdarowania, niż gdyby myśleli o tym tuż przed gwiazdką – twierdzi badaczka. – Badania Deloitte pokazują, że nie zostawiamy już kupowania prezentów na ostatnią chwilę, coraz większy procent Polaków robi to już w listopadzie. 89% młodych konsumentów zaopatruje się w prezenty w Black Friday – kolejne amerykańskie święto zakupowe, które zdobywa w Polsce coraz większą popularność.

Najchętniej kupowanymi prezentami są kosmetyki, książki i perfumy dla dorosłych oraz gry komputerowe, słodycze i wszelkiego rodzaju zabawki dla dzieci i młodzieży. Jednak nie chodzi tylko o prezenty – o tym, że „magia świąt" nie może się obejść bez stosownej oprawy materialnej, przekonują także producenci świątecznych dekoracji i gadżetów. Poza choinkami i bombkami sklepy oferują świąteczne oświetlenie na okna i balkony, girlandy, renifery i mikołaje. – Polskie osiedla zaczynają coraz bardziej przypominać to, co widzimy w amerykańskich filmach. Kupujemy też coraz więcej innych świątecznych gadżetów – wieńców na drzwi, kalendarzy adwentowych, świątecznych osłonek na telefony komórkowe, specjalnych obrusów, serwetek, stroików – mówi specjalistka. – Zachowania zakupowe Polaków pokazują, że ciągle próbują oni dogonić bogate kraje Zachodu pod względem poziomu życia i konsumpcji. Starsi konsumenci, pamiętający epokę nieustających braków i pustych półek w sklepach, próbują w ten sposób zrekompensować sobie brak możliwości realizacji marzeń konsumpcyjnych w młodości. Przejawia się to np. w obsypywaniu dzieci zabawkami, których samemu się nie miało w dzieciństwie.

Prof. Kacprzak uważa, że wyobrażenie o tym, jak powinny wyglądać święta Bożego Narodzenia, jest kreowane przez producentów potencjalnych prezentów i gwiazdkowych gadżetów. Wystarczy wmawianie, że prawidłowe przeżycie świąt wiąże się z mnóstwem przedmiotów. I wygląda na to, że działania te są bardzo skuteczne – jak podaje prof. Kacprzak, powołując się na badania Deloitte, Polacy na tegoroczne święta wydadzą średnio 1168 zł, z czego 45% przypadnie na prezenty, 44% na żywność, a reszta na spotkania towarzyskie. Z kolei według portalu Wiadomości Handlowe łączna kwota wydatków sięgnie w tym roku 24 mld zł, czyli o 8,6% więcej niż w roku 2017.

Jest jednak jeszcze coś. – Dodatkowym celem działań promocyjnych jest uruchomienie w konsumentach hedonistycznego trybu opartego na emocjach i doznaniach, a przy okazji przyblokowanie racjonalnego myślenia – wyjaśnia prof. Kacprzak. – To wszystko ma sprawić, że poddamy się świątecznej atmosferze, odnajdziemy w sobie „wewnętrzne dziecko", które podekscytowane oczekiwało pierwszej gwiazdki, i zaczniemy impulsywnie wydawać pieniądze, nie zastanawiając się, do czego te wszystkie przedmioty będą nam potrzebne.

Stawianie na impulsywność „wewnętrznego dziecka" również ma konkretne przełożenie na sprzedaż. Jak podaje prof. Kacprzak, ponad połowa Polaków deklaruje, że przekracza przeznaczony na święta budżet.

CIŚNIENIE NA PREZENTY

Pod ostrzałem reklamowych spotów z „rodzinną" atmosferą w tle łatwo ulec złudzeniu, że jest ona ściśle związana z reklamowanym akurat produktem. Na pierwszej linii ognia marketingowych sugestii znajdują się zwykle dzieci i ich rodzice.

Oglądając oferty świątecznych kredytów i pożyczek, ma się wrażenie, że banki i firmy pożyczkowe to instytucje charytatywne.

– Dla mnie świąt mogłoby nie być – deklaruje Agnieszka, matka dwóch córek w wieku siedmiu i dziewięciu lat. – Ale co powiedzieć dziecku, które czeka podekscytowane od połowy listopada?

– Nawet jeśli postanowiliśmy sobie kupno skromniejszych prezentów, zawsze znajdował się w rodzinie ktoś, kto uznawał to za bzdurę i swoimi prezentami wszystkich zawstydzał. To bywa przykre, szczególnie jeśli chodzi o dzieci. Dlatego chcąc nie chcąc, graliśmy w tę grę – z rezygnacją mówi Renata.

Prawdziwe ciśnienie na prezenty zaczyna się w połowie grudnia. Prezent musi być „oryginalny", „wyjątkowy" i „rozwijający". Dlatego, jak twierdzi prof. Agnieszka Kacprzak, coraz popularniejsze stają się zabawki kreatywne i artystyczne, a dla dorosłych – kupowanie doświadczeń zamiast przedmiotów: – Coraz większy procent Polaków – według naszych badań ok. 37% – zaczyna preferować konsumowanie doświadczeń nad gromadzenie przedmiotów.

FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

eprasa.pl 2db340f6ca

Takie osoby zafundują innym pod choinkę raczej bon na kolację w restauracji, masaż, weekendowy wyjazd, skok na spadochronie czy kurs przygotowywania sushi.

Dostawcami potencjalnych podarunków stają się więc już nie tylko producenci zabawek, słodyczy czy kosmetyków, ale również hotele, restauracje czy biura podróży. „Podaruj swoim bliskim wyjątkowe chwile na święta", zachęca jedna z agencji turystycznych. „Podaruj bliskim coś naprawdę wyjątkowego. Zadbaj o ich zdrowie i dobre samopoczucie", poleca się z kolei salon SPA.

Jednak świąteczna licytacja na to, kto da więcej, dotyczy nie samych prezentów, ale i żywności – obficie zastawiony wigilijny, a potem świąteczny stół jest bowiem jednym z symboli nie tylko statusu, ale także rodzinnego zgrania i gospodarności.

– Najchętniej zrobiłabym trzy-cztery potrawy i koniec. Ale tak po prostu się nie da. W pewnym sensie czuję na sobie oczekiwanie mojej matki i teściowej, że wszystko będzie bez zarzutu. Jeżeli będzie mniej niż 12 potraw, to nie dlatego, że chcę skromnie, tylko dlatego, że widocznie nie dałam rady z organizacją świąt. A ja nie chcę być oceniana – zwraca uwagę Katarzyna.

Tymczasem polska kultura świątecznego nadmiaru nabiera ironicznego charakteru, kiedy zestawić ją ze statystykami marnowania przez Polaków żywności – praktyki, do której przyznaje się według portalu banków żywności prawie 35% badanych i która szczególnie nasila się w okresie świątecznym. – Staramy się, żeby na stołach było 12 potraw, i to powoduje, że jedzenia jest więcej, w związku z tym często nie jesteśmy w stanie zjeść wszystkiego. Po świętach dużo jedzenia wyrzucamy – mówi Maria Kowalewska z Federacji Polskich Banków Żywności.

ZASTAW SIĘ, A POSTAW SIĘ

W tej sytuacji przestaje dziwić fakt, że święta Bożego Narodzenia są dla wielu Polaków momentem zaciągnięcia długu. Choć, jak twierdzi prof. Agnieszka Kacprzak, większość polskich konsumentów po pożyczkę zwraca się w pierwszej kolejności do rodziny, nie brakuje takich, którzy za „magię świąt" gotowi są płacić do marca czy kwietnia.

– Gdybym mogła, pożyczyłabym od kogoś z rodziny, ale przed świętami nikt się nie kwapi do udzielania pożyczek – tłumaczy swoją decyzję Katarzyna. – Zresztą po co mają wiedzieć, że potrzebowałam pieniędzy?

– Wyszłam na zero dopiero w okolicach wakacji – dodaje Renata.

Agnieszka Kacprzak: – Zdesperowany konsument, któremu brakuje kilkuset złotych do sfinansowania świątecznych zakupów, jest w stanie skorzystać z prawie każdej oferty, bo nie da się tych zakupów odłożyć na później. Nie można przecież powiedzieć dzieciom, że prezenty dostaną na początku stycznia, bo wtedy będzie korzystniejsza stopa oprocentowania. Tymczasem oprocentowanie oferowanych przez banki w okresie świątecznym specjalnych kredytów dochodzi do 40%. Większe kwoty pożyczamy w bankach – średnia przedświątecznego kredytu wynosi tam 10 tys. zł. Po mniejsze idziemy do firm pożyczkowych, gdzie zadłużamy się średnio na 2 tys. zł. A tam rzeczywiste oprocentowanie może wynosić i 173%.

Zdaniem specjalistki większość zadłużających się to osoby pracujące, o dochodach wyższych od średniej krajowej. Częściej są to kobiety niż mężczyźni – one bowiem zwykle zarządzają organizacją świąt i związanymi z tym wydatkami.

Nawet jeśli stopa oprocentowania wydaje się stosunkowo niska, koszty mogą się kryć gdzie indziej. – Kredyty świąteczne są coraz droższe i coraz trudniej porównywać oferty – przestrzega Aleksandra Dziadykiewicz w „Przewodniku finansowym" na antenie TOK FM. – Banki i firmy pożyczkowe próbują zarabiać m.in. na opłatach za przygotowanie umowy, prowizjach czy obowiązkowych ubezpieczeniach. Coraz częściej spotkamy się też z informacją, że oferta na stronie to tylko symulacja, a rzeczywiste koszty ustalane są z każdym klientem indywidualnie.

Na portalu Wiadomości Handlowe czytamy z kolei: „Co trzecia osoba na prostą wychodzi w styczniu, niektórzy dopiero w marcu – wynika z danych BIG InfoMonitor. (…) To właśnie w lutym i marcu do rejestru trafia zazwyczaj najwięcej dłużników".

ŚWIĘTA FRUSTRACJI?

Zastanawiające, że prawie każdy dorosły pytany o świąteczne skojarzenia wymienia głównie wydatki, przeciążenie oraz stres związany z prezentami i obowiązkiem odpowiedniej pompy stołowo-dekoracyjnej. A jednak w większości gramy w grę, polegającą na prześciganiu się w „świątecznej atmosferze" kosztem ciągnących się finansowych obciążeń i przygotowywania jedzenia, którego nie jesteśmy w stanie spożyć. Pytanie, czy święta mające budzić pozytywne konotacje nie zamieniają nas po trochu w Scrooge'a z „Opowieści wigilijnej" – nielubiącego ludzi skąpca, w którym myśl o gwiazdce budzi odruch wymiotny.

Renata: – Po przygodach, które miałam rok temu, miałam dość. W tym roku każdy kupuje prezent jednej wylosowanej osobie, a wieczerzę robimy składkową – każdy coś przynosi. Pierwszy raz od wielu lat święta mnie nie stresują. Wreszcie można się skupić na ważniejszych i przyjemniejszych rzeczach.

Mariusz, ojciec ośmioletniego Krzysia: – Od jakiegoś czasu obchodzimy święta, robiąc z dziećmi z rodziny kartki i ozdoby z dostępnych nam materiałów. One się cieszą nie tylko z ozdób, ale też z tego, że robią je z rodzicami. Umówiliśmy się też, że tylko dzieci dostają prezenty – każde po jednym. Da się.

Katarzyna Wierzbicka

Podwójny świąteczno-noworoczny numer tygodnika „NIE".
Tysiąc i jedna atrakcja, w tym największa – niecodzienny portret Jarosława Kaczyńskiego.

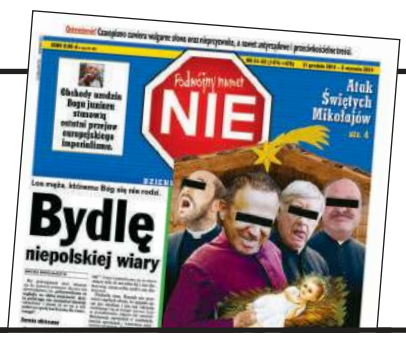

eprasa.pl 2db340f6ca

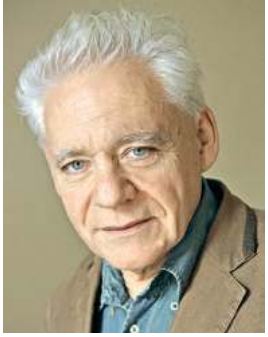

Oko w oko

Tomasz Jastrun

NA BOŻE NARODZENIE 2018

Ten numer PRZEGLĄDU trafia na czas świąteczny, powinno więc być jak najmniej polityki, a najlepiej, żeby jej w ogóle nie było. Na co dzień gęsto od niej i duszno. Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem książkę, która jest rodzajem dziennika i notatnika, Agnieszki Kosińskiej „Miłosz w Krakowie". Przez krakowskie lata Miłosza była jego sekretarką, więcej – asystentką i czasami duchową partnerką. Notowała spotkania z mistrzem, pracę z nim dzień po dniu, skrzętnie, skrupulatnie, inteligentnie, z talentem literackim, wiedząc, że po latach nawet te drobinki i okruszki będą cenne. Z zapisków wyłania się postać wielkiego artysty, który zaczyna się zmagać ze swoim wiekiem, ale nie traci pasji życia. W puencie opowieści jest umieranie pisarza, wstrząsający zapis, ale czy nie dwuznaczny moralnie? Czy to nie metafizyczna pornografia? Czasami bezradnością są fizjologiczne świadectwa i upokorzenie. Domyślam się, że w Krakowie, na tym dworze, który otaczał odchodzącego wielkoluda, ten fragment książki wzbudził kontrowersje. Ja się nie oburzam. To świadectwo poruszające i pisane z talentem, nie tylko jednak to stanowi usprawiedliwienie. Przypomniał mi się wiersz Miłosza.

Po osiemdziesiątce

Niedługo skończy się cała parada,
Co za różnica, wypada nie wypada.

Jak będą mnie u-i-roz-bierali,
Jakich dowiedzą się bio-detali.

Nieżywemu niedźwiedziowi, co do tego,

Z Miłoszem miałem kilkanaście spotkań. Najzabawniejsze w Sztokholmie, gdzie byłem dyrektorem Instytutu Polskiego i *attaché* kulturalnym. Przyjaźniłem się tam z Adamem Brombergiem, kiedyś twórcą PWN, od 1968 r. w Sztokholmie, gdzie stworzył duże szwedzkie wydawnictwo. Był też wydawcą i agentem Miłosza na Szwecję. W rocznicę powstania wydawnictwa postanowił zorganizować wielką imprezę. To był chyba rok 1993. Przyjechać miało wielu znanych pisarzy, w tym Miłosz. Adam wydał mu z tej okazji potężny wybór wierszy po szwedzku. Impreza miała się odbyć w pięknym ceglanym budynku dawnego cyrku na Wyspie Zwierzęcej. Wcześniej uczestniczyłem w Londynie w festiwalu poetyckim, gdzie spotkałem Miłosza. Powiedział, że zaprosił go do Sztokholmu Bromberg, ale jest bardzo zaniepokojony, ponieważ dowiedział się, że ta impreza będzie w cyrku. Uspokoiłem go, że to dawny cyrk, bardzo poważny, na pięknej sztokholmskiej wyspie.

Miłosz jest już w Sztokholmie. Dzwoni do mnie bardzo wzburzony: „Panie Tomaszu, miałem rację, to jednak jest prawdziwy cyrk, ma być wielu autorów, śpiewy, balety, wygłupy. Coś okropnego, nie zamierzam w tym brać udziału". Próbuję go ułagodzić, ale mi się nie udaje. Mówi: „Jeżeli wystąpię, to nago, tylko nago". Dzwoni do mnie Adam, jest w rozpaczy: „Miłosz zrobił mi straszną awanturę, mówi, że nie wystąpi, a jeśli, to nago. Co ja mam robić?". Dzwonię do Miłosza, mam pomysł: „Zażąda pan, że wystąpi pan jako pierwszy, a potem wróci pan demonstracyjnie do hotelu". „Świetny pomysł", powiedział poeta. Sala była pełna, dobrze ponad tysiąc słuchaczy. Miłosz wszedł na scenę jak wściekły lew, nastroszył się, czytał swoje wiersze po polsku, aktor po szwedzku. Owacja. Poeta został, nie poszedł do hotelu. Spodobało mu się. A potem były tańce i swawole, 80-letni autor „Mechanicznej pomarańczy" Anthony Burgess zagrał na pianinie i zaśpiewał nieprzyzwoitą piosenkę. Pomyślałem – oto duma Litwina i poczucie humoru Anglika. A przy okazji to był mój największy sukces dyplomatyczny w Szwecji.

W puencie z życzeniami świątecznymi cudem odnaleziony wiersz mojej mamy, poetki Mieczysławy Buczkówny, o świętach na rok przed wojną. Boimy się o przyszłość świata, ale nie jest aż tak źle, jak było wtedy.

Boże Narodzenie 1938

…padał jeszcze dziecinny śnieg
Zbliżało się Boże Narodzenie
Pieczono świąteczne pierniki
Pachniała wanilia imbir i cynamon
Pachniało prochem
Produkowano bomby bombki szklane
Robiło się zabawki na choinkę
Zwierzęta uczyły się ludzkiej mowy
A ludzie jak jej zapomnieć
Przymierzało się jasełkowe korony
I skrzydła z bibuły
Prawdziwi aniołowie zajęci już byli na dobre
Robieniem porządków w niebie
Na przyjęcie 6 milionów dusz
Które wkrótce miały nasz kraj opuścić
Dzieci ćwiczyły kolędę – zbudźcie się pasterze
Armie żołnierzy w pudełkach
Obwiązanych świątecznym szpagatem
Spały spokojnym snem

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2db340f6ca

Syn Oleny Paweł (nz. z lewej) złowił trzy pstrągi, mąż dwa,

Ewa Rogowska

PSTRĄGOBRANIE

Każdy wędkarz uważa, że wie wszystko i wszystko potrafi

W pierwszy weekend października przyjechały pstrągi. Jechały prawie 200 km, bo Andrzej współpracuje z hodowcami, których sprawdził przez lata, nawet jeśli inne stawy hodowlane są bliżej. Ryby były zdrowe, co potwierdził weterynarz. – Jeśli się wrzuca do jeziora tyle pieniędzy, trzeba mieć pewność, że żadnej choroby się nie przywlecze – mówi Andrzej. Na przyjazd pstrągów czekali spinningiści. Pojawiają się na łowisku Okoń w Janówku każdego jesiennego dnia, kiedy tafla wody nie jest pokryta lodem. Dziesięć dni przed świętami też się zjawili, bo frajdą jest mieć na wigilijnym stole własnoręcznie złowionego pstrąga. Albo zjeść go przed Wigilią.

MOCNA CZWÓRKA

Jesienią i zimą łowisko jest nieczynne w nocy. Po pierwsze, noce są zwykle bardzo chłodne, a po drugie, złowionego pstrąga nie wolno z powrotem wrzucić do wody. Po ciemku zaś łatwiej byłoby wędkarzowi przechytrzyć Andrzeja, który nie tylko zarządza łowiskiem, ale też od czasu do czasu je dozoruje. Monitoring obejmuje wszystkie 52 pomosty, trudno jednak każdego łowiącego obserwować non stop. Sporadycznie ktoś próbuje wrzucić złowionego pstrąga do wody albo go przemycić bez zapłaty. Za próbę przemytu grozi 500 zł kary. Przy zakupie za kilogram płaci się 19 zł. Na forach internetowych dla wędkarzy zdarzają się krytyczne uwagi, a nawet słowa oburzenia, że na łowiskach komercyjnych trzeba kupować złowione pstrągi. Ale większość wędkarzy to rozumie i regulamin akceptuje.

Pstrągi to bardzo waleczne ryby, skoczne.

Ryszard, Stanisław, Władysław i jego syn Mariusz docierają na łowisko około pół do ósmej, dokładnie o wschodzie słońca, i Andrzej otwiera bramę. Spotkali się w Warszawie godzinę wcześniej. Władysław i jego syn są z Ochoty, pozostali z Woli i Mokotowa. Trzech już na emeryturze, Mariusz pracuje jako kucharz, na zmiany, więc reszta zwykle dostosowuje się do jego grafiku. Jeżdżą na różne łowiska komercyjne w pobliżu Warszawy, do Janówka wpadają raz w miesiącu. Dziś przyjechali po raz pierwszy tej jesieni, łowić pstrągi. Zajęli cztery pomosty obok siebie, niezbyt odległe od parkingu, bo Stanisław ma kłopoty z chodzeniem. Ubrani stosownie do pory roku, na cebulkę, ale już około południa zimno daje im się we znaki. Postanawiają: wracamy do domu. Ojciec i syn mają razem cztery pstrągi, pozostali tylko dwa.

Ryby zostawią na święta? – Chyba jednak zjemy je wcześniej – kręci głową Władysław. – Za pstrągiem smażonym nie przepadam, z grilla nie jest zły. Ale my przyrządzimy z niego gravad lax, według przepisu z Norwegii. Jest wtedy przepyszny. Właściwie przyrządza go syn, w końcu to on jest kucharzem. Gravad lax robi się tak: filetuje się rybę, obkła-

eprasa.pl 2db340f6ca

da ją cukrem i solą, posypuje natką pietruszki i wkłada do jakiegoś pojemnika na dwa dni. Potem kroi się na cieniutkie plasterki. Pycha. Nigdy nie jadłem sushi, ale myślę, że to coś w tym rodzaju. Dziś jesteśmy bardzo zadowoleni. Spędziliśmy wspaniały dzień: pogoda była fajna, miejsce fajne, ryba fajna.

Mariusz potwierdza. – Pstrągi to bardzo waleczne ryby, skoczne – mówi z podziwem. – Jedna mi się urwała. Każda z tych złowionych ma od 1 kg do 1,2 kg wagi. W rzece złowić takiego pstrąga to jest wydarzenie. Jeździłem na pstrągi na Pomorze Zachodnie, nad Drawę i Płociczną. Bywamy z ojcem i jego kolegami na różnych łowiskach komercyjnych. Głównie są to stawy. To nie to samo, co tutaj, bo to jest jezioro pożwirowe, które ma do 16 m głębokości. Ryby, które wrzucą do wody, są w niej. Nie można jak w stawie spuścić wody i policzyć ryb, wyjąć większe, dorzucić mniejsze. No i na tym łowisku są jesiotry. Po wojnie wyłowiono ostatnie jesiotry w Wiśle i praktycznie ta ryba wyginęła w Polsce. Teraz próbujemy ją introdukować z Francji, ale to nie jest ten sam gatunek. Zarybia się jesiotrem rzeki, m.in. Drwęcę, i akweny zamknięte.

Mariusz o właścicielach łowiska mówi: pasjonaci. Pochwala, że prowadzą rozsądną gospodarkę rybną i dbają o infrastrukturę, o czystość – wszędzie kosze na śmieci, popielniczki przy pomostach. Że muszą dbać, bo to jest biznes? Władysław uważa, że biznes, owszem, ale nie taki dochodowy, jak ludziom by się wydawało. – Załóżmy, że kupili 500 kg pstrągów, wędkarze wyłowili 400 kg, a gdzie jest 100 kg? – objaśnia. – Mogą nadal pływać w jeziorze, ale część być może zdechła i leży na dnie. Pstrągi nie mają pęcherza powietrznego, więc po śmierci nie wypływają na powierzchnię jak inne ryby. W Niemczech stawy wędkarskie działają na innych zasadach. Przyjeżdża wędkarz i mówi, że przez godzinę będzie łowił pstrągi. Płaci 10 euro, a obsługa łowiska w jego obecności wrzuca do wody pięć pstrągów. Jak wyłowi pięć sztuk, jedna kosztuje go 2 euro. Ale może nic nie wyłowić. I wraca do domu z niczym albo wykupuje kolejną godzinę.

NIE LUBI SAMOTNOŚCI

Jerzy przyjeżdża przed dziewiątą. Jest z Warszawy. Już nie pracuje, więc nie widzi powodu, żeby na łowisko pędzić o świcie. Zajmuje pomost w pobliżu czterech wędkarzy. Nie lubi łowić w samotności. Dziś złapał trzy pstrągi. W siatce zanurzonej w wodzie czekają, aż skończy wędkowanie. Jerzy je oprawi, zamrozi i będą na święta: – Żona usmaży. Kiedyś spróbowałem wędzić pstrągi, ale nie były zbyt dobre, więc już się nie biorę do wędzenia. Latem chodziłem na ryby nad Wisłę, w okolicach Bielan; kilka razy byłem tu, żeby łowić karpie. Ale za każdym razem wracałem o kiju, bo nie było brań. Na karpia trzeba się zasadzić, zanęcić miejsce. Przeważnie przyjeżdżają tu karpiarze z prawdziwego zdarzenia, to oni łapią. Ja na to łowisko przyjechałem po raz pierwszy w tym roku. Jestem zadowolony z połowu, choć kiedy lód się przybliżył do mojego pomostu, pstrągi przestały brać.

Pomostu już nie zmieni, bo przed pierwszą będzie się zbierał do domu. Jeszcze tylko posili się bananem – jak dla Małysza taka bananowa dieta była dobra, to dla niego pewnie też.

Monitoring obejmuje wszystkie 52 pomosty, ale trudno każdego łowiącego obserwować non stop.

Muzyk Mariusz złowił taaaką rybę.

WYCISZAM SIĘ

Olena uśmiecha się z daleka. – A gdzie jest pani wędka? – pyta zaciekawiona, bo przyjechać na łowisko bez wędki to dziwna sprawa. Choć ona sama dziś nawet nie wyciągnęła swojej z samochodu. Powiedziała mężowi: „Wiesz, Misiu, jakoś nie mam ochoty łowić, będę wam towarzyszyć, psa będę wyprowadzać". Bo przyjechali w piątkę: ona, jej mąż Krzysztof, syn Paweł, kolega męża Jan oraz owczarek niemiecki, czteromiesięczny szczeniak. Zabrali psa, choć na łowisko zwierząt nie wolno wprowadzać. Szczeniak siedzi więc w samochodzie i czeka. Olena wyprowadzi go za bramę, żeby pohasał.

– Jestem Ukrainką, ale męża mam Polaka – mówi. – W Polsce jestem od 16 lat. Syn ma 25 lat, już pracuje. Rzadko się zdarza, żebyśmy mogli we trójkę wybrać się na ryby, bo pracujemy w ochronie na zmiany: ja 24 godziny na 48, a mąż i syn po 12 godzin. Po raz pierwszy byliśmy na tym łowisku jakiś miesiąc temu. Bardzo mi się spodobało, choć wtedy padał deszcz. Taka tu cisza, taki spokój. Można się świetnie zrelaksować.

Syn Oleny złowił trzy pstrągi, mąż dwa, a kolega jednego. Zostawią na święta? Zostawią. – Ja i syn przygotujemy ryby, a mąż jak zawsze będzie sobie używał – śmieje się Olena. – Dokupimy jeszcze karpie, bo tu mają na sprzedaż. Pan Andrzej mó-

FOT. EWA ROGOWSKA

eprasa.pl 2db340f6ca

wił, że zostały dwa, dwukilowe. Poprzednio też kupiliśmy karpie. Jakie one były pyszne!

Krzysztof, Paweł i Jan, towarzysze wędkarskiej wyprawy Oleny, zajmują trzy ostatnie pomosty na zachodnim brzegu łowiska. Gdyby ktoś jeszcze dojechał na wędkowanie, nie będzie koło nich się kręcić, bo dalej przejścia nie ma. Są zadowoleni z połowu. – Miesiąc temu 11 kg pstrągów złowiliśmy – chwali się mąż Oleny. – Część daliśmy w prezencie. Teraz na pewno usmażymy, bo takie pstrągi moim zdaniem są najlepsze.

Jan też woli smażone. Chciałby złapać chociaż jeszcze jednego. Andrzej, który zjawia się, by monitorować łowisko, oferuje mu pomoc w przygotowaniu sprzętu i dobraniu przynęty. – Nigdy się nie narzucam z radami, bo nie wszyscy lubią, kiedy ktoś obcy się wtrąca – wyjaśnia. – Każdy wędkarz uważa, że wie wszystko i wszystko potrafi. A tak nie jest. Trzeba umieć obserwować wodę, odczytywać różne znaki na niej. Gdzie wędkarze mają się tego nauczyć? Tylko z internetu, bo przecież nie ma żadnych kursów wędkowania. Ale przyjeżdżają na łowisko tacy doświadczeni karpiarze, którzy nawet o tej porze roku, kiedy karpie schodzą nisko i nie żerują, potrafią złapać tę rybę.

Krzysztof od długiego czasu nie może złowić trzeciego pstrąga. Jest zniecierpliwiony. Postanawia łowić metodą bocznego troku. A z dużej skrzynki z przynętami wybiera taką w kolorze białym. Po półgodzinie znów się wkurza, bo brania nadal nie ma. – Boczny trok do niczego, zmieniam na blachę – decyduje. Po chwili zachwyca się: – Widziała pani tego wielkiego pstrąga, który wyskoczył nad wodę? Cudny!

Złowionego pstrąga nie wolno z powrotem wrzucić do wody.

BRAK BRANIA

Sławomir i jego syn Piotr są na łowisku Okoń pierwszy raz. Przyjechali z Warszawy po dziewiątej, niewiele później niż Jerzy. Jerzy zszedł z łowiska około pierwszej z trzema pstrągami, a oni wciąż mieli puste siatki. Byli jedynymi wędkarzami, którzy wybrali pomosty na wschodnim brzegu łowiska. Woda tam głęboka, miejsca do łowienia trudne. Ale Andrzej nie pytał ich, dlaczego właśnie tam chcą się zainstalować. Wie, że są wędkarze, którzy tylko tam lubią łowić. Jednak po trzech godzinach, w czasie obchodu łowiska, zagadnął ich o wyniki. Powiedzieli, że nic nie mają. – Kiedy zobaczyłem sprzęt, który wyciągnęli z wody, wiedziałem, dlaczego nic nie mogli złowić – uśmiecha się Andrzej. – Zaproponowałem im, żeby przeszli na pomosty na zachodnim brzegu, doradziłem, jaką przynętę powinni wybrać.

Sławomir jest zadowolony. Przed chwilą wyciągnął swojego pierwszego dzisiejszego pstrąga. – Dziś będziemy opijać ten połów, a jutro zjemy rybę – śmieje się. Syn trochę markotny, ale nie chce się przyznać, że to z powodu braku brania. – Mnie to nie przeszkadza, wystarczy frajda z łowienia – twierdzi. – Właściciel nam doradził, żeby na te pomosty przejść, powiedział, że trzeba mieć krewetki albo białe robaki. A my ani krewetek, ani białych robaków nie mamy. Ale tacie i tak udało się pstrąga złowić.

CO W TYM DZIWNEGO, ŻE MUZYK?

Dochodzi druga. Zachód słońca przed pół do czwartej. Łowisko jest czynne do zmroku, więc mało prawdopodobne, żeby zjawił się jeszcze jakiś wędkarz. Andrzej mówi jednak, że są tacy, którzy i o tej porze wpadają na ryby. Nie myli się. Przyjeżdża kolejny warszawiak. Mariusz wyciąga z bagażnika czerwony kombinezon, kalosze, czapkę uszankę i sprzęt wędkarski. Wozi je zawsze ze sobą, na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że próba skończyła się na tyle wcześnie, że jeszcze opłaca mu się przyjechać na łowisko. Mariusz jest muzykiem w orkiestrze Teatru Wielkiego Opery Narodowej. Kiedy się dziwię, że muzyk z opery przyjechał na łowisko, karci mnie wzrokiem: – Co w tym dziwnego, to normalna sprawa, że muzycy wędkują. W mojej orkiestrze jest kilkunastu wędkarzy. Wędkują aktorzy, reżyserzy, dziennikarze.

Dziesięć dni temu był na łowisku jeszcze później. Złapał do zmroku cztery pstrągi, a piąty mu się urwał. – Można od rana siedzieć i nic nie złowić albo po dwóch godzinach mieć kilka ryb – twierdzi Mariusz. – Dziś mam jednego pstrąga, drugiego nie doholowałem. Czy przyjadę jeszcze w tym roku? Nie wiem. Tydzień temu się wybrałem – już byłem w Legionowie, ale coś mnie tknęło i zadzwoniłem tutaj. Okazało się, że jest lód, więc musiałem zawrócić do Warszawy. Ale jeśli lodu nie będzie, to pewnie przed końcem roku wpadnę na dwie-trzy godziny. Lubię tu przyjeżdżać jesienią na pstrągi. Latem zwykle wybieram się na wyprawy wędkarskie w świat. Ostatnio dwa razy byłem na Seszelach. Miałem nadzieję, że tam moja żona przekona się do wędkowania. Jednak nic z tego. Ale przynajmniej nie robi mi wyrzutów z tego powodu, że jeżdżę z kolegami.

Andrzej w tym roku ma dyżur na łowisku w drugi dzień świąt. Zapowiedział, że skoro i tak będzie siedział w rybakówce, to otworzy łowisko. Czy ktoś przyjedzie? Trudno powiedzieć. Entuzjastów wędkowania jest coraz więcej, więc kto wie?

Ewa Rogowska

eprasa.pl 2db340f6ca

Eksces w przedszkolu

Edward Mikołajczyk

W świecie zwierząt wcale nie jest dobrze z wolnością słowa. Przedstawicielom niektórych gatunków zezwala się na podniesienie głosu tylko w momencie terminalnym, kiedy czują nóż na gardle. Pozostającym przy życiu sztukom przysługuje prawo do wypowiedzi raz w roku, o północy w Wigilię Bożego Narodzenia. Nie jest możliwe, żeby taka sytuacja przedłużała się w nieskończoność. Energia nieludzko, przepraszam: po ludzku uciskanych, eksploatowanych i zabijanych zwierząt nie wyparowuje bez śladu. Gdzieś się kumuluje i prędzej czy później czeka naszą planetę, a może i wszechświat, kolejny wielki wybuch.

Zastanawiające, że najokrutniej ludzie obchodzą się z karpiem, uosobieniem pokory, istotą z natury niewyrywną i typem wyjątkowo małomównym. Zadają mu śmierć, zanim zabierze głos, kilka godzin przed występem, kiedy zwierzę z pewnością ma już w głowie plan stand-upa.

To, że każdy z nas ma w sobie zwierzę, chyba nie wymaga ekstradowodu.

Po tylu latach kaźni ryby chyba już wiedzą, że muszą coś z tym zrobić. Reszta stada, czyli towarzystwo, nie wymaga od karpia, żeby akurat on stanął okoniem, bo powszechnie wiadomo, że to nie jest sposób na ominięcie patelni. Z dobrego źródła mam informację, że spośród rozważanych form karpiowego buntu zostanie wybrany wariant dwutaktowy: nabywamy kamizelki, płyniemy pod prąd. W tym roku akcja jeszcze nie wypaliła, bo Wigilia nadeszła szybciej, niż osiągnięto porozumienie w sprawie koloru kamizelek. Będzie bardziej żarówiasty niż ten żółty, używany przez prześladowców.

Nie trzymam w domu żadnego inwentarza, nie mogę więc czekać na Wigilię, żeby czegoś się dowiedzieć od zwierząt. Ale nie powiem, żeby mi ich głosu nie brakowało. Dlatego wpadłem na pomysł, żeby uruchomić procedurę zastępczą. I ten jeden raz w roku, jak najbliżej magicznego wieczoru wigilijnego, posłuchać, co ma do powiedzenia zwierzę, które mam w środku.

To, że każdy z nas ma w sobie zwierzę, chyba nie wymaga ekstradowodu. Niekoniecznie jest to bestia z pazurami i czarnym podniebieniem i nie zawsze jest to diabeł. Kto nie wierzy w diabła, wydaje mi się człowiekiem uczciwszym od jego wyznawcy, bo to znaczy, że sam, w pojedynkę, chce ponosić odpowiedzialność za każdy swój czyn, a nie zwalać winę na jakiegoś piekielnego wspólnika. Ta bestia, którą ja mam w środku, nie jest specjalnie wytresowana, mówi mi bez przerwy, co mam robić, ale nie warczy, kiedy jej nie słucham. Mamy taki układ: ona mówi, co chce, a ja robię, co ja chcę, nie zdradzając nikomu, co mi podpowiada.

I właśnie rozważam, czy napisać o pewnym incydencie radiowym, i słyszę, jak zawsze w takich sytuacjach: napisz, napisz. Skoro obiecałem, wykonuję przyrzecznie.

We wtorek, 11 grudnia, radio TOK FM doniosło na pewnego przedszkolaka. Na zajęciach pod hasłem: „A teraz, drogie dzieci, z okazji setnej rocznicy narysujemy niepodległość", jakieś dziecko dopisało na swoim dziele: „100 lat niepodległości i 3 lata niewoli". W audycji „EKG" opowiedziała o tym pani prof. Elżbieta Mączyńska, która na spacerze zauważyła ów rysuneczek w galerii podobnych, wywieszonych na płocie przedszkola obok domu pani profesor. Zapytała, czy musimy już w przedszkolu dzielić dziatwę na zwolenników i przeciwników „dobrej zmiany", mówiła o ogromnych szkodach, jakie wyrządza cywilizacja kłótni, odnosząc rzecz również do brexitu. Zapytała także, czy kurator wie, kto to narysował, a właściwie – napisał.

Byłem pewien, że pani profesor wytknie przedszkolakowi błąd w rachunkach, bo program „EKG" jest poświęcony ekonomii. W świętowanym stuleciu było przecież znacznie więcej niewoli niż te trzy lata, które wyliczyło dziecko. Malcowi zapewne do głowy nie przyszło, że jego rysunek zawiśnie na płocie i w ten sposób zada ból uczonej osobie podczas jej obciążonej politycznie przechadzki.

Dopóki kuratorium nie zbada tego ekscesu, nie da się oszacować stopnia jego szkodliwości i wpływu na los „dobrej zmiany" i całego procesu wkurzania Unii Europejskiej przez słabo Zjednoczone Królestwo. Nie da się też ocenić, jak inkryminowane przedszkole promuje cywilizację kłótni, czyli służy złej sprawie. Może bowiem się okazać, że sprawa jest rozwojowa, a pierwszą winną jest mała, niewinnie wyglądająca dziewczynka.

Wesołych świąt! ■

FOT. KWEJK

eprasa.pl 2db340f6ca

REMIGIUSZ MRÓZ – GRUPA TRZYMAJĄCA KSIĄŻKI

Oferty współpracy przyszły po jakimś czasie od każdego wydawcy w Polsce. Wszyscy oferowali świetne warunki, niektórzy wręcz absurdalnie dobre

Remigiusz Mróz

Po wydaniu dwóch pierwszych książek rozmawiałem z kilkoma wydawcami o kolejnych, ale nic konkretnego z tego nie wynikało. Na tamtym etapie [Instytut Wydawniczy] Erica [czekał], aż Damidos zacznie promocję, a Damidos czekał, aż zrobi to Erica. Na jakiekolwiek reklamy ani poważne nakłady finansowe na tego typu działania nie mogłem liczyć, a kiedy zobaczyłem na samym dole empikowej strony rekomendację mojej książki, byłem wniebowzięty.

Pozostałe oficyny przyjęły podobną taktykę wyczekiwania – i właściwie było to dość sensowne, bo po co ryzykować, skoro można poczekać i sprawdzić, jak autor przyjmie się na rynku?

Nie tylko ich to interesowało, rzecz jasna.

Po tym, jak dostałem przesyłkę z zawrotną liczbą dziesięciu egzemplarzy autorskich „Wieży milczenia", wypatrywałem nerwowo pierwszej recenzji. Zdawałem sobie sprawę, że będzie kluczowa (…).

Pierwsza opinia pojawiła się na portalu „Kostnica", a jej autorem był Marek Syndyka. Była lepsza, niż mógłbym sobie wymarzyć. Recenzent chwalił język, dopracowanie szczegółów, porywającą akcję, konstrukcję i motywacje bohaterów, a także nieprzewidywalność fabuły – krótko mówiąc, jak sam stwierdził, wylał kilka wiader miodu. A przy okazji wstrzyknął we mnie mnóstwo wiary w siebie.

Czasem jedna recenzja wystarczy, by to zrobić. Czasem nawet jedna, krótka opinia da nam to, czego potrzebujemy. Działa to jednak niestety także w drugą stronę. Nieraz czytam kilkadziesiąt pochlebnych recenzji z rzędu, po czym trafiam na jedną negatywną i cała pewność siebie, wiara w swoją robotę, nagle się rozpływa. Warto być na to przygotowanym, bo takie momenty niestety nikogo nie omijają – powiedziałbym nawet, że są na porządku dziennym.

eprasa.pl 2db340f6ca

Drugą recenzję napisała Wioleta Umecka, prowadząca blog „Subiektywnie o książkach". Była równie pochlebna i utwierdziła mnie w nadziei, że to wszystko ma sens.

Okazała się jednak absolutnie przełomowa także z innego względu. Po tym, jak napisałem Awioli maila z podziękowaniami, nawiązaliśmy kontakt. Przygotowałem dla niej logo, które wisi na jej blogu do dziś, a po jakimś czasie zgłosiłem się do niej z prośbą o pomoc.

Było to już po publikacji „Parabellum". Wydawcy wciąż nie byli gotowi zainwestować w znaczącą promocję żadnej z książek, więc uznałem, że pora przestać biernie czekać na rozwój zdarzeń i wziąć sprawy w swoje ręce.

Poprosiłem Awiolę, żeby wskazała mi paru blogerów, którym mogłyby się spodobać moje książki. Zrobiła szybki wywiad środowiskowy, wysondowała kilkanaście osób, a potem przygotowała dla mnie listę tych, którzy byli zainteresowani. Zacząłem rozsyłać do nich „Parabellum", a im dłużej to robiłem, tym więcej osób się zgłaszało.

Wystąpił efekt kuli śnieżnej. W pewnym momencie wyglądało to tak, jakby „Parabellum" pojawiło się w każdym miejscu blogosfery. Książka zaczynała schodzić z półek księgarń, a ja dalej robiłem, co mogłem, by zainteresować nią kolejne osoby. (…)

Nie byłem w tych wysiłkach osamotniony. Pierwsi czytelnicy polecali książkę kolejnym, blogerzy zamieszczali dalsze recenzje, a moi znajomi starali się jakoś pomóc w całym tym przedsięwzięciu. Jeden z nich, przyjaciel rodziny, zaniósł „Wieżę milczenia" do siedziby Radia Opole i wygarnął zastanym tam pracownikom, że jest w Opolu autor, który zaczyna karierę pisarską, a nigdzie się o nim nie mówi. Zostawił książkę, trzasnął drzwiami i wyszedł.

Jakiś czas później Radio Opole zaprosiło mnie na wywiad – na moje pierwsze spotkanie z mediami. Mam to nagranie do dzisiaj i przygotowując się do pisania tej książki, musiałem go wysłuchać. Było to wyjątkowo traumatyczne przeżycie, ale właściwie zupełnie mi nieobce – mam tak, ilekroć widzę siebie na ekranie lub słyszę w eterze.

Nie potrafię żyć bez mediów, ale jako odbiorca. Pochłaniam wszystkie informacje ze świata, doniesienia kulturalne i tak dalej, ale żeby namówić mnie na przejście na drugą stronę barykady, trzeba wyjątkowo dużo cierpliwości. Wiedzą o tym moi wydawcy, którzy mają różne taktyki naciągania mnie na wywiady. Większość z nich znam, więc od dawna są nieskuteczne. Tygodniowo średnio dociera do mnie kilka lub kilkanaście propozycji – od stacji telewizyjnych, rozgłośni radiowych, gazet i portali. 99% odmawiam, ale robię to tylko dlatego, że… mogę.

Na początku bynajmniej nie mogłem. Debiutant musi korzystać z każdej okazji, by powiedzieć o swojej książce, czy tego chce, czy nie. I zdawałem sobie z tego sprawę, bo podkreślał to właściwie każdy autor w swoich wspomnieniach.

Ale nie tylko to. Każdy zwraca uwagę także na ogromne zagrożenie, jakie się z tym wiąże. Kiedy bowiem nasze książki zaczynają dobrze się sprzedawać, liczba propozycji wykładniczo rośnie. Pojawia się niebezpieczeństwo, że więcej czasu zaczniemy spędzać na promocji niż na samym pisaniu.

Jeszcze zanim zająłem się tym na poważnie, obiecałem sobie, że nigdy nie popełnię tego błędu. Nigdy nie zapomnę o tym, co jest w tej robocie najważniejsze, i to na tym będę przede wszystkim się skupiać. Trzymam się tego do dzisiaj. Nawet jeśli pojawia się jakaś ciekawa propozycja ze strony mediów, zazwyczaj rezygnuję, bo wiem, ile mogę w tym czasie napisać. Zanim na dobre zajmiesz się pisaniem, proponuję Ci zawrzeć ze sobą podobny układ. Zbyt wielu jest autorów, którzy występują w mediach tylko po to, by oznajmić wszem wobec, że nie mają czasu na pisanie.

Mam to szczęście, że moi wydawcy to rozumieją. Nigdy nie namawiali mnie do czegoś, co robiłbym wbrew sobie, mimo że pewnie znacznie zwiększyłoby to sprzedaż książek. (…)

Zawsze wychodziłem z założenia, że im mniej mnie samego w mediach, a więcej moich książek, tym lepiej. Problem na początku polegał na tym, że żaden z ówczesnych wydawców nie kwapił się, by o to drugie walczyć.

Były nieliczne wyjątki. Recenzja „Parabellum" spod pióra znanego krytyka, Leszka Bugajskiego, ukazała się w „Newsweeku" i szybko stała się moją tarczą przed wszystkim, co negatywne. Kiedy trafiała mi się jakaś negatywna opinia, zawsze mogłem powiedzieć sobie: okej, ale Leszkowi Bugajskiemu się podobało.

Na początkowym etapie nie sposób przecenić wartości wsparcia, jakie daje nam pochlebna opinia od autorytetu. Zapewnia ona komfort potrzebny do dalszego tworzenia, bo w chwilach słabości zawsze można się nią podeprzeć. „Parabellum" zaczynało coraz częściej pojawiać się w przeróżnych polecankach i na dobre zagościło w polskim BookTubie, książkowej scenie youtube'owej. Stało się tak przede wszystkim za sprawą Anity z kanału „Book Reviews", Esy z „Esa Czyta" i Olgi z „Wielkiego Buka". W tym momencie na dobrą sprawę powinienem wymienić wszystkich vlogerów i blogerów, którzy w tamtym okresie pomogli mi w promocji książki, ale musiałbym popełnić kolejną pozycję tylko na ten temat.

Wszystkie te osoby pomagały mi w mojej działalności, poświęcały na to własny czas i mimo że w ciągu wielu lat miałem kontakt z setkami blogerów, nikt nigdy nie oczekiwał za to zapłaty innej niż wspólna podróż w naszym książkowym świecie. Ci ludzie robili to tylko dlatego, że dzieliliśmy jedną pasję.

Kiedy Erica ociągała się z wydaniem ostatniego tomu „Parabellum", za sprawą Karoliny Sosnowskiej powstała nawet petycja, by ponaglić wydawcę – i szybko pojawiło się pod nią mnóstwo podpisów. Zaangażowanie, które zapanowało wtedy w środowisku czytelniczym, dało mi jeszcze mocniejszą motywację do działania.

Marketing szeptany i pozytywne opinie docierały też oczywiście do wydawców. Taktykę wyczekiwania na dalszy rozwój akcji przerwała Bellona, wydawca z bogatą tradycją i chęcią odbudowania dawnej renomy. Wysłałem im moją siódmą powieść, „Turkusowe szale", wcześniej mówiąc Erice, że mam zamiar to zrobić.

Pojawia się niebezpieczeństwo, że więcej czasu zaczniemy spędzać na promocji niż na samym pisaniu.

eprasa.pl 2db340f6ca

Nie mieli nic przeciwko – sami niespecjalnie radzili sobie z materiałem, który mieli, i wciąż nie ustaliliśmy terminu wydania drugiej części.

Jednocześnie oznajmili mi, żebym uważał, bo jak tak dalej pójdzie, ludzie zaczną myśleć, że „Remigiusz Mróz" to nie imię i nazwisko, tylko pseudonim literacki grupy autorów. Odparłem ze śmiechem, że jeśli kiedyś do tego dojdzie, potraktuję to jako komplement. Nie miałem pojęcia, że po latach niejedna osoba postawi taką tezę całkiem poważnie. (…)

Pamiętam, że telefon z Bellony dostałem w trakcie biegu. (…) Sapiąc i dysząc, słuchałem, jak redaktor naczelny obwieszczał mi, że chcieliby wydać „Turkusowe szale".

Znów świat zdawał się stać otworem. Miałem trzeciego wydawcę, mnóstwo pomysłów na nowe książki i stałych czytelników, na których mogłem polegać.

Liczyłem na to, że wydanie „Turkusowych szali" w końcu będzie się wiązało z jakimś dużym przełomem – tak się jednak nie stało. Promocja nie różniła się od poprzednich tytułów, ale w październiku 2014 r. Bellona wysłała mnie do Krakowa na moje pierwsze targi książki.

Na spotkanie ze mną była przewidziana godzina, a ja byłem pewien, że przez większość czasu będę siedział przy stoliku autorskim sam. Stało się zupełnie inaczej – choć do słynnych kilkugodzinnych kolejek, którymi teraz paraliżujemy wszystkie imprezy tego typu, oczywiście było daleko.

Po raz pierwszy miałem jednak okazję spotkać się na tak dużą skalę z czytelnikami, w tym z blogerami. Zobaczyłem, jak duży jest przekrój odbiorców moich powieści, choć na dobre uświadomiłem to sobie dopiero na kolejnych targach, kiedy okazywało się, że mój najmłodszy czytelnik miał 12, a najstarszy ponad 100 lat. Niesamowite wciąż jest dla mnie to, że dwoje tak różnych od siebie ludzi za sprawą tej czy innej książki znajduje wspólny język i potrafi godzinami dyskutować o bohaterach, o sytuacjach i o tym, jakie emocje w nich wywołują.

Pierwsze krakowskie targi były dla mnie kluczowe także z innego powodu – w ich trakcie doszło do dwóch spotkań, które wszystko zmieniły.

Pierwsze odbyłem z Moniką Długą, redaktorką nowo powstałego imprintu Wydawnictwa Poznańskiego – Czwartej Strony.

Tydzień wcześniej wysłałem jej propozycję wydawniczą powieści historycznej, która ostatecznie ukazała się jako „W cieniu prawa". Wymieniliśmy kilka maili, Monice podobał się mój kurs pisania na Lubimy Czytać, a mnie to, co robiła Czwarta Strona. Odniosłem wrażenie, że próbują ciekawych, nowatorskich rzeczy i rozwijają się właściwie z tygodnia na tydzień.

Rynkowi książki przyglądałem się wtedy bezustannie – i wydaje mi się, że powinien to robić każdy autor, który ma zamiar na poważnie zajmować się pisaniem.

Warto trzymać rękę na pulsie, nie tylko po to, by wiedzieć, czy ktoś wcześniej nie wpadł na pomysł, który wydaje nam się arcyinnowacyjny, ale także po to, by mieć pojęcie, w jakim otoczeniu się funkcjonuje. (…)

Na spotkaniu z Moniką umówiliśmy się, że wydadzą „W cieniu prawa" – planowałem, że będzie to początek wielotomowej sagi rodzinnej, ostatecznie okazało się, że wyszedł mi właściwie thriller prawniczy retro i raczej zamknięta historia. Niedługo po targach Monika napisała mi, że chcieliby związać się ze mną na stałe i wydać nie tylko „W cieniu prawa", ale także pozostałe powieści. Ile ich było na tym etapie? Całkiem sporo: dwie powieści katastroficzne, *political fiction,* thriller w historii alternatywnej, dwa horrory; thriller prawniczy, jakieś pięć, sześć powieści historycznych, ze trzy kryminały, dwie gigantyczne książki *fantasy* i dwie SF.

Pewnie coś pomijam, ale nie otworzę szuflady, w której wszystkie te powieści się mieszczą, bo mogłaby się ugiąć pod ich ciężarem. Jest tego trochę, bo pisałem właściwie bez ustanku – po zrobieniu doktoratu mogłem zająć się wyłącznie kolejnymi książkami. Właściwie wszystko podporządkowywałem historii, nad którą w danym czasie pracowałem.

Tygodniowo dociera do mnie do kilkunastu propozycji wywiadów. 99% odmawiam, ale tylko dlatego, że… mogę.

Muzyka, której słuchałem na biegach, musiała odpowiadać temu, nad czym pracowałem. Dobierałem sobie lektury tak, żeby poruszać się przynajmniej w okolicy gatunkowej mojej książki. Podobnie jeśli chodziło o filmy, seriale, dyskusje, cokolwiek, co mogłoby w jakiś sposób przysłużyć się projektowi, nad którym się pastwiłem. Jeśli dodać do tego wcześniejszy *research*, pozwalający mi wejść w dany okres historyczny, w konwencję lub klimat, wychodzi na to, że naprawdę znikałem z rzeczywistości.

Tym, którzy są ciekawi powieści zalegających w mojej szufladzie, mogę obiecać, że kiedyś je wydam. Wprawdzie wszystkie wymagają przeredagowania, a niektóre napisania od nowa, ale do dziś żyję wieloma z tych historii. Kilka z nich uważam za moje naj-

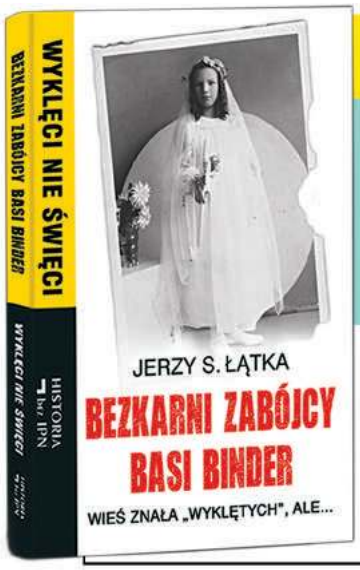

NASZE KSIĄŻKI NA ZIMOWE WIECZORY!

Mordowali z zimną krwią. Kobiety zakopali w pobliskim lesie. Wieś znała zabójców, ale ci przez lata byli bezkarni. Dziś uchodzą za bohaterów AK. Za „żołnierzy wyklętych".

45 zł

Książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę oraz opcjonalnie koszt wysyłki (bezpłatna wysyłka pocztą) na konto wydawcy PRZEGLĄDU **72 1090 2851 0000 0001 2023 9821** Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez sklep internetowy: **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl**

eprasa.pl 2db340f6ca

Autor demaskuje fałszerstwa prawicowej propagandy. Pokazuje ochotników i ochotniczkiz Brygad Międzynarodowych walczących w Hiszpanii. Ludzi ideowych i odważnych, a przy tym niepozbawionych wad. Ich losy były niezwykle powikłane i dramatyczne.

49 zł

Wybierz sposób dostawy:
- GRATIS wysyłka polecona Pocztą Polską
- dostawa kurierem FedEx 14,90 zł
- darmowa wysyłka kurierska przy zamówieniu na minimum 200 zł

Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew. 111,
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

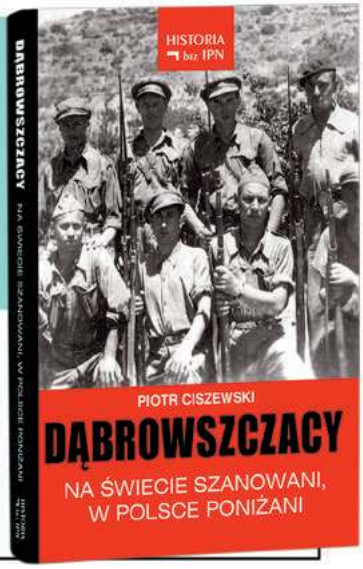

lepsze książki – i wiem, że jeśli w końcu zdecyduję się je opublikować, nie będą pojedynczymi pozycjami, ale początkami serii.

Po tym, jak Czwarta Strona złożyła deklarację o gotowości wydania całego mojego dorobku, wybrałem dla Moniki parę, może parenaście (parędziesiąt?) propozycji, a ona dała sygnał do rozpoczęcia burzy mózgów w wydawnictwie. Spotkaliśmy się w Poznaniu jakiś czas później, usiedliśmy przy dużym stole konferencyjnym i rozłożyliśmy na nim niemal cały mój dorobek w formie streszczeń, luźnych myśli i głównych punktów.

– Co chciałbyś wydać jako pierwsze? – zapytał mnie Robert, redaktor naczelny.

Było to właściwie pytanie marzenie. W końcu mogłem sam wybrać najlepszą ze swoich pozycji, a nie zdawać się na to, co któremuś redaktorowi w danym momencie najbardziej przypadło do gustu.

Mimo to nie potrafiłem dać Robertowi jednoznacznej odpowiedzi. W jednej chwili wydawało mi się, że koniecznie musimy zacząć od westernu. Innym razem byłem przekonany, że najlepszy na początek będzie thriller szpiegowski. Nie, thriller więzienny. A może ten polityczny? Nie, nie, zdecydowanie lepsze byłoby *fantasy*. Ale przecież nie mogę zapominać o dwóch powieściach z czasów starożytnego Rzymu. Do tego dochodzi saga historyczna, która w przeciwieństwie do „Parabellum" rozgrywa się u schyłku II wojny.

Miałem taki mętlik, że ostatecznie nie wybrałem jednego tytułu. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli to Monika i reszta podejmą decyzję. Im więcej głów, tym lepiej.

Podczas tamtego spotkania Robert powiedział mi jeszcze coś, co na długo zapadło mi w pamięć. Obaj podchodziliśmy do całego procesu wydawania książek dość pragmatycznie – i dlatego od samego początku świetnie się dogadywaliśmy – a oprócz tego Czwarta Strona znajdowała się na początku swojej drogi, podobnie jak ja. Robert wieszczył mi świetlaną przyszłość i dodał, że zdaje sobie sprawę, iż za jakiś czas prawdopodobnie zrezygnuję ze współpracy z nimi i przeniosę się do jednego z wydawnictw gigantów, które w tamtym czasie dzieliły i rządziły na rynku książki.

Zapewniłem go, że nie mam takiego zamiaru. I do dziś się tego trzymam.

Oferty współpracy przyszły po jakimś czasie właściwie od każdego wydawcy w Polsce. Wszyscy oferowali świetne warunki, niektórzy wręcz absurdalnie dobre, wiedząc, że jeśli ma się na stole wyjątkowo duży tort, nawet małym kawałkiem można się najeść.

Kiedy moja agentka z Londynu rozmawiała na mój temat z polskimi agentami, wielu z nich podkreślało, że to właściwie sytuacja niespotykana. I kiedy patrzę na polski rynek, wydaje mi się, że faktycznie niewielu autorów trzyma się swoich wydawców. Nawet jeśli nie dochodzi do żadnych konfliktów, uznają, że pora przenieść się do innej oficyny. Wydaje mi się, że nie warto – znacznie lepiej zrobisz, budując mocną więź z jednym wydawcą (lub dwoma, jeśli Twoja szuflada także będzie się uginać). Dowodzi tego nie tylko mój przykład, ale także Kasi Bondy, Zygmunta Miłoszewskiego czy Kasi Puzyńskiej.

Zaufanie to podstawa. Ja zaufałem wówczas Czwartej Stronie na tyle, by to oni podjęli decyzję, a oni zaufali mi na tyle, by we mnie zainwestować. Nie mieli żadnej gwarancji, że po sukcesie nie ucieknę do innego wydawcy, nie podpisaliśmy żadnej lojalki, umowę zaś zawarliśmy tylko na jedną książkę. Jedynym zapewnieniem było moje słowo.

Namyślali się przez jakiś czas, a ostatecznie postawili na „Kasację". Ostatnią książkę, którą sam bym wybrał. Nie byłem z niej specjalnie zadowolony, uważałem, że pozostałe pozycje w moim portfolio są znacznie ciekawsze.

Oprócz tego miałem w pamięci wszystkie odmowne decyzje, które dostałem od wydawców po przesłaniu im tej historii. Wyglądało to zawsze podobnie: bardzo nam przykro, powieść jest ciekawa i dobrze napisana, ale thriller prawniczy nie ma w Polsce racji bytu. John Grisham – owszem, ale polski autor? Nikt po niego nie sięgnie. Kiedy piszę te słowa, seria sprzedała się w półtoramilionowym nakładzie, TVN kręci serial na jej podstawie, a my zastanawiamy się nad tym, czy przekazać prawa zagranicznej agencji, czy sprzedawać je bezpośrednio wydawcom w innych krajach.

Dlaczego ostatecznie, nieco wbrew sobie, zgodziłem się, byśmy spróbowali z „Kasacją"? Głównie dlatego, że kiedy Monika podsunęła mi właśnie tę pozycję, od razu zacząłem zastanawiać się nad alternatywą i stanąłem przed identycznym jak wcześniej problemem. Raz ta książka wydawała się adekwatniejsza, raz inna. Oprócz tego czułem, że mam coś do udowodnienia wszystkim tym wydawcom, którzy odrzucili „Kasację", twierdząc, że Amerykanin może takie rzeczy w Polsce wydawać, ale Polak nie.

Fragmenty książki Remigiusza Mroza *O pisaniu na chłodno*, Czwarta Strona, Poznań 2018

FOT. MIKOŁAJ STARZYŃSKI©

eprasa.pl 2db340f6ca

KURTYNA W GÓRĘ

Autorskie opracowanie „Os" Iwana Wyrypajewa, czyli dramatu „Letnie osy kąsają nas nawet w listopadzie", różni się od prapremiery, która odbyła się kilka lat temu na Scenie na Woli. O ile prapremiera ukazała intrygująco skrojony dramat obyczajowy, bliski klimatem komedii zagrożenia Harolda Pintera, o tyle nowy spektakl sytuuje się w pobliżu opery komicznej o wydźwięku metafizycznym. Wyrypajew tak bowiem konstruuje ten spektakl, aby w centrum stanęło pytanie o sposób na życie bez Boga, z Bogiem albo z zachwianym poczuciem obecności Boga.

Troje bohaterów, małżeństwo i ich przyjaciel, przeżywa kryzys tożsamości. Świat ich rozczarował, ale też rozczarowali się sami sobą. Osobliwe śledztwo wokół zagadki, z kim się spotkała Helene (Magdalena Boczarska) w ubiegły poniedziałek, które prowadzą jej mąż Mark (Marcin Dorociński) i ich przyjaciel Joseph (Dariusz Chojnacki), to jedynie parawan, za którym kryje się poważniejsze pytanie: na czym polega wolność? Dla Wyrypajewa to Bóg, Absolut i temu przekonaniu daje wyraz tą sztuką. Prowadzi ją tak, aby nader poważną debatę o potrzebie transcendencji, której mógłby widz w teatrze nie znieść, ukryć pod intrygującą formą. Jej esencją jest muzyczność, operowanie rodzajem słownego tańca, czasem przypominającego natarczywość katarynki. Wymaga to od aktorów wielkiej dyscypliny, aby nie popaść w śmieszność ani nie ulec pokusie psychologizowania. To świat precyzyjnie wykreowany.

Iwan Wyrypajew uważa „Osy" za swoją najlepszą sztukę. Prawdopodobnie dlatego, że w niej najcelniej ujął prześladujące go niemal obsesyjnie pytanie: czy człowiek może się podnieść? Ukąszenia tytułowych os, o których wielokrotnie mowa w sztuce, to swoiste przestrogi, wskazówki, aby się nie zgubić, aby nie zaniechać nadziei.

Tomasz Miłkowski

UKŁUCIA

„Osy", reżyseria Iwan Wyrypajew, przekład Agnieszka Lubomira Piotrowska, Och-Teatr, premiera 29 listopada 2018

NA POWAŻNIE

PIGUŁKI ROGERA

Wspaniałe symboliczne dzieło Karola Szymanowskiego z librettem Jarosława Iwaszkiewicza po raz trzeci zainteresowało naszego czołowego reżysera operowego Mariusza Trelińskiego. Można przypuszczać, że czwartego „Króla Rogera" w jego inscenizacji już nie będzie, bo pomysły się wyczerpały. *Novum* są pigułki, które połyka tytułowy bohater, obficie popijający kranówką. Warto jednak zobaczyć kosmiczny akt III, w którym zdigitalizowane projekcje Bartka Maciasa dokładające się do dekoracji Borisa Kudlički robią fantastyczne wrażenie. Podporą opery są znakomici polscy śpiewacy: Arnold Rutkowski w roli Pasterza, Tomasz Rak jako Edrisi i Łukasz Goliński w roli Rogera. Doskonale radzi sobie orkiestra pod batutą Grzegorza Nowaka, dziwne natomiast, że reżyser w zasadzie wyeliminował wizualnie chór, który brzmi jak z nagrania. W związku z tym przedstawienie jest kameralne i trochę przypomina wizualnie mrocznego Bonda z Danielem Craigiem.

Bronisław Tumiłowicz

Karol Szymanowski, „Król Roger", dyrygent Grzegorz Nowak, reżyseria Mariusz Treliński, Teatr Wielki Opera Narodowa, premiera 2 grudnia 2018

MIĘDZY OKŁADKAMI

Teresa Driscoll

Obserwuję cię

tłum. Monika Nowak
SQN, Kraków 2018

Bardzo łatwo powiedzieć: w takiej a takiej sytuacji trzeba zrobić to a to. Ci, którzy oceniają jakieś zdarzenie z zewnątrz, *post factum*, mają błogie poczucie, że oni postąpiliby właściwie. Na Ellę, która zdecydowała się nie wtrącać, choć była świadkiem podrywania nastolatek przez dwóch młodych mężczyzn ledwo co wypuszczonych z więzienia, wylała się więc fala hejtu. Nic nie zrobiła – przez nią jedna z dziewczyn zaginęła. To Ella czyta w internecie i w spojrzeniach ludzi. A teraz jeszcze ktoś przysyła jej stare dobre anonimy.

Wyrzuty sumienia, że zrobiliśmy za mało, ma z różnych powodów wielu z nas. Albo że chcieliśmy dobrze. Autorka umiejętnie gra jeszcze jedną obawą – że tak naprawdę nie znamy naszych bliskich. Rodzina i znajomi to, jak wiadomo, wcale nie najbezpieczniejsze środowisko. Opowiadana z różnych perspektyw historia nawyciąga brudów.

Aleksandra Pańko

eprasa.pl 2db340f6ca

NA EKRANACH

ZWIERZĘTA

reż. Greg Zgliński, prod. Polska/Szwajcaria/Austria, już w kinach

Naprawdę szkoda, że Greg Zgliński kręci tak rzadko, bo to – obok Agnieszki Smoczyńskiej – jedna z nielicznych w polskim kinie osobowości obdarzonych nieskrępowaną wyobraźnią, gotowych robić kino po swojemu mimo wymagań stawianych przez producentów i widownię. Takie właśnie są „Zwierzęta", które powstały na przekór logice. Zaczyna się banalnie: Anna i Nick jadą w alpejskie wioski niby do pracy, a tak naprawdę ratować małżeństwo. Mieszkaniem opiekuje się przyjaciółka. Kiedy on zbiera lokalne przepisy, ona próbuje pisać. U przyjaciółki też nic niezwykłego się nie dzieje. Szybko jednak okazuje się, że Zgliński z niczego potrafi upleść pajęczynę niepokojów, komizmów i dziwactw. Nie potrzebuje do tego wspomagaczy w rodzaju nowych postaci ani niespotykanych zdarzeń. Wystarcza mu zabawa punktem widzenia. Kiedy widz nie wie, czyimi oczami patrzy na świat przedstawiony, reżyser napędza akcję, by za chwilę dać nam do zrozumienia, że oglądaliśmy sen, byliśmy w czyjejś wyobraźni lub w czyjejś historii. W efekcie powstają puzzle, które dają frajdę z samego układania niemożliwego do ukończenia.

Artur Zaborski

ZABAWA, ZABAWA

reż. Kinga Dębska, prod. Polska, w kinach od 4 stycznia

Magda (Maria Dębska), Dorota (Agata Kulesza) i Teresa (Dorota Kolak) lubią się napić na drugą nóżkę. A potem na trzecią, czwartą, piątą… Dlaczego piją? Bo stresująca praca, bo zdrada, bo rodzice pili albo żeby nie oszaleć. Powód zawsze się znajdzie. Ludzie patrzący na nie z boku zazdroszczą im pozycji i osiągnięć. Cóż, trudno nie zazdrościć, skoro pierwsza studiuje i odbywa praktyki w prestiżowej firmie, druga jest wziętą prokuratorką, a trzecia wybitną chirurżką dziecięcą. Ale idealne życie trawi postępująca choroba alkoholowa, która u każdej jest w innym stadium. Kinga Dębska nie oszczędza widzowi dosłowności – gwałt czy mrożąca krew w żyłach operacja przeprowadzona przez pijaną lekarkę nie pozwalają spojrzeć na problem alkoholizmu wśród kobiet pobłażliwie,

jak robią to ludzie z otoczenia bohaterek. Tym samym film staje się ostrą krytyką cichego przyzwolenia społecznego na picie, ale Dębska nie ma zapędów moralizatorskich. Kontrapunkt znajduje w humorze i niecodziennej obsadzie (tylko u niej zobaczycie Mariana Dziędziela w roli geja!). Jej filmu nie da się jednak zbyć śmiechem. Trzeba go poważnie przemyśleć.

Artur Zaborski

SERIAL

GENIALNA PRZYJACIÓŁKA

To historia wieloletniej niełatwej przyjaźni dziewczynek z ubogiej dzielnicy Neapolu. Elena Greco i Raffaella Cerullo, zwana Lilą, poznają się w 1950 r. w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Od tego czasu pozostaną nie tyle nierozłączne, ile bardzo ważne dla siebie przez trudne lata dorastania. Ośmioodcinkowy serial jest adaptacją pierwszej powieści z bestselerowego cyklu książek Eleny Ferrante, autorki równie tajemniczej jak jej bohaterka, genialna Lila. Wielkim atutem serialu są nie tylko odtwórcy głównych ról, ale także drugi plan i statyści. Takich twarzy i takiej ekspresji trudno szukać w innych produkcjach. Cały sezon jest dostępny na platformie HBO GO.

HBO GO

ZAJRZYJ TU

MILLENIUM

Kolekcja odzwierciedla XX-wieczne przemiany trendów, które wpływały na kształt naszej codzienności. Wystawa obejmuje 13 grup obiektów reprezentujących podstawowe obszary ludzkiej egzystencji: pożywienie, spożywanie posiłków i przechowywanie żywności, leczenie, ubieranie, ogrzewanie, śmieci, budownictwo, rolnictwo, produkcja, zabawa i rozrywka, używki. Analizuje też w trzech generacjach czasowych (początek XX w., millenium i dziś) aktualne ukierunkowanie na zrównoważony rozwój, powrót do surowców naturalnych oraz ruchy *slow* czy *zero waste.* O czym możemy się przekonać? Że trendy naprawdę wracają. Po okresie zachwytu i nasycenia się konsumpcją wracamy do surowców naturalnych, znajdujących się „pod ręką", łatwych do obróbki domowymi metodami, a więc sięgamy do inspiracji tradycyjnym rzemiosłem z początków wieku XX.

WARSZAWA, PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KASIA CHMURA, ROBERT JAWORSKI

eprasa.pl 2db340f6ca

LWIĄTKA KALIFATU

– Czy widziałaś swoje dzieci, jak praktykują obcinanie głowy?
– Tak, używają do tego lalek i zabawek

Kadry z materiału „Przygotowywanie dzieci do dżihadu".

Laila Shukri

Materiał zatytułowany „Przygotowywanie dzieci do dżihadu" zrealizowany został przez VICE News wkrótce po ustanowieniu w 2014 r. samozwańczego kalifatu na terytorium Iraku i Syrii. Jedną ze scen, która do głębi wstrząsnęła Isabelle [jedna z bohaterek książki Laili Shukri – przyp. red.], była rozmowa przybyłego z Belgii na tereny tzw. Państwa Islamskiego brodatego dżihadysty, Abdullaha al-Belgium, ze swoim wyglądającym na sześć lub siedem lat synem. Dialog prowadzony był w języku arabskim, a ojciec z synem stali przed kamerą niedaleko rzeki Eufrat, nad której północnym brzegiem położona jest Rakka.

– Jak masz na imię? – pyta ojciec.

– Na imię mam Abdullah – odpowiada cicho chłopiec.

– Mów głośniej – poucza go ojciec.

– Na imię mam Abdullah – chłopiec posłusznie odpowiada głośniej.

– Jesteś z Belgii czy z Państwa Islamskiego? – reporter pyta małego.

Niepewny odpowiedzi chłopiec podnosi głowę i spogląda na ojca.

– Rozmawiaj z nim – dżihadysta poucza syna. – Powiedz mu, że jesteś z Państwa Islamskiego.

– Z Państwa Islamskiego – odpowiada chłopiec, patrząc na reportera.

– Chcesz wrócić do Belgii? – ojciec pyta syna.

Dziecko przecząco kiwa głową.

– Dlaczego? – dopytuje ojciec.

Chłopiec patrzy na ojca, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Co tam jest, w Belgii? – podpowiada ojciec.

– *Kuffar* – odpowiada dziecko.

– *Kuffar* – powtarza ojciec, żeby syn dobrze zapamiętał.

– A tutaj co mamy?

– Państwo Islamskie – odpowiada chłopiec.

– Państwo Islamskie – powtarza ojciec, utrwalając synowi poprawne odpowiedzi.

– Lubisz Państwo Islamskie?

– Tak.

– Na pewno? – pyta z uśmiechem ojciec.

– Na pewno.

– A kim chciałbyś być? Dżihadystą czy męczennikiem, który przeprowadza zamach samobójczy? – dumny ojciec zadaje synowi ważne pytanie.

– Dżihadystą – odpowiada chłopiec.

– Dżihadystą – powtarza ojciec, wbijając synowi do głowy terrorystyczną ideologię.

Chłopiec, być może zmęczony całą sytuacją, chce usiąść, ale ojciec od razu przy nim kuca i każe mu wstać.

– Dlaczego zabijamy niewiernych? – pyta, patrząc synowi prosto w oczy.

Dziecko wstaje, a ojciec kontynuuje lekcję terroru.

– Co zrobili niewierni?

Chłopiec zastanawia się nad odpowiedzią.

– Co zrobili niewierni? – ojciec powtarza pytanie, chcąc skłonić syna do prawidłowej odpowiedzi.

– Zabijają muzułmanów.

– Ponieważ zabijają muzułmanów – powtarza mężczyzna, odpowiadając na poprzednie pytanie „Dlaczego zabijamy niewiernych". – Wszyscy niewierni?

– Wszyscy niewierni.

– Tak jak niewierni w Europie?

– Niewierni w Europie, wszyscy niewierni – odpowiada dziecko.

Następne ujęcie pokazuje szafirowobłękitne wody Eufratu i kąpiących się w nich mężczyzn i chłopców. Słychać podekscytowane głosy i można by ten obrazek uznać za idylliczny, gdyby nie to, że przedstawia on bojowników ISIS, którzy uczą swoje dzieci bezwzględnego zabijania.

– Dzięki Bogu Państwo Islamskie zostało ustanowione. – Na pierwszym planie pojawia się z przewieszonym przez ramię karabinem Abdullah al-Belgium, który donośnym głosem za pośrednictwem kamery zwraca się bezpośrednio do niewiernych. – I my na was najedziemy, tak jak wy najechaliście na nas. – Abdullah al-Belgium z emfazą podkreśla każde słowo, pomagając sobie wskazującym palcem, którym celuje w oko kamery, a tym samym w niewiernych. – I pojmiemy wasze

eprasa.pl 2db340f6ca

kobiety, tak jak wy pojmaliście nasze. I osierocimy wasze dzieci, tak jak wy osierociliście nasze – kończy załamującym się głosem.

Emocje sięgają zenitu i Abdullah al-Belgium zasłania twarz dłonią, a następnie ociera z oczu łzy.

– *Takbir!* – słychać donośny głos.

– *Allahu akbar!* – rozlegają się okrzyki, spośród których wybijają się dziecięce głosy.

– *Takbir!* – powtarza męski głos.

– *Allahu akbar!* – powtarzają dzieci.

Kolejne sceny pokazują Abdullaha al-Belgium, który wchodzi z chłopcem do Eufratu, dołączając do innych ojców, którzy zażywają tam kąpieli ze swoimi synkami.

– My wierzymy, że to pokolenie dzieci jest pokoleniem dzieci kalifatu – następny dżihadysta spokojnym głosem wyjaśnia przed kamerą, a w przebitce Abdullah al-Belgium beztrosko pluszcze się z synem w spokojnie płynących wodach Eufratu. – To jest pierwsze pokolenie, które będzie zwalczać niewiernych i apostatów, Amerykanów i ich sojuszników. Tym dzieciom wszczepiono właściwą doktrynę. Te wszystkie dzieci kochają walczyć o budowanie Państwa Islamskiego w imię Boga – dżihadysta wyjaśnia z uśmiechem.

Następnie reporter rozmawia z chłopcem, który właśnie wyszedł z Eufratu.

– Ile masz lat?

– Dziewięć.

– Dla kogo walczysz?

– Dla Państwa Islamskiego.

– Gdzie jedziesz po ramadanie?

– Do obozu. – Twarz chłopca rozjaśnia się szczęściem.

– Po co?

– Żeby mieć szkolenie.

– Szkolenie w czym?

– W obsłudze kałasznikowa.

– A potem co będziesz robić?

– Będę walczył z Rosjanami… Ameryką… Z niewiernymi.

– Czy nie jesteś na to za mały? – reporter wyraża swoją wątpliwość. – Ty wiesz, jak używać karabinu? Strzelałeś już wcześniej z karabinu?

– Tak.

I znowu ujęcie pławiących się w rzece chłopców i mężczyzn, które w odczuciu Isabelle mogłoby sugerować, że to są takie same dzieci jak wszystkie inne na świecie. Jednak na nieszczęście tych dzieci i świata tak nie jest.

– Dzieci poniżej 15. roku życia idą do obozu szarijatu, prawa muzułmańskiego, gdzie uczą się podstaw wiary i reguł religijnych. Starsze dzieci otrzymają szkolenie w obozach militarnych – wyjaśnia bojownik tzw. Państwa Islamskiego.

Isabelle wiedziała, że dżihadysta, wypowiadając się przed kamerą, nie do końca powiedział prawdę. Przecież parę minut wcześniej zaledwie dziewięciolatek wyjawił, że jedzie do obozu, żeby uczyć się obsługi kałasznikowa. Potwierdził, że z niego już strzelał, i z pewnością nie był jedynym dzieckiem w tym wieku na terenach ISIS, które to robiło.

Filmy propagandowe samozwańczego kalifatu przedstawiały okrucieństwo znacznie młodszych dzieci. Wstrząsające nagranie, w którym trzylatek w kompletnym stroju dżihadysty, na tle czarnych flag ISIS, wielkim nożem z determinacją odrzyna głowę wielkiemu białemu misiowi, długo straszyło Isabelle w sennych marach. Tak samo jak ubrana na czarno mała, może sześcioletnia dziewczynka, która długim ostrzem noża odcięła głowę lalki bobasa. I trzylatek, który z odbezpieczonego przez dorosłego pistoletu, celując w głowę, zabił więźnia. To nie był ani miś, ani lalka. To był żywy człowiek. Żywy do momentu, dopóki trzylatek nie pociągnął za cyngiel.

– Czy te dzieci biorą udział w operacjach militarnych? – reporter pyta dżihadystę.

– Oczywiście, chłopcy, którzy mają ponad 16 lat, a wcześniej przeszli przeszkolenie w obozach, mogą brać udział w akcjach militarnych.

Później przed kamerą staje nastolatek, jeszcze mokry po kąpieli w rzece, który z wielką chęcią opowiada reporterowi o sobie.

– W imię Boga! – zaczyna z wielką werwą. – Na imię mam Dawud i mam 14 lat. Chcę dołączyć do Państwa Islamskiego i walczyć dla niego, bo oni, bojownicy ISIS, zabijają niewiernych i apostatów. Bojownicy Państwa Islamskiego nie zrobili nic złego i, jak Bóg da, nic złego nie zrobią. My wszyscy kochamy Państwo Islamskie.

W Eufracie dżihadyści z chłopcami pryskają na siebie wodą w beztroskiej zabawie.

Następna scena reportażu przedstawia nastolatka, który z zapałem wymachuje flagą ISIS. Jest już noc i w Rakce właśnie trwa wielka celebracja, jedna z wielu w mieście, ustanowienia samozwańczego kalifatu. Dżihadyści z przewieszonymi karabinami rozdają jedzenie i wykorzystują atmosferę festynu do rekrutacji nowych bojowników. Wśród zebranych jest wielu młodych chłopców, którzy z zaciekawieniem przysłuchują się wystąpieniom dżihadystów. Od czasu do czasu na wydzielony plac wychodzi bojownik z wielką flagę ISIS w rękach i zagrzewa zgromadzonych do wspólnych okrzyków.

– *Takbir!* – rozlega się jego donośny głos.

– *Allahu akbar!* – krzyczy tłum.

– Krzyczcie głośniej! – zachęca bojownik ISIS. – *Takbir!*

– *Allahu akbar!* – odpowiada tłum.

– Jesteście dobrzy, niech was Bóg błogosławi! – rozlega się głos z megafonu.

Zbliżenie pokazuje chłopca, który z dużą uwagą aparatem telefonicznym filmuje całe zdarzenie. Dżihadyści mocnymi głosami zaczynają śpiewać swoją pieśń bojowników. „O, Abu Bakrze al-Bagdadi, ty przerażasz wrogów. Piękne dziewice nas wzywają, rekrutuj mnie jako męczennika".

Wyjątkowo przystojny młody bojownik ISIS z wielką ekspresją i upojeniem w oczach śpiewa słowa nostalgicznej pieśni. Isabelle odniosła wrażenie, że on już widzi te obiecane mu w raju po męczeńskiej śmierci 72 hurysy, wiecznie dziewice, o pięknych oczach i niezwykłej urodzie. One już tam na niego czekają.

Nastoletni chłopiec z uśmiechem na ustach trzyma w wyciągniętych do góry rękach flagę ISIS i faluje nią w rytm przemawiającej do wyobraźni pieśni. Wielka celebracja trwa, przyciągając w szeregi Państwa Islamskiego nowych, całkowicie mu oddanych zwolenników.

Następny materiał, który przykuł jej uwagę, był tak samo apokaliptyczny jak wszystkie inne poświęcone dzieciom terrorystom.

„Kiedy ISIS rekrutuje dzieci jako zabójców, to jak trudno jest odwrócić proces prania mózgu?", pytanie zawarte pod reportażem amerykańskiej telewizji informacyjnej CBS News wstrząsnęło Isabelle.

„Gdy ISIS się wycofuje, to pozostawia po sobie wiele indoktrynowanych dzieci wyszkolonych do zabijania.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 2db340f6ca

Czy można je przeprogramować, aby uniknąć tego, że staną się one Al-Kaidą 3.0?", komentarz zamieszczony poniżej był równie zatrważający.

„ISIS wyprało mózg tysiącom dzieci, żeby stały się zabójcami. Teraz te »lwiątka kalifatu« wracają do domu", głosiły pierwsze napisy emitowanego materiału.

– Nie trzeba dużo czasu, żeby zaszczepić u dzieci ideę, że obcięcie komuś głowy przyniesie im nagrodę w raju – mówiła komentatorka.

Wykorzystanie dzieci jako żołnierzy w walkach nie było niczym nowym, ale stopień okrucieństwa, jaki prezentowali bojownicy Państwa Islamskiego, sprawił, że nikt nie był w stanie przewidzieć, co zdarzy się później – wynikało z reportażu, który relacjonował udział dzieci w straszliwych egzekucjach i torturach więźniów.

Reporter przeglądał również podręcznik do pierwszej klasy, czyli dla dzieci w wieku pięciu, sześciu lat.

„Umiem strzelać. Tak, umiesz.

On umie bombardować. Tak, on umie".

To były jedne z pierwszych zdań, których dzieci się uczyły. Tarczę zegara przy ćwiczeniach nauki czasu umieszczono na bombie, a zadania z matematyki dotyczyły dodawania i odejmowania karabinów, czołgów, pistoletów i noży.

W dalszej części reportażu przedstawiono Jazydkę, którą bojownicy ISIS porwali razem z jej trzema synami. Przez trzy lata kobieta była niewolnicą seksualną, a jej dzieci, teraz w wieku czterech, sześciu i ośmiu lat, zostały zmuszone do przejścia na islam.

– Czy widziałaś swoje dzieci, jak praktykują obcinanie głowy? – zapytał reporter.

– Tak, używają do tego lalek i zabawek – odpowiedziała Jazydka. – ISIS mówiło im: „Jeżeli wysadzisz siebie w powietrze, to zabijesz tych niewiernych". ISIS mówiło im: „Twoja matka jest *kafira*, niewierna".

– Czy bałaś się wtedy swoich dzieci?

– Rozmawiałam ze swoimi dziećmi, tak jak rozmawiałam z bojownikami ISIS.

– Czy wierzysz, że twoje dzieci będą kiedyś normalne?

– Nie wiem – Jazydka mówiła smutnym głosem. – Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zapomniały o tym, co się im przydarzyło.

Dwóch młodszych chłopców, z których jeden siedział na kolanach Jazydki, zaczęło się okładać pięściami. Później starszy z nich z dużą siłą bił brata, nie zważając na strofującą go matkę oraz obecność reportera, ekipy telewizyjnej i kamer.

Kiedy ekipa opuszczała dom Jazydki, reporter chciał się pożegnać z chłopcami, jednak oni go całkowicie ignorowali.

– Czy te dzieci kiedykolwiek będą normalne po tym, co widziały i co robiły? Jak były trenowane? – reporter zapytał z powątpiewaniem. – Ten chłopiec w ogóle się nie uśmiecha – zauważył, patrząc na czterolatka.

Fragment książki Laili Shukri *Jestem żoną terrorysty*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2018

eprasa.pl 2db340f6ca

Agnieszka Wolny-Hamkało

Tak, ale

FLEUR W REWIOWYM UBRANKU

Już od rana czekało się na Mikołaja. Między kuchnią a sienią był korytarz, który pełnił funkcję skrzyżowania. W lewo można było iść do zimnej łazienki, gdzie na umywalce prężył się dumnie dziadkowy pędzel. W prawo – do składziku pełnego konfitur (po odkręceniu słoika babcia zdejmowała łyżką pierzynkę pleśni i nakładała nam smażone truskawki i drylowane wiśnie na biały ser). Z korytarza można też było wejść „na górę". To tam na gazetach suszyły się makówki. Wystarczyło odgryźć suchy czubek i przechylić makową główkę jak kieliszek, żeby poczuć na języku wilgotny, słodki mak. Ale przede wszystkim z korytarza wchodziło się do „stołowego". Stała tam olbrzymia choinka, która dotykała czubkiem sufitu. Wisiały na niej zrobione przez nas z siana i szyszek bombki, twarde laski lizaków, papierowe aniołki jak z wycinanki. Na końcu z szafki „na leki" wyciągałyśmy pachnącą syropem na kaszel watę i rozkładałyśmy ją na gałęziach jako sztuczny śnieg.

Potem już tylko „przeszkadzałyśmy" – ja i kuzynka. Czyli włóczyłyśmy się oszalałe ze zniecierpliwienia, podjadałyśmy ciasta ze składziku i wchodziłyśmy wszystkim w paradę. Raz na jakiś czas zerkałyśmy na drzwi do domu, to tamtędy miał wejść Mikołaj. A później biegłyśmy znów do pokoju, stawałyśmy na palcach przy parapetach, głowę wsadzałyśmy za firankę: jest już pierwsza gwiazdka? Jest już? Jest już? Jest już? – To nie gwiazda, tylko Wenus, kretynki – kuzyn był starszy i lubił nas czasem pognębić. – Tata mówi, że Wenus jest rano – zrobiłam obrażoną minę.

Wieczorem, kiedy na stół wjechały ostatnie potrawy, brzuchy bolały nas z podniecenia. Smrodek wody kolońskiej mieszał się z zapachem pierogów z kapustą. Wkrótce na białym obrusie pojawiły się czerwone plamy z barszczu. W końcu pozwolono nam odejść od stołu. Od razu pobiegłyśmy do choinki. Stała w rogu pokoju rozpalona, gotowa do startu jak jakaś rakieta. Światełka mrugały, jakby miały czkawkę. Na podłodze leżał gipsowy Jezusik. Papierowa szopka wycięta z jakiejś gazety niebezpiecznie chyliła się ku upadkowi. Wujek lał wódkę, mama kursowała do kuchni i znosiła stamtąd Bóg wie co, i stawiała to Bóg wie gdzie, bo przecież na stole nie było już miejsca na nic.

27 365 674 382 razy zdążyłyśmy już zapytać, kiedy przyjdzie Mikołaj. W końcu nawet pozwolono nam się bawić zepsutym żyrandolem, który składał się z samych (plastikowych!) kryształków i leżał na dnie szuflady, czekając na lepsze czasy. Siedziałyśmy więc na dywanie i liczyłyśmy kryształki. Te, które się odczepiły, próbowałyśmy umocować sobie na włosach niczym królewskie ozdoby. Albo powiesić na uszach w funkcji kolczyków. Ale przede wszystkim dosłownie czatowałyśmy na korytarzu.

Spod drzwi wiał mroźny wiatr. Na zewnątrz szczekały psy. Nasłuchiwałyśmy, czy metalowa brama odsuwa się z łoskotem. Ale w końcu stało się: zamieszanie, szepty, a potem walenie w drzwi, głuche i głębokie, jakby ktoś łomotał olbrzymią pięścią zakutaną w wełnianą rękawicę. Tak to sobie wtedy wyobrażałyśmy. Cały czas patrzyłam na szparę pod drzwiami, pewnie dlatego najpierw zobaczyłam buty: czarne, ubłocone gumiaki, a dopiero potem kożuch – wcale nie czerwony, tylko jasnobrązowy jak spód podgrzybka. Damski pasek, olbrzymi szal zasłaniający prawie całą twarz – i wreszcie kapelusz, spod którego widać było tylko oczy. Mikołaj postukał kaloszami, zatrząsł się cały i wydobył z głębi gardła zniekształcone, chrapliwe dzień dobry. Potem wlazł do pokoju, zaczął wyciągać prezenty z worka na zboże, zerkając na nas spod kapelusza.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wreszcie przyszła moja kolej – wymienił moje imię. Trzymał w łapach zgrabnie owiniętą paczuszkę. Miałam nadzieję, że jest w niej lalka Fleur, grubsza i bardziej ludzka rywalka Barbie (o Barbie nawet nie marzyłam). – A teraz powiedz wierszyk – wysapał Mikołaj, bo już zdążył nieźle się spocić w parującym „stołowym". Jak to? Poczułam się oszukana. W Wigilię wszyscy mieli po prostu dostawać prezenty, a nie wykonywać za nie jakąś dodatkową pracę. – Powiedz wierszyk, powiedz wierszyk, powiedz wierszyk! – wołali babcia, mama, tata, a w końcu nawet kuzynka, która też się niecierpliwiła, bo nie dostała jeszcze swojej paczki. Ale ja zupełnie nie umiałam wydobyć z siebie „wierszyka". Byłam cała czerwona, co groziło tym, że po prostu się rozpłaczę. I chyba Mikołajowi zrobiło się mnie trochę żal, bo wystękał pojednawczo: – To się chociaż przeżegnaj. Patrzyłam wtedy na kotkę, która weszła do pokoju i ewidentnie nastawała na karpia. Powiedziałam więc jak w hipnozie: – W imię kotka. W imię kotka i syna, i ducha świętego, amen.

I to chyba bardzo spodobało się Mikołajowi, bo dostałam wreszcie swoją paczkę, a w niej, na samym dnie pudełka, leżała niebieskooka, zalotnie uśmiechnięta Fleur w rewiowym ubranku.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2db340f6ca

Dorota Bartosewicz

Escape room Legenda Miecza

POLSKA ZAGŁĘBIEM POKOJÓW UCIECZKI

Polacy pokochali escape roomy. Krajowa branża wyrosła na czwartego gracza na świecie

Escape room Nautilus: Podmorska Przygoda

Pierwsza lokalizacja odpada już po kilku minutach – Cyrk Dziwadeł (Escapers) w Warszawie wolnych terminów nie ma przez kilka kolejnych wieczorów. Druga – Łowcy Głów (Amazeing) też ma komplet gości. Podobnie jest w Legendzie Miecza (Wyjście Awaryjne) czy np. Napadzie na Bank (Akcja Ewakuacja nr 1 Warszawa). Znaleźć wolne miejsce z dnia na dzień w najbardziej obleganych terminach (przede wszystkim w piątkowe i sobotnie popołudnie) nie jest łatwo. Grupa przyjaciół liczy trzy osoby, decyzja jest spontaniczna, za to zamówienie konkretne: niech to będzie jeden z najlepiej ocenianych escape roomów, czyli pokojów ucieczki. To pomieszczenia wypełnione przeróżnymi zagadkami – od manualnych po logiczne. Najlepiej rozwiązać je tak szybko, jak tylko się da.

W innych miastach nie inaczej – we wrocławskich Scooby Dooby Doo (Fox O'clock), Obłęd (Exit19.pl) czy Porwany Samolot (Escape Bus) także trudno o wolną godzinę. Podobnie w Bydgoszczy – Tajemnica Strychu (Fabryka Czasu), Nautilus: Podmorska Przygoda czy np. Legenda Miecza (Wyjście Awaryjne) też porezerwowane z dużym wyprzedzeniem.

– I trudno temu się dziwić, bo Polacy całym sercem pokochali tę formę rozrywki – tak ten fenomen wyjaśnia Jakub Witosławski z serwisu LockMe.pl. Od 2014 r. zajmuje się obsługą rynku escape roomów w Polsce (a od 2017 r. także w Niemczech i Austrii).

W samej Warszawie powstało ich już prawie 120, w Poznaniu ponad 100, we Wrocławiu – 70, a w Bydgoszczy – 42. Łącznie w całym kraju jest ich już ok. 1000. To 359 firm, bo większość ma kilka lokalizacji, skoro rynek wydaje się nienasycony. Stale też powstają nowe pokoje – na przełomie wiosny i lata Exit19 otworzy kolejny. A jeszcze w styczniu 2019 r. Wyjście Awaryjne odda drugi Pokój Piramid.

Ale i tak już teraz Polska wyrosła na najważniejszego gracza w regionie (na niemieckim rynku jest tylko 759 escape roomów) i czwartego na świecie. Przed nami są USA, Rosja i Chiny – i to głównie ze względu na rozmiary tych krajów. W USA działa obecnie ok. 4,5 tys. pokojów ucieczki, a pierwsze zaczęły powstawać jeszcze w 2012 r.

WEHIKUŁ CZASU

Sam pomysł na biznes nie jest jednak oryginalny – przecież graczy zamykano już w czterech ścianach i dawano różnego rodzaju zagadki do rozwiązania w popularnym w latach 90. francuskim programie „Fort Boyard" czy brytyjskim „The Crystal Maze". Oba formaty, w których celem uczestników misji było zdobycie klu-

eprasa.pl 2db340f6ca

czy koniecznych do dostania się do skarbca, szybko jednak wyczerpały swoje możliwości. Po nich rynek zalały proste gry w stylu *point-and-click*, które pojawiały się już na ośmiobitowych komputerach. Legendarny okazał się „Myst", w którym przemierzało się równoległe światy i głowiło nad zagadkami z ksiąg. Aż w końcu w 2006 r. grupa informatyków z Doliny Krzemowej – nie trzeba chyba dodawać, że byli fanami RPG (*role-playing game*) – wpadła na pomysł przeniesienia tych gier do świata rzeczywistego. Tak narodził się Origin (inspirowany zagadkami z książek Agathy Christie), który do dziś uchodzi za najwierniejszy pierwowzór pokojów ucieczki. Pomysł chwycił na tyle, że escape roomy zaczęły powstawać na całym świecie. Polacy poznawali je nierzadko przez przypadek – podczas zagranicznych podróży albo poszukiwań w sieci. Ale bakcyla połknęli i zdecydowali się przeszczepić na krajowy grunt ten format bazujący na silnych emocjach i wymagający współdziałania. Obowiązkowo z angażującą fabułą i realistyczną scenografią. Bo dla jednych to przede wszystkim sposób na zabawę poza siecią, a dla drugich – nawiązanie do gier znanych z dzieciństwa (nie bez powodu modne są teraz planszówki).

– Z tą jednak różnicą, że escape roomy działają jak wehikuł czasu, pozwalają przenieść się w czasie i przestrzeni, a także – inaczej niż w filmie, kinie czy teatrze – pozostać bohaterem i głównym sprawcą zdarzeń – zastrzega Grzegorz Cholewa, współwłaściciel Exit19.pl.

Nic dziwnego, że tylko w 2017 r. pokoje ucieczki odwiedziło w Polsce 4,2 mln osób. Za bilet płaciły średnio 100 zł (najwięcej w Warszawie – 147 zł, a najmniej w Rawiczu – 78 zł), co dało ok. 120 mln zł. W tym roku ma paść rekord, wynika z prognoz właścicieli.

KILKA GRATÓW

Wejście na rynek escape roomów to wydatek ok. 100 tys. zł, czyli wartość średniej klasy samochodu z salonu. Tyle potrzeba na przyzwoity pokój. Na wyjątkowy trzeba będzie dorzucić jeszcze jedno auto. Mimo to chętnych nie brakuje, w tym także śmiałków, którzy porwali się nawet na wyjście z Polski. Jednym z nich jest architekt krajobrazu Karol Skraba z Wrocławia. Najpierw w 2014 r. razem ze wspólnikami Sebastianem Wąsowiczem i Mateuszem Kacprowiczem otworzyli we Wrocławiu LetMeOut, czyli pierwszą w Polsce grę typu escape rozgrywaną w czasie rzeczywistym. Potem na przełomie 2015 i 2016 r. zaistnieli w Brukseli, a teraz planują dalszą ekspansję. – Chcemy działać też w Niemczech. Liczymy, że do końca 2019 r. będzie to druga nasza lokalizacja poza Polską – mówi Karol Skraba.

W całym kraju jest już ok. 1000 escape roomów.

Już 2017 r. był dla niego bardzo dobry. Przychody i zyski rosły rok do roku, podobnie jak liczba grup – bywało, że miesięcznie w jednym punkcie urosła ze 100-120 do 300. Każda z nich zostawiała ok. 100 zł za pojedynczą grę, co daje obrót w wysokości ok. 30 tys. zł miesięcznie.

Pod swoją marką LetMeOut działa teraz w sześciu miejscach w Polsce (m.in. w Krakowie, Katowicach, Lublinie, ale też w Zakopanem). Ma 27 pokojów, w tym od 1 września pierwszy w Polsce escape room wyłącznie dla programistów.

– Rynek jest już gotowy na specjalizacje branżowe?! – dopytuję.

– Dla określonych grup zawodowych na pewno. Czy dla wszystkich – tego nie wiem. Poza tym Wrocław, gdzie działa teraz Hexit, taka jest oficjalna nazwa pokoju, jest specyficzny. Siedziby ma tu wiele firm IT, pracuje wielu programistów.

Tylko w 2017 r. pokoje ucieczki odwiedziło w Polsce 4,2 mln osób.

Dla niedoświadczonego przedsiębiorcy, jakim był zaledwie cztery lata temu, escape roomy nie były z początku tak pewnym biznesem. Wystartowali nieśmiało i bardzo skromnie, z dwoma pokojami po 18 m kw., w biurze wynajętym na jednej z ulic odchodzących od rynku głównego. Na urządzenie potrzebowali trzech miesięcy i 15 tys. zł (teraz to trzy-cztery miesiące i ok. 30 tys. zł na jedno pomieszczenie). – Wystarczyło kilka gratów do pokoju, żeby go tylko stylistycznie przygotować – Karol Skraba przyznaje wprost. – Przecież jeśli ktoś wtedy otwierał pokoje ucieczki, to wszystkie były utrzymane w klimacie PRL. Ława, kanapa, dywan, kilka zagadek i gotowe. Te ostatnie nawet nie układały się w żadną fabułę, bo o niej nikt jeszcze wtedy nie myślał.

Budowania scenariuszy uczyli się z gier komputerowych, których do dziś są wielkimi fanami, po czym testowali je na znajomych i przyjaciołach. I to wiele razy. Ale choć pomysł chwycił od razu, a liczba miast, w których działali, rosła, to nadal zarabiali też na swoich wcześniejszych biznesach. Karol Skraba zyski czerpał głównie z projektowania stron, a Sebastian Wąsowicz – z prowadzenia klubu i dyskoteki. – Nadal nie wierzyliśmy, że taka forma rozrywki w Polsce przyjmie się na dobre. Bo finansowo od razu się spinaliśmy – będą tłumaczyć po latach. (W biznes weszli przypadkiem, kiedy w sieci trafili na stronę podobnej firmy z zagranicy).

Prawdziwym przełomem okazał się dla nich jednak rok 2015, kiedy i inni zwietrzyli w tym interes (działało już ok. 150 escape roomów, a jedna z firm też nazwała się LetMeOut, choć to oni mieli zastrzeżone i znak, i nazwę handlową).

– Gwałtownie wzrosła liczba zapytań o franczyzę, a bywało, że całe tygodnie spędzaliśmy w trasie – przypomina sobie Karol Skraba. – Zainteresowanie było tak duże, że zdarzało się, że jechaliśmy przez całą Polskę tylko po to, by usłyszeć: „Panowie, ja tu mam kamienicę i nie za bardzo wiem, co z nią zrobić, to może byście zainwestowali w escape room". Z podobnych spotkań nic potem nie wychodziło.

I dlatego ostatecznie zdecydowali się wchodzić we współpracę głównie z tymi, z którymi mogli się wymieniać doświadczeniami, w tym np. organizatorami dużych eventów. Tak otworzyli np. pokoje ucieczki w Lublinie – to jedyne miasto, w którym marka LetMeOut jest obecna w dwóch lokalizacjach. Nowo nawiązana

eprasa.pl 2db340f6ca

współpraca spowodowała też, że jeszcze większy nacisk położyli na obsługę klientów i podejście do prowadzenia biznesu. Weszli także w inne formy promocji (wcześniej głównie marketing szeptany, teraz – reklama na FB i kampania AdWords oraz formy niestandardowe). Od dwóch lat wydają np. swoją gazetę. „Dziennik Lublina" liczy osiem stron, zawiera artykuły i reklamy pisane językiem z lat 20. i 30., a rozdawany jest przez chłopców przebranych za gazeciarzy.

KONKURENCJA SPRZYJA

Bum na pokoje ucieczki trwa teraz w najlepsze. Rywalizacja między escape roomami toczy się na coraz to nowych polach.

– Jako jedyni mamy teraz tzw. podwójny escape room, czyli dwa pokoje, w których w opcji wyścig może rywalizować od czterech do dziesięciu osób. Widzą pasek postępu przeciwnika, a w razie potrzeby mogą im przeszkadzać. A to proszą o wyłączenie światła na trzy minuty, a to o puszczenie głośnej muzyki, która uniemożliwia komunikację, a to o przekazanie fałszywej podpowiedzi – zachwala Łukasz Skowroński z Wyjścia Awaryjnego; dołączył do spółki w lipcu 2016 r., kiedy ruszali z biznesem w stolicy.

To fotograf specjalizujący się w sesjach reklamowych i portretowych. Wejście w nową branżę zaproponowali mu trzej koledzy z rodzinnej Bydgoszczy. A pomógł fakt, że pokój ucieczki zaczął powstawać tuż za ścianą jego studia („Mogłem jednocześnie czuwać nad nowym biznesem").

– Ale i tak się baliśmy, bo kto to słyszał budować dwa takie same pokoje?! Przecież to bez sensu! Nawet swego czasu zwątpiliśmy: kto ma tylu znajomych, żeby spontanicznie zorganizować wypad dla 10 osób?! Ale było już za późno – opowiada. Ruszyli w listopadzie 2016 r., a dziś 80% rezerwacji to właśnie opcja wyścig (pokoje można też zamawiać pojedynczo).

Skrzyknęli się jeszcze w 2015 r., a wystartowali z jednym pokojem (był wówczas drugim w Bydgoszczy), by rok później wejść do Warszawy. Co ciekawe, nie dość, że żaden z trójki pomysłodawców nie miał doświadczenia w budowie escape roomów (dwóch nawet żadnego nie odwiedziło), to jeszcze działali w bardzo różnych branżach. Michał Rajszel ma firmę kurierską, Mikołaj Racki – prowadzi działalność związaną z pracami podwodnymi i hydrotechniką, a Filip Mroczek był radcą prawnym (ostatecznie po kilku latach pracy w kancelarii całkowicie poświęcił się escape roomom).

Ich pomysły na każdy kolejny pokój z czasem stawały się jeszcze odważniejsze: tylko autorskie, bez posiłkowania się gotowymi scenariuszami. I zawsze precyzyjnie zbalansowane: jedna zagadka logicznie powiązana z drugą, a ich liczba tak dobrana, by bawić się przez godzinę i obyć bez podpowiedzi (w praktyce ok. 15 zadań różnego rodzaju).

Bilet w 2017 r. kosztował średnio 100 zł (najwięcej w Warszawie – 147 zł, a najmniej w Rawiczu – 78 zł).

Inwestycja w escape room zwraca się maksymalnie po półtora roku.

Przy czym pokoje stawały się coraz większe (ok. 50 m kw.) i droższe (do 100 tys. zł). – Nie da się dziś za 20-30 tys. zł zbudować escape roomu, który będzie dobry i utrzyma się na rynku – zapewnia Łukasz Skowroński. – Pierwszy, który uruchomiliśmy trzy lata temu, kosztował nas jedynie 6 tys. zł i to tylko dlatego, że wszystko robiliśmy sami, a i wystrój rewelacyjny nie był. Drugi już dwa razy tyle, a trzeci – cztery razy tyle.

Dziś mają ich łącznie dziewięć; jeden generuje średni przychód w wysokości 15 tys. zł miesięcznie. – Każdy kolejny sprawia, że zyskują wszystkie inne, bo klienci przechodzą z pokoju do pokoju nawet tego samego dnia – Łukasz Skowroński tłumaczy model biznesowy Wyjścia Awaryjnego. – Po otwarciu Planu na Włam w Bydgoszczy skok był wręcz nieproporcjonalny. Gości było przeszło dwa razy więcej.

Klientom wcale nie przeszkadza, że część pokojów funkcjonuje bez zmian od czterech lat. Wręcz przeciwnie. – Jeśli są dobre, to będą rekomendowane kolejnym i kolejnym grupom. Poza tym chętnie polecamy klientom pokoje innych firm, które z kolei polecają nasze. W tym biznesie konkurencja tylko nam sprzyja – zapewnia Łukasz Skowroński. Grzegorz Cholewa, współwłaściciel Exit19.pl, potwierdza: – Od początku mocno sobie kibicujemy, bo chodzi przede wszystkim o to, by klienci wciągnęli się w zabawę. Innymi słowy, dobre pokoje zainspirują graczy, by poszli i zobaczyli kolejne – u nas czy w innych firmach. W naszym interesie jest i to, by cały czas postawały kolejne dobre realizacje.

HOLLYWOODZKI ROZMACH

Grzegorz Cholewa też celuje w budowę kultowych escape roomów. Na razie ze wspólnikiem Krzysztofem Świątkowskim ma we Wrocławiu cztery pokoje ucieczki; o dwóch od początku było głośno.

– Pierwszy, czyli Zdradę w Breslau, zaaranżowaliśmy jak muzeum. Każdy przedmiot pochodzi z Wrocławia lat 30. – od łóżka po stare pianino. Dzięki temu wszędzie unosi się charakterystyczny dla tamtych czasów zapach, a sam escape room działa jak maszy-

POKÓJ A GENERACJA

Pokoje dzieli się nie tylko ze względu na stopień trudności zagadek czy typ fabuły, ale też generację. A są ich trzy.

Pierwsza generacja – escape room budowany jak najmniejszym kosztem (5-10 tys. zł), często „chałupniczymi" metodami. Proste zagadki i minimalna liczba rekwizytów – łamigłówki, kłódki, kartka papieru, kalkulator, biurko i na tym koniec. Nierzadko bez fabuły.

Druga generacja – pokoje ucieczki naszpikowane elektroniką. Koniecznie z angażującą fabułą i rozbudowaną scenografią, których koszt waha się od 50 do 100 tys. zł.

Trzecia generacja – nowoczesne pomieszczenia warte ok. 200 tys. zł, światowy standard, wielopoziomowa scenografia, zaawansowane efekty dźwiękowe i wizualne, nierzadko z udziałem aktora. Do tego oryginalne rekwizyty z epoki albo ich wierne kopie.

eprasa.pl 2db340f6ca

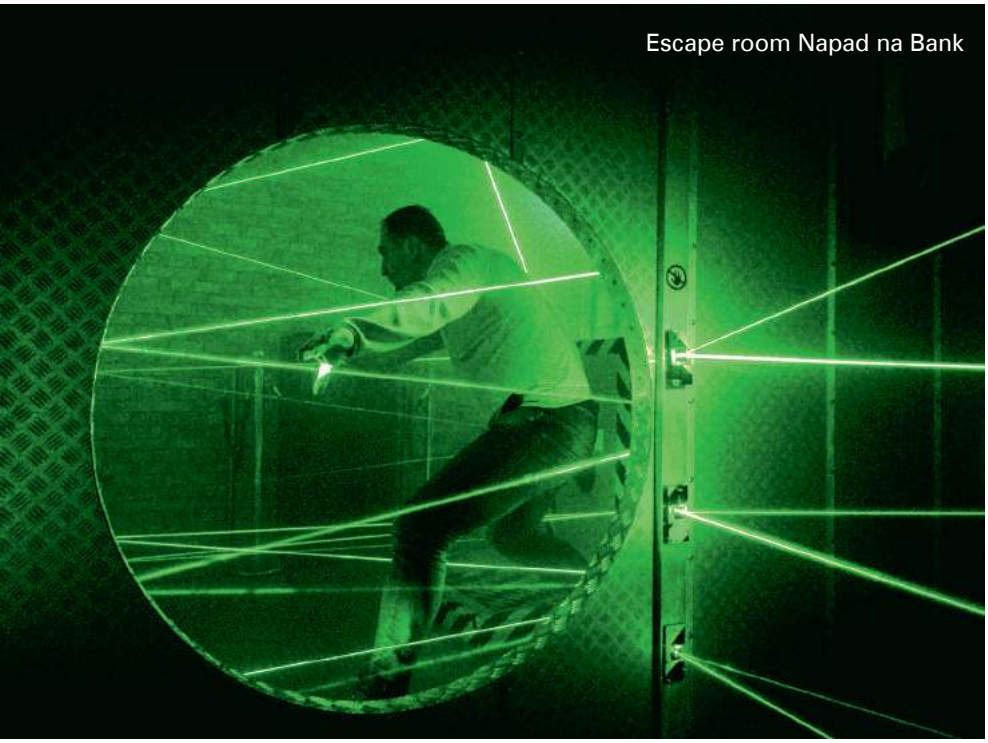
Escape room Napad na Bank

na do podróży w czasie – zapewnia Grzegorz Cholewa. – Drugim, czyli Obłędem, rządzi już hollywoodzki rozmach. 100 m kw. piwnicy urządzaliśmy półtora roku; mówiliśmy nawet swego czasu, że to nie pokój, ale projekt Obłęd. Do pracy zaprosiliśmy scenografów zatrudnianych przy filmach Andrzeja Wajdy czy Jerzego Kawalerowicza. Do dziś zresztą stale z nimi współpracujemy.

Dostęp do nich Grzegorz Cholewa miał ułatwiony, bo sam pracował przy produkcjach filmowych, a wcześniej przez 10 lat jako dziennikarz pisał o życiu kulturalnym Wrocławia.

W efekcie na pokój poszło jakieś 200 tys. zł. Ale – jak zastrzega – nie tylko o efekty specjalne i zaawansowaną elektronikę chodziło. Także o rozpisanie scenariusza sekunda po sekundzie (wspólnik Krzysztof Świątkowski to fanatyk gier planszowych, sam nawet jedną napisał) i zaskakiwanie widza co krok. Stąd najnowszy pomysł, by w poniedziałki organizować… grę z aktorem. To postać wpisana w fabułę, która ma budować dodatkowe napięcie i ingerować w grę (podpowiadać albo mylić tropy).

Jak szybko zwraca się inwestycja? – Maksymalnie po półtora roku – zapewnia współwłaściciel Exit19.pl. Tyko w sierpniu (miesiąc nie ma znaczenia, bo sezon na escape roomy jest zawsze, przekonuje) przez jeden jego pokój przewinęło się ok. 150 grup, co daje rocznie ok. 8 tys. osób. – Ryzyko? Ono jest zawsze, jak w każdym biznesie. Ale escape roomy to nowa branża i innego scenariusza dla nas niż rozwój po prostu nie ma. Dodaje, że zaledwie trzy miesiące temu z Krzysztofem Świątkowskim otworzyli jeszcze Klątwę Skarbu Majów.

TRZECIA GENERACJA

Mimo rosnącej popularności escape roomów ich właściciele zdają sobie sprawę, że bańka może jednak kiedyś pęknąć. Dlatego już teraz wprowadzają do oferty usługi dodatkowe, w tym mobilne pokoje ucieczki. Tę strategię wdrożył m.in. LetMeOut.

– Gry wyjazdowe, bo tak też je nazywamy, organizujemy na potrzeby konferencji i targów w całej Polsce. W hotelach urządzamy wtedy cztery-pięć pokojów, do których przywozimy elektronikę i część mebli – wyjaśnia Karol Skraba. Koszt: 2,5 tys. zł za ok. 20 osób.

LetMeOut idzie o krok dalej i wchodzi również w *product placement* – na potrzeby akcji promocyjnych w wybranych przez klienta miastach stawia kontenery, a do środka zaprasza albo Kowalskich, albo gwiazdy internetu. Do tej pory sięgnęły po to rozwiązanie międzynarodowe koncerny, w tym Orange, Lipton i Adidas, głównie przy wprowadzaniu na rynek nowych produktów i towarzyszących temu kampaniach reklamowych.

Na klientów biznesowych postawił też Exit19.pl. Wynajmuje pokoje ucieczki na imprezy integracyjne czy np. szkolenia i rekrutacje prowadzone przez działy HR i head hunterów (podobną strategię ma m.in. Wyjście Awaryjne). Ostatnio wszedł także we współpracę z firmą szkoleniową – na zlecenie klientów oferują kompleksową usługę, w tym pomoc w interpretacji zachowań (potencjalnych) pracowników.

Biznes na escape roomach zwietrzyły też specjalistyczne firmy oferujące konkretne usługi dla branży – od tworzenia nowych zagadek, przez pisanie scenariuszy, po budowę stron internetowych, systemów rezerwacyjnych i wystroju (w grę wchodzą: elektronika, elektryka, hydraulika, stolarka, a nawet obróbka metali). Wśród nich są Escape Room Supplier i Escape Service, które usługi i sprzęt sprzedają już poza Polską. Marcin Pleskacz, właściciel Escape Room Supplier: – Ostatnie zamówienie mieliśmy z Afryki, a wcześniej z USA, Norwegii, Japonii, Korei, Brazylii, Paragwaju, Gwatemali. Największe do tej pory z Kanady, kiedy na przełomie 2017 i 2018 r. jedna z tamtejszych firm przechodziła na pokoje trzeciej generacji. Odchodziła od kłódek i papieru na rzecz pełnej elektroniki, która jest teraz standardem w Polsce. O ile w 2015 r. naszpikowany nią był jeden na 10 pokojów w kraju, o tyle w roku 2016 – pięć, a w 2017 – osiem. W tym roku to już ponad 95%.

Poza tym działają jeszcze pojedyncze osoby, które tworzą specjalistyczne elementy, czy to elektronikę, czy scenografie. Jakub Witosławski z LockMe.pl przewiduje, że i ten obszar w najbliższych 12 miesiącach mocno się sprofesjonalizuje.

Dorota Bartosewicz

Escape roomy to nowa branża i innego scenariusza niż rozwój po prostu nie ma.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 2db340f6ca

ZDJĘCIA ROKU

EAST NEWS

1 Marsz Wolności w Warszawie zorganizowany przez Platformę Obywatelską i Nowoczesną. Jan Bielecki/East News.
2 Protest Obywateli RP w Krajowej Radzie Sądownictwa. Mateusz Grochocki/East News.
3 Lech Wałęsa w drugiej turze wyborów samorządowych głosuje na prezydenta Gdańska. Piotr Molęcki/East News.
4 Pierwsza tura wyborów samorządowych, radość Małgorzaty Wassermann, kandydatki PiS na prezydenta Krakowa. Damian Klamka/East News.
5 Piesza pielgrzymka na Jasną Górę. Bartosz Krupa/East News.
6 Obchody ósmej rocznicy katastrofy smoleńskiej. Justyna Rojek/East News.

eprasa.pl 2db340f6ca

5

6

6

sa.pl 2db340f6ca

WOLNOŚĆ WYBORU

Święta nie są czasem rozrachunków. Na to mamy resztę roku

Rozmawia Barbara Jagas

DR EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKA

– psycholożka, terapeutka uzależnień, publicystka, autorka książek

Nie wszyscy czekają na święta, niektórzy myślą o nich z przerażeniem. Jak się przygotować do świąt, by przeżyć je miło i spokojnie? Nie pytam o osoby, które wyczekują Wigilii i całej oprawy Bożego Narodzenia.

– Jeśli ktoś myśli o świętach z przerażeniem, powinien się zastanowić, o co chodzi, czego się obawia. Święta mają jeden charakterystyczny aspekt – spędzamy je z ludźmi, których nie widujemy na co dzień. Te świąteczne dni są takim samym wyjątkiem jak sylwester, imieniny czy wakacje. Wtedy też spotykamy się z ludźmi innymi niż domownicy.

Dlaczego powiedziała pani, że święta spędzamy z ludźmi, których nie widujemy? Przecież spędzamy ten czas z rodziną.

– Święta są okazją do spotkań z osobami, które widujemy rzadziej. Przecież to wtedy odbywają się wędrówki po całej Polsce, gdy odwiedzamy bliskich – tych bliższych sercu i tych dalszych.

Ale pani proponuje, by przyjrzeć się sobie i zastanowić, dlaczego obawiamy się albo nie lubimy spotkań rodzinnych w szerszym gronie.

– Chodzi mi o to, że rodzina to nie są obcy ludzie. Nawet daleka ciocia, babcia, a tym bardziej wnuki, które np. wyprowadziły się do innego miasta lub kraju, a przyjeżdżają specjalnie do nas na święta, to przecież rodzina. Spotkanie z nimi jest odejściem od rutyny dnia codziennego. Czy będzie to zdarzenie miłe i serdeczne, zależy od obydwu stron, od wzajemnego nastawienia. Ale jeśli jesteśmy nastawieni życzliwie i pogodnie, na pewno będzie to miły czas.

A jeśli zwiastuje on nudę?

– Jeżeli tak, to lepiej, gdy coś takiego odkryjemy zawczasu. Przecież nudzie można zapobiec. Można otworzyć internet – ileż tam jest ciekawych informacji, o których warto rozmawiać, ile wspaniałej muzyki czy innych inspiracji. W każdym razie trzeba pomyśleć wcześniej, jak zaradzić nudzie i ciekawie zabawić gości. Tajemnicą udanych świąt jest taka oto recepta: trzeba się do nich przygotować. Przyjęcie rodzinne, a tym bardziej seria spotkań z niecodziennymi gośćmi, nie różni się zbytnio od jakiejś konferencji. Czy będzie interesująco, zależy od programu i udziału uczestników. Jeśli odpowiednio się przygotujemy, wydarzenie będzie ciekawe, np. dzięki interesującej rozmowie, wymianie myśli i możliwości zbliżenia, lepszego poznania, zaprzyjaźnienia się lub odnowienia zażyłości. A jeśli to będzie taka sobie paplanina, okaże się nudna i ludzie będą źle się czuć. Może nawet pod byle pretekstem zaczną wychodzić. Każde spotkanie, zwłaszcza uroczyste, wymaga przygotowania. O nastrój świąteczny też trzeba wcześniej zadbać.

> Tajemnicą udanych świąt jest taka oto recepta: trzeba się do nich przygotować.

Nie wystarczy „rzucić" karpia na stół?

– Owszem, niektórzy czekają wyłącznie na to, co podamy na stół, ale lepiej zadbać o oprawę tych świątecznych dni. Odświeżyć starą zastawę i pięknie nakryć do stołu, przybrać nakrycia gałązkami choinkowymi czy jakoś inaczej ozdobić każde miejsce przy stole. Chodzi o to, aby przed świętami zastanowić się, co naszym gościom pomoże dobrze się czuć. Jeśli dobrze ich znamy, będzie to łatwe. Jeśli np. wiem, że seniorka rodu lubi siedzieć na honorowym miejscu, przygotuję jej takie siedzenie – nawet koronkową narzutą przykryję jej fotel, by poczuła się jak królowa. Trzeba wcześniej zrobić listę osób, które do nas przyjdą, i zastanowić się, co sprawiłoby im radość.

Święta należy traktować jak przedstawienie?

– Trochę tak. A jeżeli sami jesteśmy zaproszeni, można zadzwonić do gospodarzy i zapytać, czy przynieść świeczki, aby je np. porozstawiać na schodach lub na parapetach. W każdym razie warto wykazać współudział i inicjatywę. Wtedy święta będą bardziej wspólną sprawą.

A o czym rozmawiać przy stole z ludźmi, którzy są choćby po przeciwnej stronie politycznej?

– Jest to zmorą Polaków. Ale czy musimy podczas świąt zajmować się polityką? Trzeba wybierać inne, bezpieczniejsze tematy. Dlatego mówię o tym, że trzeba się przygotować do świąt i w ogóle do spotkań w szerszym gronie. Źle by też było, gdyby wszyscy siedzący przy stole lub w salonie patrzyli w swoje smartfony, jak to robi dzisiejsza młodzież i nie tylko… Zaproponujmy więc, by przy wejściu wyłączyć komórki i je odłożyć. Jak święto, to święto.

Nie wiem, czy każdemu to się spodoba.

– Aby goście się nie obrazili, można przecież powiesić jakąś satyryczną informację na ten temat albo plakat.

To fajny pomysł. Ale z tymi świątecznymi rozmowami różnie bywa. Dlatego czasem się nie dziwię, że pojawiają się jakieś łamistrajki,

eprasa.pl 2db340f6ca

które przychodzą z włączonymi telefonami. Po to, aby uciec od niechcianych tematów.

– To prawda, że święta są szczególnym czasem na rozmowy. Nie musimy nigdzie się śpieszyć po świątecznym obiedzie, możemy spokojnie usiąść na kanapach... Mamy wreszcie ten czas dla siebie. Ale jak powiedziałam wcześniej, aby się nie nudzić lub nie musieć uczestniczyć w rozmowach na niechciane tematy, warto coś z siebie dać. Może trzeba przypomnieć sobie parę dobrych dowcipów albo w ogóle mieć coś ciekawego do powiedzenia.

Przyjęcie rodzinne nie różni się zbytnio od jakiejś konferencji.

Ja np. dopiero co przeczytałam, że obraz Wojciecha Fangora został sprzedany za kilka milionów złotych. Można wcześniej zobaczyć, jaki to obraz, do jakiej kolekcji trafił itd. Wydaje mi się, że o takie rzeczy nie można się pokłócić. Nawet jeżeli nasza babcia całymi dniami słucha tylko Radia Maryja, tym tematem może się zainteresować albo przynajmniej posłuchać rozmowy. Dobrym pomysłem są wspomnienia z udanych wakacji lub plany dotyczące następnych. Wtedy mogą też włączyć się dzieci i zrobi się wspólna miła rozmowa. Zasada jest jedna: nie podejmujemy w święta tematów, które kogokolwiek miałyby zaboleć, a tym bardziej urazić czy obrazić. No i absolutnie nie jest to okazja do rozrachunków rodzinnych, robienia wymówek i zwracania uwagi.

A jeśli święta Bożego Narodzenia w inny sposób dzielą ludzi, np. jeśli chodzi o stosunek do wiary, a w związku z tym inaczej chcieliby je obchodzić?

– Mało jest ludzi, którzy nie lubią choinek czy innych symboli bożonarodzeniowych. Przecież bez względu na to, czy ktoś jest wierzący, czy niewierzący, tradycja świąt została przyjęta nie ze względu na przynależność do Kościoła katolickiego, tylko bardziej z uwagi na przynależność do naszego kręgu kulturowego.

Ale powiedzmy, że mam rodzinę, w której jedni idą na pasterkę, a drudzy to deprecjonują, jedni lubią śpiewać kolędy, a drudzy – przeciwnie. Jak to wszystko pogodzić?

– Ci, co lubią chodzić na pasterkę, po prostu na nią pójdą. A ci, co śpiewają kolędy, również to zrobią...

Ale wtedy ci, co nie śpiewają, będą źle się czuli. Bo to nie będą ich święta.

– Wpadamy wówczas do takiego domu na godzinkę, a potem idziemy tam, gdzie kolęd się nie śpiewa.

Z tego wniosek, że także w święta warto być asertywnym? A przecież mamy w ten czas godzić się ze sobą...

– Asertywność nie znaczy, że ktoś musi przełykać gulę, bo drażni go czyjeś śpiewanie lub nieśpiewanie kolęd. W ostateczności, jeśli coś nas denerwuje, to przecież nie musimy nigdzie iść. Możemy zawsze powiedzieć, że wyjeżdżamy.

Nie ma przymusu spędzania świąt?

– Nie ma. Można spokojnie wyjechać na narty do Szklarskiej Poręby. No ale jeśli już do kogoś idziemy albo sami organizujemy święta, trzeba się zatroszczyć o samopoczucie uczestników tego spotkania. Należy czuwać nad tym, aby nie wywołać u kogokolwiek poczucia zagrożenia, krzywdy czy krytyki. Bo – powtórzę – święta nie są czasem rozrachunków. Na to mamy resztę roku. Czas świąteczny służy nam do tego, aby uczestniczyć w pewnym rytuale pojednania, zgody, wspólnej radości.

A jeśli zdarzy się wujek, który będzie coś nawijał politycznie?

– Należy podrzucać inne tematy i robić wszystko, aby wujek był w mniejszości, nawet postarać się nie dopuścić go do głosu. Można go też nie zaprosić, jeżeli dotąd zawsze psuł rodzinne imprezy. Albo wcześniej z takim „popsuj-zabawą" porozmawiać.

Prezenty także mogą być drażliwą kwestią.

– To prawda. Dlatego mądrze jest się upewnić, co kto chciałby dostać. Bo często jest to niepotrzebny wydatek, starania, a obdarowana osoba tylko czuje się zażenowana. Na przykład dostała coś, co kosztowało dużo pieniędzy, a dla niej jest to rzecz kompletnie nieprzydatna.

To prawda, bywa i tak.

– Ale wie pani, z czego to wynika? My po prostu znamy się bardzo powierzchownie. I potem dochodzi do czegoś takiego, że ktoś kupuje kuzynce drogą apaszkę, bardzo starannie ją wybierając, a kuzynka tego koloru nie cierpi. Mało tego, w ogóle nie nosi apaszek.

Jakie jest wyjście?

– A czemu nie zadzwonić wcześniej i nie zapytać: „Zosiu, spotykamy się u nas w Wigilię, czy mogłabyś powiedzieć, jakiego prezentu absolutnie nie chcesz dostać?". Ona wtedy odpowie: „Dziękuję, że o to pytasz. Więc posłuchaj: apaszek nie cierpię, rajstop też proszę mi nie kupować. Natomiast uwielbiam świece albo serwetki, właśnie mi się pokończyły. Mogłabyś mi wybrać jakieś cztery lniane? A jeżeli świece, to lubię bezzapachowe".

Bardzo ładnie, tylko zakłada pani, że wszyscy są sobie szalenie bliscy i tak będą przed świętami dzwonić i dopytywać się o prezenty i inne rzeczy...

– Ciągle uważam, że lepiej pewne sprawy uzgodnić. Jeśli wiemy, że ktoś nie jada mięsa, warto zadzwonić i sprawdzić, mówiąc: „Zapraszamy cię na pierwszy dzień świąt. Ty podobno nie jesz mięsa. Jeśli to prawda, zrobię zupę z dyni i oprócz indyka będzie ryba po grecku". Będzie nam miło, gdy usłyszymy: „Och, cudownie, chętnie przyjdę, bardzo mi przyjemnie, że o mnie pomyślałaś". To warto czy nie pewne rzeczy uzgadniać?

Może...

– Przecież to kiedyś żyliśmy w pancerzu rygoru świątecznego. Wszystko było takie jak u wszystkich. Ale dziś tyle rzeczy w naszym życiu się zmieniło. Mamy wolność wyboru. Możemy decydować o upodobaniach kulinarnych. Sposób spędzania świąt też się zmienia i nie jest taki oczywisty. Na przykład znam osoby, które nie cierpią ryb i na Wigilię przyrządzają dania warzywne, grzyby, barszczyk i makowiec. Albo smażą na maśle krewetki. A niektórzy mogą preferować drób i dziczyznę. I co w tym złego? Podobało mi się zdanie, które przeczytałam niedawno w wywiadzie z ambasadorką USA w Polsce Georgette Mosbacher: „Gotowa jestem zrobić wszystko, co nie jest niemoralne lub nielegalne". Ja również w tym duchu uważam, że mamy bardzo szeroki wybór sposobów urządzania wszelkich uroczystości. Można sięgnąć pamięcią do świąt, które były wyjątkowo udane. Przypomnijmy sobie, dlaczego takie były. Może np. wszyscy w ciągu dnia poszli na ślizgawkę.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 2db340f6ca

Wrócili rumiani i zadowoleni. I potem wieczerza wigilijna była radosna i miła. Dzieci wcześnie poszły spać, a dorośli do późnych godzin śpiewali kolędy albo może piosenki legionowe czy jeszcze inne.

Słucham z zaciekawieniem tych recept. Ale chciałabym zapytać o trudne święta. Na przykład dla ludzi, którzy się rozwiedli. Co można im poradzić?

– To właśnie w dni świąteczne niektórzy mogą się czuć bardzo samotnie. Albo ogarniają ich nagle wspomnienia świąt burzliwych i nieprzyjemnych.

Lub muszą spędzać święta z osobami, z którymi nie chcą być. Choćby z rozwiedzionym małżonkiem. Ale jesteśmy zobowiązani, np. ze względu na dobro dzieci.

– No cóż, tak bywa. Na co dzień też musimy robić wiele rzeczy, na które nie mamy ochoty. Każdy z nas robi coś dla innych, nie zawsze mając z tego same przyjemności. Ja chodzę z małym wnukiem na filmy, które interesują jego, a mnie wcale. Ale co zrobić, wytrzymuję to, bo dla mnie ważniejsze jest, aby dziecku sprawić przyjemność. Jeśli coś się robi dla kogoś, kogo się kocha, to reszta chyba nie ma znaczenia. Znam taką rodzinę, która pojedzie w czasie świąt do syna, który znajduje się na leczeniu w ośrodku dla narkomanów. Całą familią wybierają się do niego, by okazać mu w tak ważne dni troskę, czułość i życzliwość. Nie liczą się z czasem, choć zajmie to im cały dzień. Inni będą odwiedzać kogoś obłożnie chorego – zawsze w święta z nami był, a teraz nie wstaje z łóżka. Pojedziemy więc do tej osoby i może nawet zaimprowizujemy tam drugą Wigilię. Albo i trzecią… Bo dwie poprzednie spędziliśmy najpierw u teściów, potem we własnym domu, no a na koniec u tego chorego.

A co mają zrobić single? Nie mają przecież swoich rodzin.

– Za to mają dużo znajomych, kumpli, kolegów, którzy mają rodziny, przyjaciół i tam mogą pójść. Single to są normalni ludzie. Poza tym zawsze mają jakieś rodziny – ciotki, mamy itp. A w ostateczności każdy ma przecież jakichś sąsiadów. Singiel nie żyje samotnie. Tak samo używa się niewłaściwie terminu samotne matki. Kobiety wychowujące dziecko lub dzieci w pojedynkę rzadko bywają samotne. Natomiast mnóstwo żon czuje się okropnie samotnie, żyjąc z wiecznie nieobecnym lub emocjonalnie niedostępnym mężem. To taki paradoks.

A jeśli ktoś nie chce obchodzić świąt, mimo że ma rodzinę, znajomych, ale miałby wyrzuty sumienia, gdyby gdzieś wyjechał? To co ma zrobić?

– W życiu zdarza się, że podejmujemy decyzje, których ktoś inny nie pochwala albo sami ich nie akceptujemy. Musimy wybrać. Albo robię coś, co innym się nie podoba, albo nie. Jeśli więc, odnosząc się do świąt, naprawdę wiele straciłabym, siedząc siedem godzin przy tłustych potrawach, to wybieram narty i brydża ze znajomymi.

A kac moralny, który przyjdzie wcześniej czy później?

– Nie demonizowałabym tego aż tak.

Mamy wolność wyboru?

– Tak. I wesołych świąt!

Barbara Jagas

W bieżącym numerze także:

Jakub Grzegorczyk
Narastające niepokoje w globalnej branży lotniczej

Dominique Vidal
Flirt Netanjahu z europejską skrajną prawicą

Karine Clément
Brutalna reforma systemu emerytalnego w Rosji

Hélène Richard
Gdy Rosja marzyła o Europie

Włodzimierz Borodziej, Maciej Górny
Wojna z Żydami

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (12 numerów): 82 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Kredyt Bank IV Oddział w Warszawie
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl 2db340f6ca

Czy ktoś pracuje w Brukseli?

To nie jest prezent choinkowy, wręcz przeciwnie – oto szczyt Unii zadecydował, że będzie osobny budżet strefy euro. Na razie mały, dość nieprecyzyjnie opisany, ale przecież i tak wszyscy wiedzą, że to początek, wepchnięcie nogi w półotwarte drzwi.

Tak zresztą oceniają to wielcy entuzjaści eurobudżetu – Francuzi. Oni otwarcie mówią, że to przełom, że potem, z kolejnymi latami, eurobudżet będzie „stopniowo polepszany".

A Polska? A premier Morawiecki, którego doproszono po zamknięciu szczytu eurogrupy? No cóż, robił dobrą minę do złej gry. Ale o tym, jak bardzo w tej grze zostaliśmy wymanewrowani, świadczy jedno zdanie z dziennikarskiej relacji: „Polska dyplomacja była zaskoczona, gdy w ostatnią środę zobaczyła eurobudżet w projekcie deklaracji ze szczytu".

Jeżeli rzeczywiście była zaskoczona, to i ambasador Andrzej Sadoś, i wiceminister Konrad Szymański powinni się podać do dymisji. Bo to oznacza, że nie nadają się na swoje stanowiska. Że nie trzymali ręki na pulsie.

To pokazuje też, jak Polska PiS jest traktowana w Unii – już nie tylko nikt nie liczy się z jej zdaniem, ale nawet nie informuje o tym, co pozostałe kraje planują.

Bój o budżet strefy euro trwa przecież od co najmniej ośmiu lat. Role w nim są rozpisane – zawsze za budżetem była Francja, mając poparcie m.in. Włoch. Przeciw była Polska, uważając (słusznie), że to wstęp do Europy dwóch prędkości, do budowy unii w Unii. No i przeciwne były Niemcy oraz kraje północy Europy, Holandia i siedem innych państw, czyli tzw. nowa liga hanzeatycka. Wszystkie one kalkulowały dwoiście. Po pierwsze, że eurobudżet będzie rozcinał Unię, i to akurat w tym miejscu, w którym Niemcy rozcinać jej nie chcą, czyli na granicy niemiecko-polskiej. A po drugie, że będzie poręcznym narzędziem państw „rozrzutnych" do zasypywania ich dziur budżetowych. Do pomagania – w przypadku kryzysu – Francji, Włochom, Hiszpanii. Do transferów finansowych z północy na południe.

Przez lata strony były okopane na swoich stanowiskach, Polska mogła więc mieć nadzieję, że do podziału Unii nie dojdzie. I z taką intencją działała nasza dyplomacja.

I nagle – bum!

Naturalne są więc pytania: dlaczego Niemcy i północna Europa zmieniły zdanie? I dlaczego polscy dyplomaci o tym nie wiedzieli? Zdaje się, że w MSZ do tej pory nie mają odpowiedzi na te pytania.

Kształt eurobudżetu zostanie doprecyzowany w czerwcu przyszłego roku. A zacznie obowiązywać od roku 2021. W założeniach ma służyć wspieraniu reform strukturalnych w państwach strefy euro. Oznacza to, że będzie instrumentem wspierania firm francuskich, niemieckich, włoskich itd. Na początek będzie częścią budżetu unijnego, a potem? Potem sprawa będzie się rozwijać i raczej jest pewne, że Polska nie będzie mieć na to wpływu. Nie mówiąc już o dostępie do tych pieniędzy.

Z polskiego punktu widzenia osobny budżet strefy euro (daje ona 85% PKB całej Unii) to większy cios niż brexit. Ale nie widać, by nad Wisłą ktoś tym się przejmował. Bo nie ma co się martwić o to, co będzie w roku 2021, skoro w roku 2019 będą wybory.

Attaché

Zdjęcia roku AFP. Akcja znakowania zwierząt w Parku Narodowym Meru w Kenii. Pracownik Kenya Wildlife Services próbuje zakryć oczy samicy nosorożca białego po podaniu jej środków uspokajających.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2db340f6ca

JOLKA

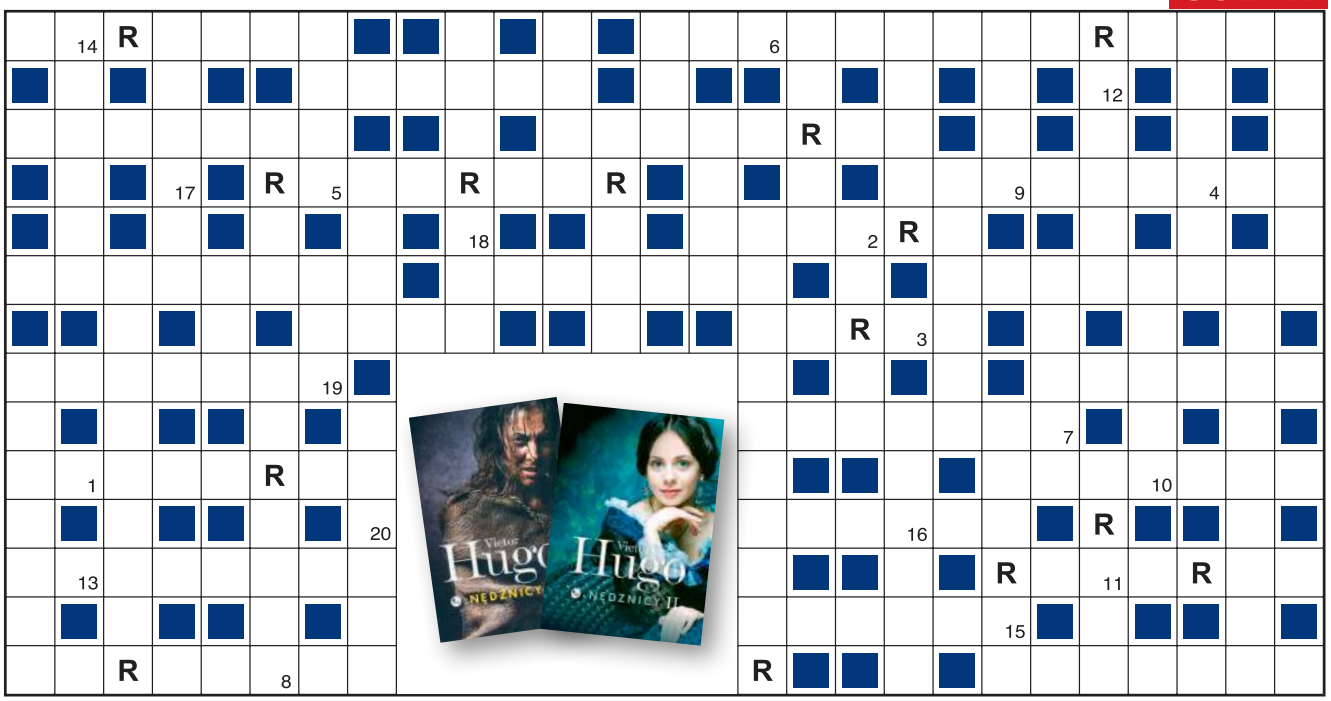

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- napój uderzający do głowy
- bardzo coś lubiąca albo niefachowa
- „...się radują, pod niebiosa wyśpiewują"
- powoduje powstawanie w organizmie przeciwciał
- Wielkie z Haiti, Małe z Gwadelupą
- jest nawet sympatyczny
- twórczość Ezopa i La Fontaine'a
- niemoc, bezradność
- jasnowłosy
- …dusiciel
- leser, miglanc
- hardość i pycha
- dziecko do niego podawane
- cztery w Hogwarcie, Tiara do nich przydziela
- drugi egzemplarz dokumentu
- wyspa z wulkanem Fudżi
- traktowanie jak zabawę
- w negocjacjach albo w brydżu
- założy klimatyzację lub kablówkę
- prawdziwe imię Joanny Chmielewskiej
- domowe obuwie
- Wielki, syn Pepina Krótkiego
- gryzienie lub żądlenie
- potocznie o smaku niedojrzałych owoców
- międlony, trzepany, potem czesany
- leworęczny
- angielski tytuł w tytule piosenki Édith Piaf
- pani ambasador Georgette
- o wilku...
- zobaczył tęczę jako znak przymierza
- zieleń na pustyni
- czerwona w tytule filmu z Fernandelem
- niezidentyfikowany latający
- konie go zajadają
- zgłosił się, choć nie musiał
- Trzeci… Kaczuchy
- modna w butiku
- brakujące ewolucji lub galwaniczne
- walczy z nowotworami
- Nogajska z rozpadu Złotej
- imię pływaczki Jędrzejczak
- …i Paweł
- loki, kędziory
- nie z niego wigilijny kompot
- zapas, a w sposobie bycia ostrożność
- zasuwa, zawora
- lwie u króla Ryszarda
- telegraficzny albo ogłoszeniowy
- …węgla to czad
- strój na salę rozpraw
- …lodowców z powodu globalnego ocieplenia
- na lód do schłodzenia szampana
- płaczące drzewo
- może być łagodne albo strome
- z samolotu lub z ekranu

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-889". Do rozlosowania książki „Nędznicy" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 grudnia 2018 r.

Rozwiązanie „JOLKI-886" z 9 grudnia: *Paw ma dumę w ogonie.*
Nagrody otrzymują: Zofia Biszewska ze Szczecina, Ireneusz Wanecki z Bielan Wrocławskich, Halina Wiechowska z Rucianego-Nidy.

eprasa.pl 2db340f6ca

PENETRACJE

ZDANIE **BP TADEUSZ PIERONEK**

Współpraca naszej obecnej prawicy z Kościołem wygląda tak, że ksiądz wychodzi na mszę, a politycy ogonem dzwonią. Katolicyzm tych polityków jest absolutnie nieautentyczny i każdy zauważy, że posługują się Kościołem jako narzędziem. Rząd ciągle liczy na to, że im jest bliżej ołtarza, tym więcej będzie miał zwolenników. W praktyce jednak dostrzega dobrze tylko tych wiernych, którzy są jego zwolennikami. Innym nie jest przychylny. Jeśli nasi proboszczowie i biskupi jeszcze bardziej zbliżą się do „narodowców", to powstanie zjawisko dla Kościoła bardzo groźne – powstanie Kościół „partyjny", a że tak się dzieje, nie trzeba specjalnych dowodów. To widać. Dla Kościoła partyjne zaangażowanie jest ogromnym niebezpieczeństwem, szczególnie dziś, gdy Polacy są tak głęboko podzieleni – niemal dokładnie na pół.

charaktery magazyn psychologiczny **PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI,** PSYCHOLOG OSOBOWOŚCI

Są słowa, które zdają się być znakiem swojego czasu. Dziś jest nim słowo tolerancja. Słyszymy je każdego dnia wielokrotnie – tak często, że nieraz przestajemy je słyszeć. Z tolerancją jako rodzajem postawy czy zbiorem zachowań są jednak pewne kłopoty. Pragniemy, aby inni tolerowali nas jako osoby, aby tolerowali nasze poglądy czy wartości oraz nasze zachowania, ale sami mamy problem z tolerowaniem innych. Sami niezbyt tolerancyjni, domagamy się tolerancji. Chcielibyśmy być tolerowani przez innych, ale stać nas na niewiele więcej niż pseudotolerancja, którą skłonny byłbym nazwać tolerancją warunkową.

DUŻY FORMAT **PROF. ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ,** SEKSUOLOG

W przypadku ks. Jankowskiego mieliśmy do czynienia z zachowaniami jawnymi. Miał dwór niczym król Walezy, otaczał się chłopcami, którzy wszędzie się pałętali. A pamiętajmy, że ksiądz przyjmował znamienitych gości. To jawne zachowanie powodowało, że nikomu nie przychodziło do głowy, co on wyrabia. Jak uwierzyć, że osoba, która jest na świeczniku, może sobie pozwolić na taką bezczelność? Tym bardziej że Jankowski był ikoną ruchu oporu, kapelanem Solidarności. Nikt przy zdrowych zmysłach nie podejrzewałby, że jest tak rozzuchwalony i bezkarny. Pamiętam, że wiele lat po tym, jak wydałem opinię na temat zachowań księdza, nocowałem w hotelu. Personel mnie rozpoznał, powiedział mi, że bywał u nich ks. Jankowski z chłopcami i wypożyczał kasety z pornografią. Jeżeli w jednym pokoju oglądali porno, to musiał być seks.

Zdjęcia roku Eyevine. Sklonowane makaki Zhong Zhong i Hua Hua w ośrodku badawczym Chińskiej Akademii Nauk.

FOT. EYEVINE/EAST NEWS

Aby język giętki…

MARIUSZ SZCZYGIEŁ O SŁOWACH ZAWSZE I NIGDY

Mogłyby w słowniku nie istnieć. Robią więcej szkody niż pożytku. W ogóle robią same szkody.

MONIKA JARUZELSKA O SYNU GUSTAWIE

Jest poszukujący, sceptyczny pragmatyk, trochę przemądrzały. Ostatnio tropi symbole masońskie w architekturze sakralnej.

RYSZARD PETRU O MATEUSZU MORAWIECKIM

Przede wszystkim potrafi zadowalać swojego właściciela, bez względu na to, kto nim jest.

WIESŁAW MYŚLIWSKI O SOBIE

Gdybym nie pisał, nie znałbym tak siebie, jak znam. Co nie znaczy, że znam siebie.

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO O POLSKICH KATOLIKACH

W ogromnej większości są to wierzący rytualnie, zewnętrznie. Nie mają pojęcia o głębszym sensie obrzędów, w których uczestniczą.

KATARZYNA NOSOWSKA O PERFIDII PAŃSTWA

Tyle energii angażuje się w zakazywanie marihuany i jednocześnie bezczelnie serwuje się alkohol.

MACIEJ STUHR O RODZINIE

Mam dorosłą córkę, małego synka, wspaniałą żonę i czasami trochę mi żal wychodzić z domu.

BARBARA KRAFFTÓWNA O POŚWIĘCENIU DLA MIŁOŚCI

To nie było poświęcenie, tylko hormony, potęga nie do odrzucenia.

REMIGIUSZ MRÓZ O TYM, CZEGO BY NIGDY NIE ZROBIŁ

Nie zabiłbym nikogo bez porządnego alibi, nie wysuszyłbym komórki w mikrofalówce i nie przeczytałbym od deski do deski „Wszystkich twarzy Greya".

KINGA PREIS O SPRZĄTANIU

Wracam z planu, wkładam dres, włączam muzykę i mogę sobie wreszcie poodkurzać do woli.

eprasa.pl 2db340f6ca

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Indyk w kosmosie

Trzej astronauci, którzy Boże Narodzenie spędzą w Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, będą mogli poczuć świąteczną atmosferę. W kapsule Dragon, która została wyniesiona na orbitę przez rakietę SpaceX Falcon 9 i już dotarła na stację, przesłano im z Ziemi wędzonego indyka i sos żurawinowy. Nie był to jednak główny cel lotu. W kapsule znajdowały się myszy i gąsienice, które mają być wykorzystywane do badań dotyczących reakcji żywych organizmów na warunki w kosmosie.

Nie miał, a oddał

Kevin Booth, 32-letni bezdomny z Sumner w stanie Waszyngton, znalazł przed tamtejszym bankiem żywności torbę z 17 tys. dol. Mężczyzna poczekał, aż bank zostanie otwarty i przekazał pieniądze pracownikom, ci zaś zadzwonili na policję. W ciągu 90 dni nikt się nie zgłosił po pieniądze, więc zgodnie z tamtejszym prawem trafiły do banku żywności. 32-latek otrzymał oficjalne podziękowania od szefa lokalnej policji, a jego uczciwość poruszyła wielu mieszkańców, którzy zorganizowali w internecie zbiórkę pieniędzy na wsparcie mężczyzny.

70-letni terrorysta

Małżeństwo 70-latków ze Szkocji planowało dłuższe grudniowe wakacje w Nowym Jorku. Przed wyjazdem należało postarać się o pozwolenie na wjazd, wydawane przez Amerykański Departament Bezpieczeństwa. Można je uzyskać, wypełniając wniosek przez internet. Okazało się, że 70-latek błędnie wypełnił formularz i zamiast pozwolenia otrzymał dożywotni zakaz wjazdu do USA. Na lotnisku dowiedział się, że jest terrorystą, gdyż tak było zaznaczone we wniosku. Turysta tłumaczył, że limit czasu przebywania na stronie kończył się, zanim zdążył wypełnić wszystkie pola. Do tego strona ciągle się zawieszała i dlatego najprawdopodobniej w pośpiechu zaznaczył niewłaściwą odpowiedź albo zrobił to wadliwy system. Małżeństwo nie tylko straciło czas i wymarzone wakacje, ale również 2 tys. funtów, gdyż rezerwacji nie dało się odwołać.

Niestety, tej biżuterii nie da się kupić jako gwiazdkowego prezentu – eksponaty z wystawy „Moc srebra. Tradycyjna biżuteria z krajów arabskich" w Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie.

Tunel szybkości

Władze Zjednoczonych Emiratów Arabskich ogłosiły projekt zakładający budowę tunelu podwodnego o długości 1800 km, łączącego Fujairah i Bombaj. Ma to być jeden z etapów budowy superszybkiej kolei, łączącej docelowo Dubaj w Zjednoczonych Emiratach Arabskich z Bombajem w Indiach. W tej chwili podróż samochodem między tymi metropoliami może zająć nawet cztery dni. Samolotem jest znacznie szybciej (trzy-cztery godziny), ale ceny biletów są wysokie ze względu na małą liczbę przewoźników. Tymczasem superszybki pociąg pokonałby tę trasę w mniej niż dwie godziny.

Przegląd „PRZEGLĄD" NA ANTENIE Warszawa 101 FM DAB+ RDC

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 2db340f6ca

Oficjalnie zdrowa

Amerykańska Agencja Żywności i Leków (Food and Drug Administration – FDA) wydała oficjalne zalecenie, by Amerykanie codziennie pili dwie łyżki oliwy z oliwek (nie starszej niż 12-18 miesięcy). Zdaniem FDA oliwa z oliwek ma wręcz medyczne właściwości – zmniejsza ryzyko zachorowania na cukrzycę typu II i zapobiega takim schorzeniom jak rak jelita, choroby kardiologiczne czy choroby wieku starczego.

Mandat za przekleństwa

W miejscowości Albisola Superiore w Ligurii (Włochy) mężczyzna otrzymał mandat za przeklinanie w obecności dzieci. Wszystko zaczęło się od tego, że zaparkował samochód na pasach obok szkoły. Kiedy inni rodzice, którzy przyjechali po swoje dzieci, zwrócili mu uwagę i poprosili o przestawienie auta, kierowca zareagował krzykiem i głośnymi przekleństwami. W ten sposób zwrócił na siebie uwagę patrolu straży miejskiej. Funkcjonariusze od razu wlepili mu mandat w wysokości 100 euro z artykułu zakazującego używanie inwektyw lub słów obrażających Boga. Krewki tatuś i tak miał sporo szczęścia, bo najwyższa kara za to przewinienie jest ponadtrzykrotnie wyższa.

Umuzykalniony mózg

Specjaliści z Uniwersytetu Jyväskylä w Finlandii zaobserwowali, że mózgi wiolonczelistów i pianistów są nieco inaczej zbudowane niż mózgi osób mało muzykalnych, które nigdy nie grały na żadnym instrumencie. Profesjonalni muzycy mają lepsze połączenie między półkulami, dzięki czemu współpracują one lepiej, a sam mózg działa efektywniej. Dzieje się tak, gdyż podczas gry artyści używają obu rąk, a także nóg. Warto wspomnieć badania, które kilka lat temu wykazały, że długotrwałe granie na jakimś instrumencie może powiększyć część mózgu odpowiedzialną za słuch i zręczność.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, DONALD.PL, FB/PISNAKSIEZYC, FB/ANONIMOWYINTERNAUTA

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 2db340f6ca

PRZEMEK MATECKI
małe obrazy

GALERIA BWA
AL. NIEPODLEGŁOŚCI 19
ZIELONA GÓRA,
DO 13 STYCZNIA

Matecki daje nowe życie reprodukcjom, przeistaczając je w błyskotliwe i zabawne miniaturowe obrazy olejne. Płaskość druku wykorzystuje do eksperymentów z fakturami, aplikacjami i montażami, a sens cytowanych prac parodiuje na zasadzie podobnej do memów internetowych. Często jednym gestem wydobywa z prac innych artystów esencję i tworzy całkowicie nowe obrazy, emanujące energią i humorem. „Małe obrazy" – ich format nie przekracza 20 x 20 cm – to ostatni cykl artysty, liczący już ponad 600 prac.

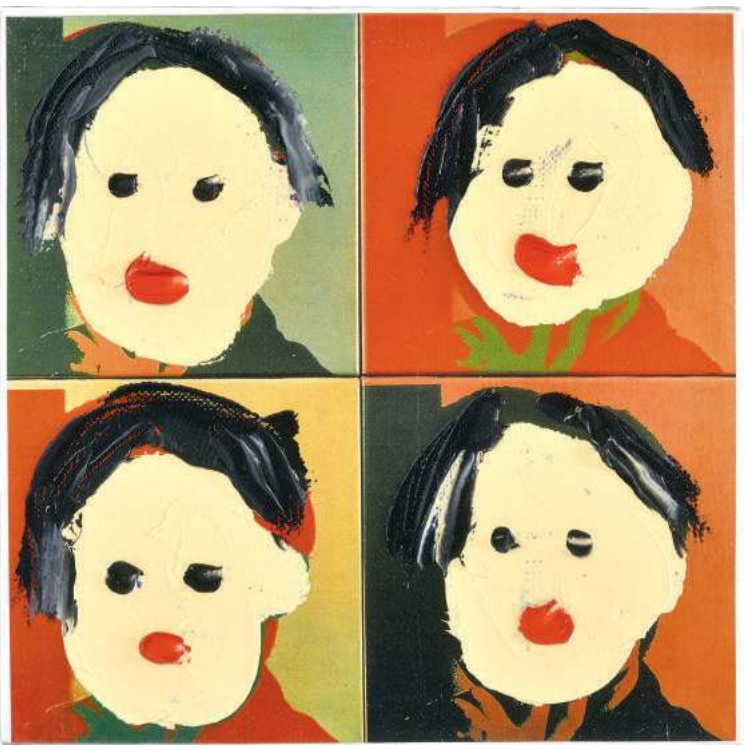

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2db340f6ca

ADAPTACJA OPOWIADANIA „SPALENIE STODOŁY" HARUKIEGO MURAKAMIEGO

NAGRODA FIPRESCI
CANNES

OSCAR
NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZYCZNY
KOREAŃSKI KANDYDAT

tiff.

Najsubtelniejszy thriller wszech czasów

NAJWYŻEJ W HISTORII OCENIONY FILM W CANNEŃSKIM MAGAZYNIE SCREEN DAILY (3.8/4)

PŁONIENIE

REŻYSERIA **CHANG-DONG LEE**

W ROLI GŁÓWNEJ **STEVEN YEUN**, GWIAZDA SERIALU **„THE WALKING DEAD"**

W KINACH OD 28 GRUDNIA

AURORA

unicef
dla każdego dziecka
Umieram z głodu
Uratuj dziecko takie jak Lemi!

Trwa kryzys żywnościowy w Sudanie Południowym.
Wpłać darowiznę na **unicef.pl/sudan**